

Polskie dylematy

Fundacja im. Stefana Batorego

Warszawa 2014

Finansowane z dotacji Open Society Foundations



FUNDACJA
IM. STEFANA BATOREGO

Polskie dylematy

W 80. rocznicę urodzin
i 10. rocznicę śmierci Jacka Kuronia

pod redakcją Piotra Kosiewskiego



Fundacja im. Stefana Batorego

ul. Sapieżyńska 10a

00-215 Warszawa

tel. |48 22| 536 02 00

fax |48 22| 536 02 20

batory@batory.org.pl

www.batory.org.pl

Opracowanie redakcyjne: Izabella **Sariusz-Skąpska**

Korekta: Joanna **Licznier**

Projekt graficzny: Teresa **Oleszczuk**

Teksty udostępniane na licencji Creative Commons. Uznanie autorstwa – na tych samych warunkach 3.0 Polska (CC BY SA 3.0 PL)



Ilustracja – wkładka

© Copyright Twożywo

Skład elektroniczny:

TYRSA Sp. z o.o.

ISBN 978-83-62338-51-1

Publikacja jest rozpowszechniana bezpłatnie

Warszawa 2014

Spis treści

Aleksander Smolar, O Jacku	9
Strategie wyzwolenia	19
Dariusz Gawin, Kuroń i „gwiazdny czas” polskiej lewicy	21
Karol Modzelewski, O strategiach i niestrategiach	27
Janusz Reykowski, O działaniu wewnątrz systemu	35
Wierność i zdrada po 1989 roku	43
Adam Michnik, Wierność. Uwagi	45
Karol Modzelewski, Jacek Kuroń i konieczności	51
Elżbieta Ciżewska, Rewolucje, zdrada i Jacek Kuroń	55
Juliusz Gardawski, Jacek Kuroń a samorządność pracownicza	59
Jerzy Hausner, Kuroń w hucie Lucchini	67
Wobec innych, wobec dyskryminacji	73
Andrzej Mencwel, Przesłanie Kuronia	75
Mirosław Czech, Jacek Kuroń i mniejszości	81
Joanna Tokarska-Bakir, Inność i polskość	87
Andrzej Nowak, Pamięć i pamięci	93
Kinga Dunin, Dyskusja, której zabrakło	101

Dziedzictwo	105
Szymon Gutkowski, <i>Kuroń i nowe pokolenia</i>	107
Michał Sutowski, <i>Kuroń: teoria i praktyka</i>	113
Piotr Laskowski, <i>Wyparta myśl Jacka Kuronia</i>	119
Michał Łuczewski, <i>Dzieje duszy</i>	125
Dominika Kozłowska, <i>Między konserwatyzmem a rewolucją</i>	135
Karolina Wigura, <i>Skradziona rzeczywistość?</i>	141
Komentarze	145
Andrzej Wielowieyski, <i>Zdrada?</i>	147
Henryk Wujec, <i>Rzeczpospolita samorządna</i>	149
Piotr Kosiewski, <i>Przetrawianie/przerwanie</i>	151
Od redakcji	155
Noty biograficzne	157
Indeks nazwisk	163

NIE
PALCIE
KOMITETÓW,
ZAKŁADAJCIE
WŁASNE



autor: Twożywo

Aleksander Smolar

O Jacku

Jacek Kuroń odegrał niewątpliwie wielką rolę w historii Polski ostatniego półwiecza i to w trzech jej okresach. Był czołową postacią polski opozycyjnej od początku lat 60., gdy coraz bardziej angażował się w działalność opozycyjną, był strategiem opozycji. W czasach Polski suwerennej po 1989 roku staje się jedną z czołowych postaci nowej władzy demokratycznej, która przeprowadziła radykalny program transformacji ustrojowej. I teraz, ileś lat po śmierci, zostaje swoistym patronem lewicowych krytyków czasów transformacji, gospodarki kapitalistycznej, niesprawiedliwości współczesnego świata. Nie jest to przypadkowe – był on krytykiem polskiej transformacji już na wiele lat przed śmiercią. I zarazem, mimo roli, jaką odgrywał, ale zgodnie z logiką naszego czasu, który żyje dniem dzisiejszym i w którym nie ma miejsca ani dla przeszłości, ani też dla przyszłości, nazwisko jego, wraz z nazwiskami innych najbardziej zasłużonych Polaków – błędnie, spychane jest w niepamięć.

Kiedyś nazwisko Jacka Kuronia było na pierwszych stronach gazet całego świata. Poczesne miejsce zajmowały wtedy wiadomości o antytotalitarnych ruchach i rewolucjach. Kiedyś na Wschód i na ludzi takich jak Jacek zewsząd patrzono z nadzieją. Kiedyś podziwiano odmiennosc Polski, gdzie co parę lat wybuchały rewolty i strajki, gdzie powstawały zręby niezależnego społeczeństwa obywatelskiego. Od tego czasu kraje naszej Europy znormalniały. Polska może się pochwalić poważnymi dokonaniem gospodarczymi,

zmianami cywilizacyjnymi. Ale też pozostaje krajem w stosunku do Zachodu ubogim, gdzie dużo jest biedy, poczucia krzywdy, niesprawiedliwości. Jest to zarazem kraj o wysokim poczuciu zadowolenia obywateli, zadowolenia nawet z UE, która w całej Europie nie cieszy się obecnie dobrą opinią.

Mimo „normalności”, która z czasem banalizuje największe dokonania, mimo czasów niszczących wszystkie autorytety, życie Jacka, to, co robił, to, co osiągnął, warte jest przypominania i zachowania we wdzięcznej pamięci. Leszek Kołakowski pisał kiedyś, że studiujemy historię nie po to, aby wiedzieć, jak postępować, lecz po to, aby wiedzieć, kim jesteśmy. Warto więc mówić o Kuroniu, aby wiedzieć, kim był, lecz także aby wiedzieć, kim jesteśmy, nawet wtedy, gdy nie akceptujemy jego myśli ani też jego drogi życiowej. Dlatego też świadomie zaprosiliśmy na to spotkanie ludzi nie tylko Jackowi osobiście i ideowo bliskich, ale również tych, którzy go nie znali; nawet tych, którym nigdy nie był bliski. Aby razem pomyśleć i podyskutować o tym, co postać Jacka może nam dzisiaj powiedzieć.

Jacek Kuroń wywodził się z rodziny socjalistycznej. We wczesnej młodości wybrał komunizm. Z przekonania, jako wyraz buntu przeciwko biedzie i niesprawiedliwości, jako reakcję na wojenne, dziecinne doświadczenia, na zbrodnie wobec Żydów, Polaków, Ukraińców. Był w młodości żarliwym komunistą, bo sprawiedliwość stawiał ponad wszystko. Ale też dlatego dwukrotnie wyrzucono go z PZPR i przez długie lata trzymano w więzieniach. Jacek był człowiekiem głębokiej wiary i zaangażowania i tę swoją wiarę oraz imperatyw zaangażowania w sprawy publiczne próbował zaszczepić innym, przede wszystkim młodym. Był pedagogiem z wykształcenia i z zamiłowania. Uczył etyki zaangażowania, troski o innych, sprawiedliwości.

Jego rewolta zaczęła się – jak u wielu powojennych buntowników przeciw państwowemu socjalizmowi – w ramach oficjalnej ideologii. Jednak w przypadku Jacka Kuronia trudno odróżnić moment przyzwolenia i akcesji od chwili buntu i marginalizacji. Akceptował piękną ideę równości,

braterstwa i przyspieszonego rozwoju, ale rzeczywistość PRL-u wyrzuciła go poza nawias, kiedy w imię idei zaczął szybko kwestionować i potępiać komunistyczne realia. W latach 60. stał się znany w świecie dzięki *Listowi otwartemu do Partii*, adresowanemu do członków PZPR i ZMS przy Uniwersytecie Warszawskim. List ten napisał z innym wielkim buntownikiem, wybitnym historykiem Karolem Modzelewskim, którego autobiografia cieszy się wielką popularnością i nagradzana jest licznymi nagrodami¹. Ich *List* był w istocie programem komunistycznej, antybolszewickiej rewolucji, chociaż czas panował paskudny, lata względnej liberalizacji po 1956 roku należały już do przeszłości, a ich słowa brzmiały dla inteligencji owych czasów egzotycznie. Historia i Związek Radziecki zdawały się stać na straży trwałości Nowego Ustroju. Nikita Chruszczow dopiero co zapowiedział, że Związek Radziecki wyprzedzi Zachód. Nawet liczni zachodni konserwatyści te jego słowa potraktowali poważnie. Ich program obrony przed komunizmem był często zabarwiony poczuciem historycznego tragizmu. Najmodniejsza jednak wówczas na Zachodzie ideologia, choć nie stała za nią żadna konkretna partia, głosiła optymistyczną wiarę, że świat zmierza ku jakiejś syntezie, „konwergencji” – inna nazwa dla „końca historii” – kiedy to kapitalistyczne demokracje ulegną socjalizacji, zaś komunistyczne dyktatury – demokracji. Jacek Kuroń tak nie myślał. Nie wierzył w konieczności historii, w determinizm ekonomiczny czy technologiczny. Pozostał rewolucjonistą starej daty, tyle że w nowym, groźnym kontekście. Ceną za wypowiedzenie wojny Historii będą trzy pierwsze lata więzienia.

Jednak już w 1968 roku dokonała się w nim i w środowisku jego przyjaciół istotna zmiana. Zanim wybuchł w Paryżu Maj, w Polsce był Marzec. Na Zachodzie zauważono wówczas tylko haniebną kampanię antysemitką władz PRL. Prawie nie dostrzeżono ruchu młodzieży studenckiej i ludzi kultury w obronie wolności, przeciwko cenzurze. Ruch ten bardzo różnił się od tego, co działo się wówczas na zachodnich uniwersytetach. Różnił się też

¹ Karol Modzelewski, *Zajeżdźmy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca*, Warszawa 2013.

istotnie od praskiej wiosny i jej nadziei na „ludzką twarz” socjalizmu. Polski Marzec stanowił zapowiedź i zarazem przygotowywał nowe formy oporu, spopularyzowane w latach 70. i 80. Studenci i intelektualiści występowali w obronie praw człowieka, w obronie wolności słowa, przeciwko represjom politycznym, powołując się na konstytucję i nominalnie obowiązujące prawo. W przyszłości ten minimalistyczny program miał ujawnić wielką skuteczność w mobilizowaniu ludzi i delegitymizowaniu władzy komunistycznej. Wstępujący na scenę nowy ruch opozycji nie udawał, że istniały związki między nim a komunistyczną satrapią. Zerwał z pozorami wspólnej wiary. Skończyła się wewnątrzpartyjna opozycja. Jacek Kuroń był jednym z inspiratorów ruchu. Zapłacił za to ponownie wieloletnim więzieniem.

Lata 70. to powolne, mozolne budowanie opozycji. Momentem kluczowym okazuje się rok 1976: bunt robotników Radomia i Ursusa. Opozycyjna inteligencja ma w pamięci gorzkie doświadczenia społecznego osamotnienia w 1968 roku. Pamięta też samotność robotników zrewoltowanych w czerwcu 1956 i następnie w grudniu 1970. Jacek Kuroń, grono wybitnych postaci starszego pokolenia, które symbolizuje ciągłość tradycji oporu, oraz przede wszystkim młodzi działacze opozycji zakładają Komitet Obrony Robotników. Po raz pierwszy zostaje złamana zasada samotności w życiu publicznym, na jakiej opiera się dyktatura: samotności w obliczu władzy, w obliczu strachu. Solidarność – słowo, które zrobi karierę dopiero kilka lat później – staje się zasadą działania i programem ludzi skupiających się w opozycji. Ruch, który tworzy się wokół Komitetu, zbiera informacje na temat represji i natychmiast przekazuje je w świat. Wracają one do Polski przez radia zachodnie, głównie Wolną Europę, przetłumaczone społeczne poczucie izolacji, samotności i bezradności. Informacje stają się wielkim narzędziem integracji społecznej – informacje nie tylko o represjach, ale też coraz częściej o oporze, o akcjach solidarności, o mnożących się niezależnych pismach i książkach, o Latającym Uniwersytecie i wykładach w kościołach. Biuro informacyjne mieści się w mieszkaniu Jacka Kuronia. On sam, jego żona Gaja oraz przyjaciele stają się centrum układu nerwowego odbudowującego się fragmentarycznie społeczeństwa.

Kuroń jest nie tylko praktykiem, działaczem owej pokojowej rewolucji. Jest też jej teoretykiem. To on właśnie staje się wielkim strategiem odbudowy społeczeństwa obywatelskiego w świecie upaństwowionym. Cały jego program, któremu poświęcił setki stron publicystyki politycznej i teoretycznych rozważań, ująć można w jednym hasle, które zdobyło wówczas dużą popularność: „Zamiast palić komitety, zakładajcie własne!”. Zamiast palić komitety partyjne – jak w czasie kolejnych polskich buntów robotniczych – trzeba tworzyć własne niezależne instytucje, pozostawiać trwałe ślady w społecznym piasku, coraz większe wyspy utrwalonej niezależności i inicjatywy, aby Lewiatanowi wyrwać spod kontroli kolejne fragmenty społecznej rzeczywistości.

Sukces KOR-u jest nadspodziewany. Władze szybko wycofują się z wielkich represji, wypuszczają więźniów, wybierają uporczywe, codzienne nękanie opozycji drobnymi represjami i szykanami. Chcą ograniczyć społeczne konflikty i nie dopuścić do izolacji od Zachodu, którego pomocy bardzo potrzebują w warunkach narastającego kryzysu gospodarczego. KOR przeżywa godziny tryumfu. To pierwszy przypadek, gdy zorganizowana mała grupa ludzi zdołała uformować prawdziwy ruch społeczny, zmuszając władze do ustępstw. Największym autorytetem tego ruchu jest Jacek Kuroń.

Jednak prawdziwy tryumf KOR-u i myśli Jacka Kuronia przychodzi wraz ze strajkami lata 1980 i powstaniem „Solidarności”. Oczywiście „Solidarność” miała wiele źródeł. Często mówi się, i słusznie, o roli Jana Pawła II i jego pierwszej pielgrzymki do Polski, kiedy doszło do przywrócenia Polakom poczucia wspólnoty i odwagi. Inni podkreślają – i mają rację – znaczenie tradycji walk robotniczych, chociaż niemal cała historiografia kładzie nacisk na inteligentkie formy oporu i na pojawiające się od czasu do czasu spontaniczne, anarchiczne bunty robotników. Ale „Solidarność” wyrastała też z krótkiej, intensywnej tradycji opozycji demokratycznej, jej idei niezależności, pokojowego oporu, samoograniczenia i ideowego minimalizmu. Pod przebraniem związku zawodowego organizowało się społeczeństwo obywatelskie odżywającej Polski. Kuroń staje się jednym z głównych doradców przywódców robotniczych Polski. Mnożącym się konfrontacjom

z władzami PRL, narastającemu poczuciu kryzysu towarzyszą ideowe i polityczne zmagania o oblicze ruchu, o miejsce w nim różnych tradycji, w tym laickiej, lewicowej, utożsamianej z Jackiem Kuroniem. „Solidarność” coraz bardziej dzieli się wewnątrz. Coraz trudniejsza jest synteza dążeń demokratycznych, społecznych, narodowych i religijnych, godzenie interesów różnych grup i regionów. Ostateczne pęknięcie nie następuje tylko dlatego, że stan wojenny Jaruzelskiego złamał wielki ruch społeczny i zamroził jego fragmenty w fazie przedpolitycznej. Kuroń znów jest w więzieniu. Znów na lata. W sumie zbierze dziewięć lat i wiele ciężkich chorób.

Dekadę kończy jednak *happy end*: negocjacje Okrągłego Stołu i dobrowolne oddanie władzy przez komunistów. Piszę „dobrowolne”, chociaż wcale się nie spodziewali, że przegrają wybory 4 czerwca 1989 roku, nie przewidywali skutków uruchomionej dynamiki zmian. Ale trzeba też przyznać, że skutki te zaakceptowali. Jacek Kuroń zostaje ministrem w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, który ma przed sobą dramatycznie trudne zadanie przeprowadzenia rewolucji demokratycznej i rynkowej w kraju zdezorganizowanym, instytucjonalnie zrujnowanym, objętym hiperinflacją. Kuroń zostaje ministrem pracy i polityki społecznej, odpowiedzialnym za stosunki ze związkami zawodowymi. Powie później: „zrobiło mi się czarno przed oczyma. Bo żeby w takich okolicznościach zostać ministrem pracy, płac i polityki społecznej (co praktycznie oznaczało ministerstwo bezrobocia, nędzy i braku polityki społecznej), trzeba było szaleńca lub wręcz samobójcy”. Ma on więc ośmiać dokonywaną bez znieczulenia bolesną operację na społeczeństwie.

Jacek Kuroń ma świadomość tragicznego wymiaru tej rewolucji. Modernizacja, transformacja Polski – od autorytarnej utopii do rzeczywistości – musi dokonać się kosztem wielkich zakładów socjalistycznych, symbolu nieefektywności i marnotrawstwa. A przecież to robotnicy tych właśnie zakładów byli siłą napędową pokojowej rewolucji. Jak każda rewolucja, apelowała ona do najbardziej szlachetnych, altruistycznych pragnień zbiorowych, a równocześnie tworzony ład ekonomiczny i społeczny rozbił solidarność, bowiem świadomie opierał się na sile ambicji, pragnień

indywidualnych, na konkurencji, a nie solidarności, chociaż to słowo, na zawsze związane z polskim losem zbiorowym, coraz rzadziej było obecne w życiu publicznym i w marzeniach zbiorowych. Kuroń nie tylko dba o jak najbardziej cywilizowane prawodawstwo społeczne, o pomoc dla najstańszych. Jest on też jedynym politykiem – może dlatego, że jego pierwszym powołaniem było bycie pedagogiem? – który cały czas rozmawia ze społeczeństwem. Inni najwybitniejsi ówcześni politycy uważali to za stratę czasu, rzecz niegodną ich powołania. Jego programy telewizyjne, czule nazywane „dobranockami”, kiedy to tłumaczy charakter, konieczności i perspektywy zmian, są najbardziej popularnymi programami politycznymi. W oczach społeczeństwa urasta do roli św. Franciszka epoki postkomunizmu. Przez całą dekadę – nawet wtedy gdy coraz liczniejsze choroby odsuwają go od życia publicznego – Polacy pozostają mu wierni. Systematycznie umieszczają go na czele listy polityków, do których mają zaufanie. Przegrywa jedyny raz, ale bardzo boleśnie, gdy decyduje się startować w wyborach prezydenckich. Jacek Kuroń jest kochany i szanowany nawet przez wielu ideowych przeciwników. Ale społecznik ubrany w dżinsowe spodnie i bluzę, w stosunkach z ludźmi prosty i bezpośredni, nie pasował – mimo przebrania go w garnitur – do obrazu i godności funkcji prezydenckiej. Ani w swoim, ani w innych ludzi odczuciu nie był człowiekiem władzy i *establishmentu*, nawet gdy sprawował funkcje ministerialne.

Lata 90. są dla Kuronia czasem zaangażowania, ogromnej pracy oraz narastających rozterek ideowych i moralnych. Na początku lat 90., świadom wagi koniecznych decyzji, mówi publicznie, że w normalnym, rozwiniętym, stabilnym państwie byłby socjaldemokratą; w warunkach Polski trzeba jednak tworzyć gospodarkę rynkową, czyli kapitalizm. To okazało się dramatem całej formacji inteligencji, która była tradycyjnie – zarówno ze względów społecznych, jak i kulturowych – antykapitalistyczna i antimieszkańska. Dla Jacka, który nigdy nie wyrzekł się lewicowości, zawsze swoją lewicowość afirmując, po doświadczeniach komunizmu przywracanie „normalności” – odgórne imitowanie zachodniego kapitalizmu – stało się imperatywem. Większość tej formacji pozostała przy dokonany wyborze

albo rozczarowana odeszła od coraz bardziej trywialnej polityki. Wielkie wybory dotyczące przyszłości kraju już są poza nami, małe – z którymi mamy do czynienia na co dzień w polityce demokratycznej – zostały utopione w swarliwości, często wulgarnych manewrach partii i ludzi o skromnych ambicjach oraz wątpliej wiedzy. Jacek Kuroń od rzeczywistości się nie odwracał, ale też jej nie akceptował; wielokrotnie kajał się z powodu wypowiedzianych słów na temat charakteru wyzwań, które stoją przed Polską, i koniecznych w związku z tym wyborów. Żadne konieczności nie uzasadniały, w jego mniemaniu, rezygnacji, nawet chwilowej, z wyznawanych poglądów i wartości. Wybrany model odgórnej rewolucji, dokonującej się w warunkach narastającej izolacji elit i wycofywania się społeczeństwa z placu publicznego, wydawał mu się coraz bardziej fałszywy. Kuroń był jednym z autorów wielkiego sukcesu wybranej po odzyskaniu pełnej suwerenności strategii zmian i czuł się zarazem współodpowiedzialny za jej patologie oraz niepowodzenia. Czy jednak można było utrzymać gorącą atmosferę i dynamikę ruchu społecznego, o którym marzył? Wielki ruch „Solidarności” był już w 1989 roku, po latach stanu wojennego i represji, tylko wspomnieniem. I czy istniało alternatywne rozwiązanie dla zachodniego modelu rozwoju? Tego Kuroń nie twierdził. To prawda, że nie ma jednego zachodniego modelu, ale też pierwszy okres zmian, który w dużym stopniu zdeterminował nasz rozwój do dzisiaj, wymagał szybkich, odważnych decyzji. Nie było czasu na seminaria czy głębokie refleksje. Zresztą do dzisiaj, mimo mnożących się krytyk modelu przemian – których legitymacja bardzo wzrosła wraz z kryzysem gospodarczym i finansowym – nie przedstawiono żadnej wiarygodnej alternatywy dla naszych przemian.

Ale Jacek nie zastanawiał się nad alternatywami. On po prostu wrócił do swego naturalnego punktu obserwacji i osądzania wielkich procesów, do perspektywy zwykłych ludzi, a nie demiurgów historii. Wraz z oddalaniem się od życia publicznego i mnożącymi się chorobami coraz surowiej osądzał transformację ustrojową, coraz gorzej oceniał swoją i swoich przyjaciół w niej rolę.

Będąc już ciężko chory, zabiera głos w ważnych dla kraju sprawach. Krytykuje politykę rządu, gdy widzi w niej antyspołeczne elementy. Jest

jedynym wśród wybitnych polityków, który zdecydowanie potępił wojnę w Iraku i udział w niej Polski. Widzi w tej wojnie niebezpieczną awanturę i groźbę konfliktu o niedających się przewidzieć skali i skutkach. Do końca pisze. Już pod sam koniec życia wydaje książkę o globalnej rewolucji², gdzie – stary pedagog – powraca do centralnej roli edukacji. W ostatnich tygodniach życia dyktuje książeczkę *Rzeczpospolita dla moich wnuków*³, rodzaj politycznego programu dla lepszej Polski.

Zwięzły opis drogi życiowej Jacka Kuronia mało mówi o człowieku. A Kuroń to przede wszystkim był serdeczny przyjaciel, niesłychanie skoncentrowany na drugim człowieku, na rozmowie. Człowiek ciągłego dialogu o sprawach, które go pasjonują. Dialogu prowadzonego zawsze, nawet z przeciwnikami, wrogami, ze zrozumieniem, ciepłem, bez goryczy i wrogości. Człowiek rozmowy o wierze i winie, o sposobie życia, o sprawach konkretnych ludzi, o problemach kraju i świata. Trzeba by napisać o jego poczuciu winy indywidualnej – gdy wydawało mu się, że w różnych momentach życia nie stanął na wysokości zadania – i zbiorowej, gdy myślał, że jego wspólnota nie zrobiła w przeszłości tego, co należało. Trzeba by poświęcić trochę słów stale u niego obecnej potrzebie rozliczania się z komunizmem, ale bez radykalizmu wielu jego byłych wyznawców czy wiecznych antagonistów, bo- wiem zawsze był świadom rozmiarów zainwestowanej w tę utopię ludzkiej energii i wielkiego marnotrawstwa, którego byli oni współwinni i którego byli ofiarami. Potrafił otwarcie przyznać się do porażek. I zaraz dodawał, że uczy się na nich, bo z tego dopiero jest jakaś korzyść, a nie tylko sama strata. Powiedział kiedyś: „co zrobiłeś – nie odstanie się, ale w dalszym działaniu możesz tę swoją winę naprawić. Przynajmniej w jakimś stopniu”.

Przyznawał też innym ludziom prawo do błędów. Wierzył, że błąd da się usprawiedliwić, jeżeli intencje, którymi ludzie się kierują, są dobre,

² Jacek Kuroń, *Działanie. Jeśli nie panujemy nad swoim życiem, ono panuje nad nami*, Wrocław 2002.

³ Jacek Kuroń, *Rzeczpospolita dla moich wnuków*, Warszawa 2004.

jeżeli w ich postępowaniu odgrywają rolę decydującą. Wiele czasu i myśli poświęcał stosunkom z „innymi”, zwłaszcza z Żydami i Ukraińcami, zawsze wrogi nacjonalistycznemu zacietrzewieniu, szukając winy i słabości przede wszystkim w sobie i u swoich, a nie u innych; zawsze z myślą pozytywną – żeby świat uczynić nieco bardziej znośnym, trochę lepszym. Trzeba by wreszcie pisać o człowieku – jednym z nielicznych – którego nie zmieniły i nie zepsuły władza, pieniądze, stanowiska, popularność.

Jacek był człowiekiem silnych przekonań, dla których był gotów poświęcać zdrowie i życie. Równocześnie, jeżeliby szukać esencji jego poglądów, to może znajdzie się ją w słowach, które zawarł w tekście o znaczącym tytule *Testament*⁴, napisanym w dziesiątą rocznicę protestów Czerwca 1976 roku i powstania KOR-u. Artykuł ten, pomyślany jako testament już nieżyjących wielkich ludzi opozycji, był też wyznaniem osobistym bardzo chorego autora:

„Polskę mamy jedną. Jest ona własnością wszystkich jej mieszkańców. Testament Wielkich Przodków, od których dostaliśmy Ojczyznę, rozumiem w ten sposób, że mam Jej służyć w pracy nad kompromisem łączącym wszystkich obywateli naszego pięknego, gorzkiego, ale jedyne go kraju”.

I słowa te komentował: „żaden kompromis nie zastąpi pluralizmu – bo nie wolno zacierać realnych odmienności interesów, wartości i celów różnych grup społecznych. Ale też pluralizm i demokracja mogą prowadzić do ostrych konfliktów i napięć, jeśli nie potrafimy się porozumieć, budować kompromisów i przekraczać własnych partykularyzmów. Pamiętając o tym, że państwo jest jedno, a pod jego niebem musi starczyć miejsca dla wszystkich”. Jest to myśl, którą warto przypominać naszym dzisiejszym politykom.

⁴ Jacek Kuroń, *Testament*, „Polityka”, 22 czerwca 1996.

Strategie wyzwolenia,

czyli jak zrzucić dyktaturę.

Myślenie wewnątrz i na zewnątrz systemu

Postawy i wybory mające na celu zmianę ustroju po jego fazie terrorystycznej. Próby zmian podejmowane od wewnątrz systemu, prowadzące do demokratyzacji i liberalizacji ustroju. Rola rewizjonistów. Program rewolucyjny Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Protesty w Marcu '68. Rodzenie się opozycji demokratycznej. „Solidarność” i początki samoorganizowania się społeczeństwa poza strukturami władzy.

Dariusz Gawin

Kuroń i „gwiazdny czas” polskiej lewicy

Jedną ze swych książek Jacek Kuroń zatytułował: *Gwiazdny czas*¹. Ten tytuł dobrze oddaje wielkość Kuronia i rolę, jaką odegrało całe jego środowisko, szczególnie w latach 70. To rzeczywiście był ich „gwiazdny czas” nie tylko w sensie ludzkim, egzystencjalnym. To był bowiem moment wielkości, wtedy właśnie zawiązywały się wątki wielkiego historycznego dramatu, którego finałem miało się stać odzyskanie wolności. Naturalnie wtedy mało kto mógł tak myśleć. Wydawało się wówczas, że jest bardzo ciężko: rządzą komuniści, działa Służba Bezpieczeństwa, groziło więzienie, można było nawet życie stracić. Ówczesny nastrój, poczucie beznadziejności zarejestrował Tadeusz Konwicki w znakomitej *Matej apokalipsie*. A jednak z dzisiejszej perspektywy widać, że to był czas wielki, „gwiazdny” nie tylko dla tego środowiska, ale i dla Polski.

Na czym polegała wyjątkowość tego czasu? Jak rzadko kiedy w naszej historii doszło do połączenia różnych doświadczeń w jedną całość – całość, która uzyskała uniwersalne, powszechne znaczenie. Pamiętamy przecież „trójkę solidarnościową” noszoną na plakietkach w czasie pierwszej „Solidarności” oraz w stanie wojennym. Tworzyli ją Jan Paweł II, Lech Wałęsa i Czesław Miłosz. Był zatem w owej „trójcy” papież, czyli postać ucieleśniająca doświadczenie polskiego Kościoła, był robotnik, czyli przedstawiciel

¹ Jacek Kuroń, *Gwiazdny czas*. „Wiary i winy” ciąg dalszy, Londyn 1991.

polskiego ludu w sensie społecznym i politycznym, był wreszcie i poeta, czyli reprezentant polskiej kultury. Kapłan, robotnik i inteligent. Te trzy nazwiska poznał wtedy cały świat, a poprzez nie także polskie doświadczenie, polską historię, polską tożsamość. Rzadko zdarza się, aby w tak różnych rejestrach narodowego życia moc i dynamizm wyływały jednocześnie z tak różnych rejestrów narodowej rzeczywistości. To pozwalało zarazem uniwersalizować polskie doświadczenie. Polacy mówili rzeczy ważne i dokonywali czynów, które ważyły na szalach dziejów powszechnych.

Ten proces uniwersalizacji dotyczył także polskiej lewicy. Jak głosi Pismo: *Spiritus flat, ubi vult* – „Duch tchnie, kędy chce”. I tchnął: przez robotników, przez Kościół, a także przez polską lewicę. Ówczesne jej dzieje intelektualne i przygoda z polityką stały się elementem powszechnej historii i myśli społecznej w wymiarze uniwersalnym. Adam Michnik nazwał to drogą od rewizjonizmu do „Solidarności”. W tym określeniu zawiera się całe doświadczenie naszej lewicy, która zaczyna swoją drogę jako marksistowska i wierzy w rewolucję. Radykałom z roku 1956, którzy walczyli o rady robotnicze, nie chodziło tylko o usprawnienie produkcji w fabrykach; oni wtedy w pismach młodego Karola Marksa czytali o istocie gatunkowej człowieka, do której powraca się poprzez politykę. Stąd projekt demokracji bezpośredniej, która miała być budowana w oparciu o system rad i młodzieżowy, studencki ruch rewolucyjny.

Pomysły zrodzone w 1956 roku żyły dość długo. W roku 1964 Jacek Kuroń i Karol Modzelewski napisali *List otwarty do Partii*², w którym nadal była mowa o demokracji bezpośredniej, to znaczy o ustroju opartym na systemie rad robotniczych. W połowie dekady rozpoczął się jednak także proces odchodzenia od tej radykalnej utopii. Niektórzy przedstawiciele środowiska lewicowego szybciej porzucili te idee. Adam Michnik na przykład prędkiej zrozumiał, jak istotne są pojęcia „demokracji parlamentarnej” i „narodu”, a także iż rewolucyjna demokracja bezpośrednia to nie jest sposób

² Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, *List otwarty do Partii*, Paryż 1966.

na przełamanie problemów Polaków w połowie lat 60. Leszek Kołakowski z kolei szybciej zwrócił się w stronę Kościoła.

Jacek Kuroń dłużej wierzył w możliwość budowy autentycznego ustroju komunistycznego – w swoich wspomnieniach pisał, że przestał być komunistą dopiero w więzieniu, po Marcu '68. Dla większości jednak ostateczną cezurą stał się właśnie Marzec. Wcześniej, choć spierano się z partią, choć krytykowano władze, to jednocześnie PRL do jakiegoś stopnia był ciągle uznawany za państwo „własne”. To było zresztą źródło postawy krytycznej młodzieży ze środowiska „komandosów”, która w przeważającej części wywodziła się z partyjnego *establishmentu*, z rodzin „wierzących” komunistów, którzy budowali ten ustrój z pełnym zaangażowaniem i wiarą. Ta młodzież walczyła z Gomułką i jego aparatem nie dlatego, że byli to komuniści, tylko dlatego że zdradzili oni prawdziwe ideały lewicy. W 1968 roku to państwo zaatakowało ich z całą brutalnością, co więcej – zaatakowało ich, postugując się bronią, która w *imaginarium* lewicy należała wyłącznie do arsenału „reakcji”: zaatakowało ich bezwzględnym antysemityzmem. To z tego powodu szok był tak wielki i dlatego pękły resztki więzi, jakie mogli odczuwać z tym porządkiem politycznym.

Kiedy porzucili rewolucyjny marksizm czy też rewolucyjną wiarę, pojawić się musiało pytanie: co w zamian? I tu zaczyna się wielka przygoda polskiej lewicy, która odchodzi od rewolucyjnego myślenia i dokonuje wielkiego zwrotu ideowego. W ogóle okres między rokiem 1968 a powstaniem KOR-u jest wyjątkowo ważny i interesujący dla każdego, kto zajmuje się historią myśli tego czasu. Rozpoczyna się spotkanie katolików z warszawskiego KIK-u, a szerzej – całego środowiska otwartego katolicyzmu, i ludzi, którzy odrzucają marksistowskie myślenie, poszukując nowego, ideowego uzasadnienia dla swej walki z polityczną tyranią. Symboliczne miejsce spotkania wyznaczają: poezja Zbigniewa Herberta i myśl Dietricha Bonhoeffera. Niemal w każdym tekście z początku lat 70. znajdziemy jakiś cytat z jednego z tych autorów, a *Kościół, lewica, dialog* Adama Michnika³ kończy się *Przeżyciem*

³ Adam Michnik, *Kościół, lewica, dialog*, Paryż 1977.

Pana Cogito. To jest moment, w którym wielką rolę odgrywa myślenie poprzez wartości, poprzez poezję i chrześcijańską duchowość.

Jacek Kuroń jest cały czas jedną z głównych postaci tego wielkiego historycznego dramatu. Ważne są jego ówczesne krótkie teksty, ilustrujące odejście od wiary w rewolucję. Do tej pory polityka była opisywana jako konflikt postępu i reakcji. Teraz nagle zaczyna być przedstawiana jako konflikt między demokracją a totalitaryzmem. Szykuje się grunt pod ideę samoorganizacji społecznej. Wszyscy niegdyś czytali te teksty, ostatni raz mniej więcej 30 lat temu. I wszyscy wobec tego mamy trochę przekonanie, że już nie musimy do nich sięgać, że to zadanie zostało odrobione. Tymczasem kiedy czyta się je właśnie dzisiaj, uderza, jak ważne dla procesu przemiany myślenia lewicy były teksty Jacka Kuronia pisane na początku lat 70.⁴ Wspominam o tym dlatego, że Kuroń w historycznych narracjach to przede wszystkim człowiek czynu, działacz; na zdjęciach czy filmach siedzi przy telefonie i bez przerwy coś organizuje, załatwia. To Adam Michnik i Leszek Kołakowski byli intelektualistami lewicy, to oni pisali książki wyznaczające rytm intelektualnego życia opozycji. Jednak z dzisiejszej perspektywy, po lekturze tekstów Jacka Kuronia, wyraźnie można dostrzec jego doniosłą rolę na polu idei, rolę teoretyka i myśliciela. Jego artykuły są równie ważne, jak ówczesne publikacje Michnika czy Kołakowskiego w paryskiej „Kulturze”. To Kuroń był pierwszym teoretykiem samoorganizacji. Jest to widoczne nie tylko w niedokończonym doktoracie, wielkiej książce leżącej w archiwach i czytanej wyłącznie przez historyków, lecz przede wszystkim w tekstach publikowanych u Jerzego Giedroycia, bo wtedy przecież nie było jeszcze „drugiego obiegu”.

Potem powstał KOR, a po nim „Solidarność” i wreszcie nastąpił upadek komunizmu. Jednak jestem przekonany, że słowa mają znaczenie i są równie ważne jak czyny. Szczególnie kiedy pełnią funkcję ziaren, z których czyny później wyrastają. Dlatego też tak ważne dla zrozumienia późniejszych wydarzeń są owe teksty Jacka Kuronia z początku lat 70. Opisywana przez

⁴ Jacek Kuroń, *Polityka i odpowiedzialność*, Londyn 1984.

niego idea samoorganizacji społecznej stanowi polski wątek wielkiego i fascynującego procesu odrodzenia idei społeczeństwa obywatelskiego w skali uniwersalnej. Kłopot z przestawioną przez niego ideą polega na tym, że jest ona nacechowana swoistym myśleniem utopijnym (pisał o tym Jerzy Szacki w książce o społeczeństwie obywatelskim⁵). Czytając teksty Kuronia z tamtego czasu, mam poczucie, że opisywane przez niego prawdziwe społeczeństwo obywatelskie w gruncie rzeczy nigdy nie istniało. Było piękną ideą – z jednym małym wyjątkiem. We wspomnieniach Jacka Kuronia z tego czasu mowa o „komandosach” i środowisku lewicy warszawskiej, które po Grudniu 1970 pozornie wróciło do normalnego życia. Ludzie ci tworzyli krąg przyjacielski, razem jeździli na wakacje czy spotykali się w Warszawie u oo. dominikanów na Freta. Nie prowadzili wtedy działalności politycznej – ani w tej formie, w jakiej działali przed rokiem 1968, ani też w tej, w jakiej funkcjonowali już później. Jednak *de facto* to właśnie wtedy tworzyli naprawdę „społeczeństwo obywatelskie”, zbiorowość ludzi „żyjących w godności”, tworzących wyspę wspólnoty, oblewanej już to przez wrogi, już to przez obojętny ocean zewnętrznego świata. Piękny portret tej zbiorowości dał właśnie Kuroń w swoich wspomnieniach.

Kłopot z ideą społeczeństwa obywatelskiego czy też samoorganizacji, tak jak rozumiał ją kiedyś Kuroń, polega na tym, że nie da się jej implementować w większej skali, w skali całego społeczeństwa. Zarazem jednak ów intelektualny projekt – to prawda, że utopijny ze swej natury – jest polskim wkładem w powszechną historię idei politycznych i społecznych drugiej połowy ubiegłego stulecia. W tym sensie Jacek Kuroń jest nie tylko wielkim organizatorem, działaczem, politykiem, ale także osobą, która miała wpływ na sposób myślenia lewicy w XX wieku.

Musimy przy tym pamiętać, że polska lewica poszła wówczas odrębną, własną drogą. Na Zachodzie wiele środowisk lewicowych podążyło w kierunku radykalizmu, niektóre nawet doszły do terroryzmu, inne porzuciły

⁵ *Ani książkę, ani kupiec: obywatel. Idea społeczeństwa obywatelskiego w myśli współczesnej*, wstęp i wybór tekstów Jerzy Szacki, Kraków 1997.

marksizm na rzecz feminizmu, walki o prawa mniejszości seksualnych, ekologii. Tymczasem polska lewica na przełomie lat 60. i 70. spotkała się z ludźmi wierzącymi, z tradycją chrześcijańską oraz z polskim patriotyzmem. Pomijam nieporozumienia, którymi to spotkanie było obciążone, a które ujawniły się dopiero wiele lat potem. Był to moment prawdziwej wielkości, który przesądził o oryginalności polskiej drogi do wolności. Jacek Kuroń odegrał w tym dziejowym dramacie rolę pierwszoplanową – nie tylko jako działacz, lecz także jako myśliciel. O tym wymiarze jego dzieła nie możemy zapomnieć.

Karol Modzelewski

O strategiach i niestrategiach

Istnieją różne zdania na temat autorstwa *Listu otwartego do Partii*¹. Zawsze twardo powtarzaliśmy, że obydwaj jesteśmy jego autorami. Jednak, moim zdaniem, w tym tekście jest więcej mojego pióra, a Jacka Kuronia myśli.

Jacek był myślicielem-wizjonerem. Na granicy fantastyki nawet. Jednocześnie był człowiekiem żywego słowa. Starłem się to żywe słowo dyscyplinować i ująć w takie karby, by dawało się ono nie tylko powiedzieć, ale i napisać. To po pierwsze.

Po drugie, po latach nie umiałbym rozdzielić tego, co uważam za nadal godne uwagi w tym tekście, od tego, co wolałbym, by się w nim nie znalazło. Z całą pewnością nie było w naszym *Liście* strategii. Była natomiast droga do wyzwolenia, która wiodła nie przez żadną strategię czy praktykę, tylko przez utopię. Ale ten termin na dwojakię znaczenie. W pierwszym, dosyć trywialnym, a nawet pospolitym, utopia to sięganie po rzeczy nieosiągalne. Jednak to jest intelektualnie mało płodna interpretacja tego terminu.

Drugie znaczenie terminu „utopia” ma sens aksjologiczny: odnosi się do systemu wartości radykalnie przeciwstawionego jakiejś rzeczywistości, wobec której chcemy wyrazić sąd krytyczny, a potem podjąć krytykę praktyczną, czyli zmienić tę rzeczywistość. W tym sensie utopia jest być może świecką nazwą eschatologii. Nie jest możliwa chrześcijańska krytyka

¹ Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, *List otwarty do Partii*, Paryż 1966.

świata bez odwołania się do eschatologii, czyli wizji Królestwa Bożego na ziemi, która się temu widzialnemu światu przeciwstawia. Podobnie nie jest możliwa gruntowna krytyka tamtej dyktatury bez przeciwstawienia jej ładu, który uznajemy nie tylko za osiągalny (bo to kwestia ważenia szans), ale też za konieczny w sensie moralnym, to znaczy taki, za który gotowi jesteśmy w ostateczności nawet głowy położyć. W tym rozumieniu nasz *List* był utopijną propozycją.

Intelektualistom *List otwarty do Partii*, a zwłaszcza jego manifestowo-programowa strona, na ogół się nie podobał. Uważali go za utopijny właśnie, za mało odpowiedzialny, wywołujący „wojenkę” z władzą, bo naraża te skromne, ale realne obszary względnej swobody, jakie społeczeństwo polskie posiada. A posiadało niemało, bo do 1968 roku w sferze wykształcenia, szkolnictwa wyższego czy nauki istniał znaczny margines swobody słowa: profesjonalnego, zawodowego i dydaktycznego. Natomiast podobną im się warstwa krytyczna – krytyka systemu. Ale ta krytyka nie byłaby możliwa, gdyby jej drogi nie oświetlał ów blask utopii.

Wierzyliśmy wtedy w pewną strategię wyzwolenia. Na podstawie „Rocznika Statystycznego” wyliczyliśmy, że musi ono nastąpić w pięcioleciu 1965–1970, bo założenia planu pięcioletniego „sprawiły, że klasa robotnicza będzie zmuszona wystąpić przeciwko centralnej, politycznej biurokracji w obronie swojego standardu życia na poziomie minimum egzystencji”. Potem nam gratulowano, że tak dobrze wyliczyliśmy: nastąpiły wydarzenia grudniowe, które w tym kalendarzu (od biedy) się zmieściły... Nie czułem jednak dumy, kiedy te wydarzenia miały miejsce. Uważałem, że nie mamy do czynienia z rewolucją robotniczą (a o niej myśleliśmy), lecz z robotniczym buntem o skromnych rezultatach. Nie byłem już zresztą skłonny tych rezultatów lekceważyć.

Nie mnie oceniać, czy *List otwarty*... wywarł wrażenie na młodych ludziach. Czy to on przyczynił się do wszczęcia fermentu na Uniwersytecie Warszawskim, który – później – stał się zapłonem wydarzeń Marca '68. One zresztą nie były jakimś strategicznym działaniem, które miało na widoku zmianę systemu. Według mnie była to bitwa obronna, podjęta w stanie

wyższej konieczności, wymuszona przez decyzje władz PRL zmierzające do likwidacji marginesu swobód, jakim cieszyli się od 1956 roku inteligencja twórcza, ludzie kultury i wyższe uczelnie. Nie udało nam się tych niekorzystnych zmian powstrzymać – w tym sensie Marzec to walka przegrana. Zdaję sobie sprawę, że to mało popularny punkt widzenia.

Pisałem już (w *Zajeźdźmy kobyłę historii*²) o tym, jak Jacek Kuroń, przy moim aprobującym milczeniu, tłumaczył Adamowi Michnikowi, że jeżeli młodzi opozycjoniści z Uniwersytetu przekroczą pewną granicę w prowokowaniu władz i manifestowaniu woli oporu, to wszyscy zostaną aresztowani. Adam zdumiewał się: za co? – widocznie wierzył w praworządność socjalistyczną. Jacek odpowiadał: nie za co, tylko po co, a jak chcesz wiedzieć, z jakiego przepisu, to powiem: za nielegalną organizację. – Nie wygłupiaj się, przecież nie ma żadnej organizacji. – A ulotki są? – Są. – Ktoś pisał? – Pisał. – Ktoś kolportował? – Tak. – Więc musieli się dogadać ze sobą i masz organizację – mówił Jacek. – Petycja była? – Była. – Ktoś zbierał podpisy? – Zbierał. – Ktoś wystąpił do Sejmu tak, żeby bezpieczeństwa nie przechwyciła? – Wystąpił. – No to masz organizację, niczego więcej im nie potrzeba. – Ale to niemożliwe, musieliby kogoś złamać. – Adasiu, złamię niejednego.

Jacek Kuroń – inaczej niż młodsze pokolenie – miał już pewne doświadczenie w relacjach z władzą. Jednak w chwili usunięcia z uniwersytetu Adama Michnika i Henryka Szlajfera znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia. Starłem się, żeby nie doszło do wiecu. Nie chciałem, by młodzi ludzie zawędrowali do więzienia, bo to jest okropna trauma. Wiedziałem, że wylecą ze studiów, a to dla niejednego oznacza złamanie życia. Nie byłem już tak rewolucyjny, aby brać to na swoje sumienie. Skoro jednak władza zaatakowała, to trzeba było walczyć i próbować się bronić.

To była istota Marca '68. Pomijam w tej chwili nagonkę antyżydowską, która miała na celu nie tylko intoksykację pewnej części społeczeństwa

² Karol Modzelewski, *Zajeźdźmy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca*, Warszawa 2013.

i pozbawienie go odruchu solidarności, ale przede wszystkim wynikała z sytuacji wewnątrz partii rządzącej. Przeżyliśmy traumę, która dotknęła także obóz rządzący. Ta trauma odbijała się czkawką, a jej echa można było usłyszeć podczas obchodów 40. rocznicy wydarzeń marcowych.

Podkreślam raz jeszcze: w naszych działaniach w tym okresie nie było strategii. One zostały na nas wymuszone. Musieliśmy bronić się przeciwko przekreśleniu marginesu swobody, tak istotnego dla funkcjonowania kultury i wyższych uczelni oraz dla całego życia narodowego. Z elementem strategii – być może – mieliśmy natomiast do czynienia w czasie KOR-u. Jednak na ten temat wypowiadam się ostrożnie, bo sam nie byłem jego członkiem. Nie chodziło o różnicę opcji strategicznych, tylko osobistych. Praca historyka-mediewisty jest bardzo pracochłonna, podobnie jak walka z systemem. Można zajmować się jednym albo drugim, ale nie jednym i drugim naraz. W latach 70. wybrałem mediewistykę. Może to i wstyd, ale nie żałuję tego wyboru. Gdybym przystąpił do KOR-u, na swoim zawodowym terenie nie byłbym tym, kim jestem. Ale wiedziałem i wiem, że to, co w KOR robili Jacek Kuroń czy Adam Michnik, było walką w sprawie, którą uważałem za swoją.

W tym czasie zaszła zresztą w opozycji dość istotna zmiana sposobu myślenia. Nie wiem, na ile dotyczyła ona Jacka Kuronia, ale na pewno KOR-u jako całości. Następową nie do końca świadomą ewolucją: od działań – mających odległe korzenie rewizjonistyczne – w obronie środowiska robotniczego jako zbiorowości do obrony jednostek. Mój pogląd może zaskakiwać, bo KOR powstał, aby bronić robotników: bitych, poniewieranych, wyrzucanych z pracy. Jednak deklaracja założycielska Komitetu Samoobrony Społecznej KOR została przygotowana po spełnieniu przez władze (amnestia lipcowa) postulatów *Apelu do społeczeństwa i władz PRL* z września 1976 roku. Tekst, który stał się manifestem KSS KOR, powstał jako deklaracja założycielska Komitetu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Nazwa ta i formuła została jednak przechwycona przez Leszka Moczulskiego, wówczas założyciela ROPCiO. Moi przyjaciele z KOR-u byli tym tak oburzeni, że mówili o kradzieży.

Filozofią KSS KOR była filozofia praw człowieka, a więc myślenie o charakterze liberalnym. Filozofia polityczna liberalizmu stawiała się od lat 70. elementem konstytutywnym polskiej opozycji demokratycznej.

Dla środowiska KOR-u charakterystyczny był też realizm. Ludzie ci nie stronili od publicznej afirmacji wartości, które nosili w sercu, ale nie chcieli forsować ich realizacji w przewidywalnych warunkach, gdy narażało to kraj na katastrofę. Próbowali natomiast, poprzez fakty dokonane, poszerzać samoorganizację i aktywność społeczną oraz zasięg faktycznych, a nie tylko deklarowanych swobód obywatelskich. Wszystko to oczywiście zmieniało sam sposób funkcjonowania tego systemu.

To samo można powiedzieć o strategii – bo tam rzeczywiście była strategia – „Solidarności” w latach 1980–1981. Wpisane w nią było usiłowanie stawienia czoła kwadraturze koła, bo wyrok śmierci na ustrój, czyli na dyktaturę, został podpisany 30 sierpnia w Stoczni Szczecińskiej i 31 sierpnia 1980 roku w Stoczni Gdańskiej. Wraz z utworzeniem wielkiego ruchu robotniczego – związku zawodowego faktycznie niezależnego od partii – system utracił spójność i zdolność normalnego funkcjonowania. Partia, choćby nie wiem co robiła, nie była w stanie tego zmienić.

„Solidarność” realizowała strategię... Otwarte pozostaje pytanie, na ile świadomie była w stanie ją realizować. Jej przywódcy byli w swoich decyzjach uwarunkowani ówczesnymi możliwościami. Był to ruch mało sterowny. Istniał w nim wreszcie kult przywódców. Owszem, to bardzo nas – chyba mogę powiedzieć w pierwszej osobie liczby mnogiej – „niosło”. Ten kult działał niczym groźny narkotyk. Sam go czułem i bardzo mi smakował... To jednak nie znaczy, że istniał posłuch wobec przywódców, jeśli oni nie potrafili wytłumaczyć, o co chodzi i dlaczego należy coś zrobić. Znaleźliśmy się między Scyllą a Charybdą, czyli między faktycznie trwającą rewolucją w Polsce jako powszechnym stanem ducha a wymogami geopolitycznego realizmu. Trzeba było znaleźć drogę, która by nam pozwoliła przetrwać jako ruchowi społecznemu, wielkiemu i niezależnemu, oraz zmodyfikować system władzy komunistycznej i kontroli kremłowskiej nad Polską na tyle, aby na dłuższą metę współistnienie obu tych stron było możliwe. Na ile to

było utopijne, życzeniowe myślenie, to jest oczywiście dziś interesujący problem, ale czysto akademicki. Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć ze stuprocentową pewnością, ale tak było. Jednak wtedy nie wolno było przyjąć założenia, że walczymy o jakąś chimerę. Jeśli się pełniło funkcję związkową, to trzeba było się zachowywać odpowiedzialnie, bo od tego zależał los wielu ludzi, a może i kraju.

I jeszcze jedno zastrzeżenie: nie była to strategia wyzwolenia i zrzucenia z karku dyktatury, lecz raczej związania władzy rąk, by – przynajmniej w pewnych sferach życia społecznego – nie mogła ona rządzić na sposób dyktatorski oraz by udało się pogodzić z jej dalszym istnieniem. Bardzo trudne zadanie, które okazało się nie do zrealizowania.

Jack Kuroń porzucił to myślenie, kiedy pisał o rządzie narodowym. Ja też wypowiedziałem nieszczęsne słowa o ostatnim boju, słowa, które potem łatwo było odpowiednio zmontować i użyć w propagandzie „wojennej”. Ale wbrew pozorom nie zamierzałem porzucić realizmu. Tu się od Jacka różniłem. Jednak była to różnica czysto akademicka, zważywszy na to, co niebawem nastąpiło.

W czasach pierwszej „Solidarności” krążył dowcip dotyczący realizmu i fundamentalizmu w naszym ruchu. Podczas strajku w Stoczni Gdańskiej wychodzi dyrektor Klemens Gniech i pyta: – Czego wy, strajkujący, chcecie? – Żądamy 1500 zł podwyżki i budowy pomnika. – Dyrektor Gniech się zgadza. Stocznia strajkuje dalej. – Czego jeszcze chcecie? – Żądamy wolnych związków zawodowych. – Dyrektor Gniech waha się, ale się zgadza. Stoczniovcy nadal strajkują. – Żądamy wolnych wyborów do Sejmu. – Po tym jak dyrektor Gniech wyraża zgodę także na wolne wybory, orkiestra gra *Jeszcze Polska nie zginęła*. Ale Stocznia strajkuje dalej. Gniech znowu wychodzi i pyta: – Ludzie, czego wy jeszcze chcecie? – Żądamy rozwiązania Związku Radzieckiego. Dyrektor Gniech wyraża zgodę i wtedy orkiestra stoczniowa gra *Boże, cara chrani...*

Lubimy myśleć, że to my obaliliśmy Związek Radziecki. Lech Wałęsa nawet mówi, że to on obalił imperium komunistyczne. Można powiedzieć, że ono się wyrzuciło samo. Imperium potknęło się o mikroprocesor, czyli

przegrało wyścig zbrojeń. Przegrało, bo próbowało się zmodernizować i przy okazji zdemokratyzować. Jeżeli zatem pytamy, kto obalił Związek Radziecki, to odpowiedź brzmi: Michaił Gorbaczow i jego współpracownicy. To oni wbrew własnym zamiarom doprowadzili do jego rozpadu. Czy miała w tym udział nasza strategia? Tego nie wiem. Ale na pewno było to nasze wyzwolenie.

Janusz Reykowski

O działaniu wewnątrz systemu

W tytule *Strategie wyzwolenia, czyli jak zrzucić dyktaturę. Myślenie wewnątrz i na zewnątrz systemu* jest, jak sędzę, pewna przesada. O „zrzuconiu dyktatury” przez większość okresu PRL chyba nikt, oprócz skrajnych radykałów, na serio nie myślał. Wszakże tak na zewnątrz, jak wewnątrz systemu istniały środowiska, które dążyły do jego mniejszej lub większej modyfikacji. Zajmę się właśnie środowiskami wewnątrzsystemowymi.

Sędzę, że można wyodrębnić co najmniej dwa typy tych środowisk. Jedno składało się ze „starszych”, a więc takich, którzy do życia publicznego wchodzili w okresie formowania się nowego systemu lub wcześniej. Ludzie ci przejęli się w jakimś stopniu ideologią odbudowy kraju i emancypacją upośledzonych warstw społeczeństwa („ludu”). Wielu z nich uznawało się za lewicowców. Można powiedzieć, że w ich działaniach ważną rolę odgrywały motywy ideologiczne.

Drugi typ środowisk – „młodszych” – składał się z ludzi, którzy do życia publicznego wchodzili później i w znacznym stopniu kierowali się motywami pragmatycznymi.

Oba te typy środowisk miały wspólną cechę – podobne założenie politycznego światopoglądu: traktowały PRL jako pewną, na danym historycznym etapie niezbędną, formę przystosowania kraju do geopolitycznej sytuacji, w jakiej się znalazł. Przystosowania umożliwiającego realizację ograniczonych, ale bardzo ważnych celów narodowych i społecznych. Nie

chodziło tu o przystosowanie indywidualne, lecz narodowe. Indywidualne czy osobiste przystosowanie to zupełnie inna kwestia.

Z tego punktu widzenia władze PRL, od czasu Października 1956, nie były postrzegane jako wykonawcy woli moskiewskiego imperium, ale jako swego rodzaju liderzy owego procesu przystosowania, na których ciążył obowiązek znajdowania optymalnych jego sposobów. Tworzenia warunków materialnego i duchowego rozwoju kraju.

Tu trzeba dodać dwa ważne zastrzeżenia.

Po pierwsze, za owych liderów nie uważano władzy jako całości. Dostrzegano, że w jej szeregach jest niemało ludzi, którzy – czy to ze względu na troskę o własny polityczny interes, czy też z uwagi na cechy mentalności (w szczególności na tendencje autorytarne) – w małym stopniu troszczą się o interes narodowy. Są raczej ekspozyturą obcego mocarstwa.

Drugie zastrzeżenie dotyczy oceny polityki prowadzonej przez władze. Sądzono, że wiele jej posunięć owym celom rozwojowym nie służy czy wręcz im szkodzi. Tak na przykład na ogół uważano, że dobrze im służy bezpośrednio popaździernikowa polityka Władysława Gomułki czy polityka Edwarda Gierka w pierwszych latach jego rządów. A polityka późnego Gomułki i późnego Gierka służy im źle.

Przyjmując takie założenia politycznego światopoglądu, zakładano, że z władzą się nie walczy, tylko negocjuje. A także uznawano, że każdy w swoim zakresie możliwości i odpowiedzialności ma realizować cele, które przyczyniają się do poszerzania obszaru swobody, zwiększania racjonalności w działaniach instytucji, chronienia tych, którzy w gorsecie tworzonemu przez system źle się mieszczą. Innymi słowy, chodziło o modyfikacje systemu tak, aby mógł on w większym stopniu sprzyjać realizacji celów narodowych i społecznych.

Ludzi, którzy tak pojmowali swoją rolę, można było spotkać w różnych ogniwach systemu, a także w strukturach, które do systemu nie należały, ale musiały się z nim liczyć. Jako przykład tych ostatnich można wskazać redaktorów „Tygodnika Powszechnego”, ale można było ich znaleźć nawet w najbardziej „wrażliwych” ogniwach systemu. Karol Modzelewski w swej

ostatniej książce *Zajeżdźmy kobyłę historii*¹ opisuje takich ludzi, z którymi zetknął się w aparacie sprawiedliwości i w więziennictwie.

Omawiana tu ideologia korygowania systemu nie przez konfrontację i walkę, lecz przez negocjacje, perswazję, wykorzystywanie własnego autorytetu czy przez określone praktyki miała szczególne uzasadnienia, jeśli można tak je określić, biograficzne. Wynikały one z losów życiowych i doświadczeń owego pokolenia „starszych”. Na cztery charakterystyczne cechy tych doświadczeń chciałbym tu zwrócić uwagę.

Otóż byli to ludzie, których większość miała kiedyś poczucie silnego związku z kulturą zachodnią i którzy wierzyli w siłę oraz szlachetność zachodnich mocarstw. Oczekiwali, że właśnie dzięki nim nastąpi wyzwolenie Polski z niemieckiej okupacji, stanowiącej śmiertelne zagrożenie dla narodu. Historia sprawiła im ogromny zawód – wyzwolenia z Zachodu się nie doczekali.

Byli to ludzie, którzy mieli wyraźnie w pamięci tragiczne doświadczenia wojenne. Chyba najbardziej tragicznym z nich była klęska powstania warszawskiego i jego konsekwencje dla narodowej substancji. Zdawano sobie sprawę z tego, że wydarzenie to było rezultatem określonego sposobu myślenia o polskich sprawach. Ilustracją tego sposobu myślenia może być wypowiedź gen. Leopolda Okulickiego na jednej z narad przed wybuchem powstania. Miał on przedstawić następującą opinię: „Musimy zdobyć się na wielki zbrojny czyn. Podejmiemy w sercu Polski walkę z taką mocą, by wstrząsnęła opinią świata. Krew będzie się lała potokami, a mury będą się walić w gruzy. I taka walka sprawi, że opinia świata wymusi na rządach przekreślenie decyzji teherańskiej, a Rzeczpospolita ocaleje”². Strategia oparta na tym sposobie myślenia doprowadziła do wielkiej narodowej klęski. Należało zrobić wszystko, aby nic podobnego nie mogło się powtórzyć.

¹ Karol Modzelewski, *Zajeżdźmy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca*, Warszawa 2013.

² Jan Matłachowski, *Kulisy genezy Powstania Warszawskiego*, Londyn 1978.

Ludzie ci mieli też w pamięci tragiczny przebieg wojny domowej, która kosztowała życie bardzo wielu Polaków. I bardzo wielu innym życie zła-mała. Jednym z jej istotnych powodów była niemożność pogodzenia się z rzeczywistością, niezdolność do przyjęcia postawy, której ilustracją może być, przytoczony w książce Karola Modzelewskiego, dialog, jaki odbył się w 1945 roku między Aleksandrem Gieysztorem a Tadeuszem Manteufflem. Ten pierwszy powiedział o swoim zamiarze przystąpienia do komendy WiN, na co ten drugi, „niekwestionowany przywódca środowiska historyków”, oznajmił: „Teraz nie będziemy robić żadnej partyzantki, tylko uniwersytet”³.

Był wreszcie jeszcze jeden powód, który odgrywał istotną rolę w kształtowaniu postaw owego pokolenia „starszych”. Była to krytyczna ocena stosunków społecznych, jakie panowały w II Rzeczypospolitej. Procesy, które zachodziły w Polsce, przyczyniały się do naprawienia wielu dawnych krzywd (choć nie można zaprzeczyć, że powodowały nowe).

Omawiane tu doświadczenia wywarły wpływ na kształtowanie umysłów znacznej części owego pokolenia „starszych”. Wielu z nich żywiło przekonanie, że nie można dopuścić do powtórzenia, w jakiegokolwiek formie, wydarzeń, które narażałyby polskie społeczeństwo na nowe ofiary. Już i tak poniosło one ogromne straty wśród swych najlepszych córek i synów. Zasada politycznego realizmu stała się w tym pokoleniu ideą wiodącą.

Warto uprzytomnić sobie, że w następnych pokoleniach rację, o których tu była mowa, traciły na znaczeniu. Ale długo jeszcze miały pewien wpływ na myślenie o polskich sprawach. Tak na przykład poważni krytycy systemu, działający w szeregach demokratycznej opozycji, wykazywali znaczny umiar w formułowaniu celów i sposobów swojej działalności. Wyrażały to na przykład formuła Jacka Kuronia, aby tworzyć komitety, zamiast je palić, a także idea samoograniczającej się rewolucji, której starały się trzymać kierownicze kręgi „Solidarności”. Okrągły Stół był najlepszym wyrazem poszukiwania strategii zmian, które mają przekształcać system, nie doprowadzając do groźnej konfrontacji.

³ Karol Modzelewski, *Zajeździemy kobyłę historii...*, s. 82.

Ten sposób myślenia zupełnie zanikł wśród pokolenia najmłodszego – wstępującego w życie publiczne w okresie, gdy system PRL-u utracił niemal wszystkie te cechy, które go w jakimś stopniu legitymizowały. Przez dziesięciolecia władzę PZPR legitymizowały: odbudowa kraju, awans społeczny warstw plebejskich, uprzemysłowienie kraju, upowszechnianie kultury. No i okoliczności geopolityczne. Powstanie „Solidarności” – masowego ruchu protestu – podważyło legitymizację PZPR, zaś stan wojenny pokazał, że może się ona utrzymać przy władzy jedynie dzięki przemocy. Opresja polityczna i niewydolna, niedająca perspektyw dla nowych pokoleń gospodarka tworzyły podstawy do buntu młodzieży przeciwko systemowi. Trudno się dziwić, że znaczna część pokolenia, które wchodziło w życie w latach 80., wyrażała poglądy radykalnie antykomunistyczne i konfrontacyjne postawy wobec systemu.

Opisywana tu formacja „starszych”, stojących na stanowisku politycznego realizmu, którzy starali się modyfikować system od wewnątrz, topniała pod wpływem niepowodzeń tej polityki. Dobitym przejawem tych niepowodzeń były wydarzenia, które opisujemy dziś, wskazując ich daty lub miejsca, takie jak marzec i sierpień 1968, grudzień 1970, Radom–Ursus 1976, sierpień 1980, grudzień 1981 roku.

Wszakże była jeszcze inna kategoria ludzi, którzy starali się jakoś modyfikować system od wewnątrz: owi wspomniani wyżej „młodszy”. Byli to osoby, które w życiu publicznym pojawiły się dużo później niż „starsi”. Wiele z nich ukończyło dobre uczelnie i znalazło się na różnych stanowiskach w aparacie gospodarczym czy politycznym, a także w mediach i innych instytucjach. Znaczna ich część mogła mieć przekonanie, że swój społeczny awans zawdzięczają temu właśnie systemowi. Zastępowali oni odchodzącą już kadrę z pierwszego zaciągu, rekrutowaną, bardzo często, ze słabo wykształconych warstw plebejskich.

Ci „młodszy” – dzięki otrzymywanym stypendiom, a także w związku z zajmowanymi stanowiskami – miewali kontakty ze światem zachodnim. Byli to fachowcy, nastawieni pragmatycznie, którym mogło zależeć na racjonalnym i efektywnym funkcjonowaniu instytucji, z jakimi się związali.

Otóż ludzie ci doświadczaali, nieraz bardzo boleśnie, nieracjonalności i nieefektywności systemu, w którym działali. Przekonywali się także, że ich sytuacja życiowa, mimo posiadanych przywilejów, bardzo się różni na niekorzyść od sytuacji ich odpowiedników w krajach zachodnich. Wielu miało dojmujące poczucie, że ich indywidualne wysiłki naprawcze nie przynoszą rezultatów. Byli otwarci na poważne reformy systemu lub, w jakimś zakresie, sami starali się je inicjować. Jako przykład takich usiłowań można wspomnieć słynny raport trzech (Stanisława Cioska, Władysława Pożogi i Jerzego Urbana).

Formacje zarówno „starszych”, jak i „młodszych” nie tworzyły organizacji ani sieci związków – nie ukształtowały się w odrębną siłę polityczną, choć ludzie o podobnych zapatrywaniach jakoś się rozpoznawali i współdziałali. Ale istniały też mechanizmy, dzięki którym te rozproszone środowiska mogły kierować się podobnymi celami i zasadami. Taką integrującą rolę odgrywały niektóre tytuły prasowe, w pierwszym rządzie tygodnik „Polityka”. Na jego łamach artykułowano postulaty zmian, atakowano autorytarne cechy systemu, krytykowano przejawy nieefektywności i nieracjonalności w jego funkcjonowaniu, formułowano idee reform. Redaktor naczelny tygodnika, Mieczysław Rakowski, może być traktowany jako jedna z czołowych postaci owych środowisk nastawionych na korygowanie systemu od wewnątrz. Nic więc dziwnego, że wywoływał tak wielką niechęć w Moskwie. Ale nie tylko on. Innym „tępieniem” na łamach radzieckich publikacji i przez krajowych fundamentalistów był Jerzy Wiatr.

Można zastanawiać się, czy ta wewnętrznyssystemowa opozycja miała jakiś znaczący wpływ na system i życie kraju. Sądzę, że odpowiedzią na to pytanie może być porównanie sytuacji w Polsce z sytuacją we wszystkich innych krajach zaliczanych do tzw. obozu socjalistycznego. Pod względem poziomu indywidualnych wolności, warunków rozwoju nauk społecznych i kultury, możliwości kontaktów ze światem zachodnim sytuacja w Polsce różniła się zasadniczo od sytuacji krajów sąsiednich. Oczywiście nie można zapominać, że do ukształtowania owych różnic w znacznym stopniu przyczynił się opór społeczny przed, jak to dziś się określa, „sowietyzacją”

Polski. Ale opór ten mógł być skuteczny dzięki temu właśnie, iż wewnątrz systemu działały siły, które system ten starały się korygować. W krajach, gdzie takich sił nie było, a także w Polsce w okresie stalinowskim, opór łamany był przemocą.

Opisywana tu wewnątrzsystemowa opozycja stawiała sobie cele znacznie bardziej ograniczone niż opozycja, która kształtowała się poza systemem i system kontestowała. Działacze tej ostatniej realizowali jej cele kosztem wielkich osobistych ofiar i dlatego nie można na jednej płaszczyźnie porównywać obu tych formacji. To właśnie przede wszystkim dzięki tej pozasystemowej, demokratycznej opozycji proces polityczny w Polsce przybrał formę radykalnej, prodemokratycznej zmiany i ostatecznie doprowadził do likwidacji systemu. Ale do płynnego przebiegu tego procesu przyczynili się w niemałym stopniu ludzie, którzy starali się poprawiać system od wewnątrz. Przez długi czas pragmatycznie nastawieni fachowcy i działacze nie widzieli szans na radykalną zmianę. Kiedy jednak takie szanse się pojawiły, stali się oni wewnętrznym oparciem dla polityki porozumienia z demokratyczną opozycją i otwarcia drogi do rewolucyjnych zmian systemu.

Wierność i zdrada po 1989 roku:

wobec dylematów moralnych, politycznych, ekonomicznych i społecznych czasu transformacji

Rewolucja 1989 oraz problem wierności i zdrady. Ujawnianie się różnic, pojawianie się podziałów, napięć i konfliktów w dawnym obozie opozycyjnym. Wzajemne oskarżenia o zdradę ze względu na podejmowane wybory polityczne i decyzje gospodarcze. Stosunek do dziedzictwa pierwszej „Solidarności” i odchodzenia od niej elit. Różnice wynikające ze stosunku do Kościoła katolickiego i jego roli w życiu publicznym oraz oceny procesu lustracji i dekomunizacji.

Adam Michnik

Wierność. Uwagi

Nie znam drugiego człowieka, który tak bardzo wyrzuciłby sobie winę za zdradę swoich ideałów, jak Jacek Kuroń. I nie znam człowieka, który byłby tak wierny swoim ideałom. Oczywiście, przyglądając się jego biografii i jego pismom, można zauważyć sprzeczności i ewolucje. On był jednak zawsze wierny swojej podstawowej aksjologii.

I

Co składało się na jego system wartości? Po pierwsze, egalitaryzm. Wierność skrzywdzonym i poniżonym w rozmaitych kontekstach historycznych oraz wobec różnych wyborów politycznych. Jednocześnie dla mnie konstytutywną cechą Jacka Kuronia było jego rozdarcie. To był człowiek wartości lewicowych, a musiał wprowadzać do Polski kapitalizm.

W Polsce zderzają się dwie utopie: prospektywna i retrospektywna. Konserwatyzm, który oglądam dziś w Polsce, to jest utopia retrospektywna. Nie wiem, co to znaczy być konserwatystą, kiedy mowa o podatkach czy o stosunkach pracy. Owszem, wiem, co to znaczy być konserwatystą, jeśli chodzi o sferę obyczajową. Tutaj Jacek Kuroń z całą pewnością konserwatystą nie był.

II

Istnieje też wiele nieporozumień związanych z Jackiem Kuroniem. Mówi się o jego nieporozumieniu w spotkaniach z chrześcijaństwem, z Kościołem. Nie

można jednak zapominać, że on rozmawiał z innym Kościołem. Odmiennym od znanego nam dzisiaj i funkcjonującym w innym kontekście. Kościół, z którym miał do czynienia Jacek Kuroń, był Kościołem Jana Pawła II, księdza Józefa Tischnera, Jana Andrzeja Kłoczowskiego OP, Jerzego Turowicza i Tadeusza Mazowieckiego. Z całą pewnością to nie był Kościół ojca Tadeusza Rydzyka czy księdza Dariusza Oko. Być może nieporozumienie, o którym dziś się mówi, wynikało z – mojej czy Kuronia – idealizacji Kościoła. Z tego, że jego część braliśmy za całość. Można jednak powiedzieć, że na tej samej zasadzie wielu ludzi w połowie lat 50. idealizowało PRL czy marksizm. Bo jeżeli marksistowskim filozofem miał być Leszek Kołakowski, to marksizm nie był taki zły...

Kiedy się mówi o nieporozumieniach, trzeba mieć świadomość ulokowania w różnych kontekstach. Nie przypuszczam, aby Jacek Kuroń musiał zmieniać swoją opinię o chrześcijaństwie, które szanował. Natomiast w żadnej barwie ideologicznej – czy czerwonej, czy czarnej – nie znosił języka nietolerancji, wrogości czy anatemy.

III

On też ciągle szukał szans na przewyciężanie rozdarcia, do jakiego doszło po 1989 roku. Jednym z narzędzi miała być idea paktu o przedsiębiorstwie. Jeżeli ona nie zadziałała, to odpowiedzi na pytanie o przyczyny niepowodzenia trzeba szukać nie tylko w konkretnych wyborach Jacka Kuronia czy jego przyjaciół, ale też w całokształcie sytuacji: co się dzieje w przedsiębiorstwach, co się w dzisiejszym świecie stało z pojęciem klasy robotniczej.

W roku 1989 trzeba było wyciągnąć Polskę z czarnej dziury, z zapaści gospodarczej i z szalejącej inflacji. Pytałem wówczas Tadeusza Kowalika o rozwiązania inne niż proponowane przez Leszka Balcerowicza. Nie usłyszałem ich. Ani ja, ani Jacek Kuroń nie byliśmy bezkrytycznymi fanami Balcerowicza, ale w tamtym momencie dla Polski nie było innej drogi.

IV

Jacek był też wierny swojej filozofii spotkania z inaczej myślącymi. Jego filozofią było otwarcie na ludzi innych kultur, innych pamięci zbiorowych, innych wyznań, innych języków, a trudno rozmawiać z uważającymi, że wszystkie prawdy objawione są w projekcie i języku obozu narodowo-radykalnego.

Stawialiśmy sobie nieustannie pytanie: gdzie jest granica rozmowy? Byłem wściekły na Jacka, że on rozmawiał z ubekami. Miałem zasadę, że ubekowi nawet „dzień dobry” nie mówię. Pamiętam, że Kuroń miał do mnie pretensję, kiedy nie podałem ręki prokuratorowi wojskowemu. „Nie będę podawał ręki komuś, kto służy ludziom, którzy niewolą mój kraj i tak dalej”. A on na to: „Dlaczego napisałeś taki brutalny, obrzydliwy list do generała Kiszczaka? Przecież było mu przykro”. U Jacka to było konstytutywne, a nie taktyczne. On w każdym drugim człowieku widział potencjalny obiekt swojej misji apostołskiej. Piszę bez ironii: on naprawdę uważał, że każdego uda się przekonać. I tu był konsekwentny.

Po 1989 roku pojawiło się mnóstwo pomysłów lustracji czy dekomunizacji. Jacek Kuroń uważał zaś, że wolna Polska jest dla wszystkich. Wszystkim trzeba otworzyć drzwi. Pozostał wierny sobie i był fundamentalnie przeciwny ograniczaniu, organizowaniu polowania na czarownice, tej retoryce dzikiego antykomunizmu i zwierzęcym, orwellowskim godzinom nienawiści, które słyszeliśmy w parlamencie – chociaż w porównaniu z tym, co obserwujemy, to były czasy salonowych dyskusji. Kiedy padały zarzuty, mówił o utraconym ładzie etycznym – politycznie nie da się tego przecież zadekretować. Jacek Kuroń dokonywał wyborów i życiowych, i politycznych w imię tego zmysłu etycznego. Jego wybory polityczne nie zawsze dzisiaj dają się obronić, nikt nie jest nieomylny, ale etycznie dadzą się obronić zawsze, o tym jestem przekonany.

V

Jeżeli wymieniać teksty ważne dla Jacka Kuronia i dla całego jego środowiska, to przypominałbym dwa artykuły Leszka Kołakowskiego: mniej znany cykl z 1957 roku opublikowany na łamach „Nowej Kultury” – *Odpowiedzialność*

i historia – oraz słynny tekst z „Kultury” paryskiej z 1971 roku zatytułowany *Tezy o nadziei i beznadziejności*. Sądzę, że oba były dla Jacka ważne, bo odpowiadały na pytanie, jak żyć w godności *hic et nunc*. Często wracał do takiego przekonania, że w 1968 roku inteligencja i studenci byli osamotnieni, w 1970 roku w Grudniu oni pozostawili osamotnionych robotników, i teraz, w 1976 roku, naszym moralnym obowiązkiem jest spłatenie tego długu.

Wracam tu do myśli Maksa Webera. Jak wypełnić to zobowiązanie? Otóż projekt Jacka Kuronia „nie palcie komitetów” był oczywistą aluzją do komitetów partyjnych palonych w Grudniu 1970; „tylko zakładajcie własne” – należy się organizować w sposób jawny, bo to pozwala przełamać dwie bariery: barierę strachu i barierę pasywności, bierności. W tej sprawie Jacek był wierny aż do końca.

Kiedy po 1989 roku pojawił się spór, Jacek lubił mawiać: „przegrałem wszystko”. A ja na to: „Jacuś, przegrałeś wszystko, bo wygrałeś wszystko, przecież jak Cię zamykali w 1965 czy 1968 roku, czy później jeszcze, nie śmiałeś marzyć o tym, że dożyjesz wolnej Polski, demokratycznej, bez Armii Czerwonej, z wolnymi wyborami, bez granic, w Unii Europejskiej, w NATO, bezpiecznej Polski. Przecież to jest coś nadzwyczajnego, co się dokonało bez barykad, bez szubienic, bez plutonów egzekucyjnych, bez zemsty”.

„Bez przemocy” – to było dla niego niesłychanie ważne. Nie wolno się mścić – o tym był przekonany. Z czasów KOR-u pamiętam dyskusję o Katyniu. Jeden z naszych mentorów mówił, że trzeba wydać oświadczenie i domagać się ukarania winnych. Jacek Kuroń twierdził, że nie ma sensu ciągnąć starych ludzi po sądach, my walczymy o prawdę i zadośćuczynienie skrzywdzonym, ale nie wołajmy o prokuratora i kata. To nie jest nasz etos. W wolnej Polsce pozostał temu konsekwentnie wierny.

VI

Jeszcze jedna uwaga, jeśli chodzi o świat pracy i Kościół. Kiedy Jacek Kuroń był ministrem w rządzie Hanny Suchockiej, ogólnopolski duszpasterz świata pracy, ks. abp Tadeusz Gołtowski, zaprosił go do Częstochowy na spotkanie z duszpasterzami świata pracy. Jacek wrócił załamany. Opowiadał: to

był jeden wielki wrzask, oszalała roszczeniowość i niebываłe oskarżenia pod adresem państwa. Prymas Józef Glemp użył sformułowania: rządy SLD to jest zmutowany komunizm. Pamiętam wściekłość Jacka, kiedy mówił: „przez cały okres komunizmu on by się tak nie odważył powiedzieć, bo by się bał komunistów, a teraz, w innej Polsce, on mówi takie rzeczy, że mamy zmutowany komunizm, przecież to jest oburzające”.

Jacek Kuroń pozostał wierny sobie i w tym sensie był dinozaurom innej epoki i innych wartości: był idealistą, ale jednocześnie niestychnie pragmatycznym, był dżentelmenem, bo tylko dżentelmeni biorą się za sprawy beznadziejne.

Karol Modzelewski

Jacek Kuroń i konieczności

Mówiący i piszący o przemianach po 1989 roku wskazują na konieczności, które warunkowały działania rządzących. Najczęściej formułowano to w sposób lapidarny, ale kojarzący się nieodparcie z propagandowym sloganem: „Nie było innej drogi”.

Zwróciłbym uwagę na jedną konieczność, o której mówiono mało. Po wówczas już rysującym się upadku Związku Radzieckiego oraz już przesądzonym, definitywnym upadku komunizmu oraz po zwycięstwie w „zimnej wojnie” potęg zachodnich, zapanował na Zachodzie rzeczywiście tylko jeden sposób postrzegania krajów, w których walił się komunizm. I niemożliwe było przyjęcie przez Zachód innego scenariusza działań wobec państw naszego regionu. Są tutaj dwa elementy, fundamentalne dla tego myślenia: *consensus* waszyngtoński, czyli wymagania ze strony naszych zachodnich partnerów gospodarczych i ich międzynarodowych organizacji, oraz idący wtedy przez świat ze strony zwycięskiego Zachodu sposób myślenia o modelu funkcjonowania gospodarki i miejscu państwa. Zgadzam się zatem z tymi, którzy podkreślają: stanęliśmy wtedy wobec przemożnej siły umysłowej, politycznej i ekonomicznej, która nie dawała nam innego wyjścia, poza uwzględnieniem jej warunków.

W tym kontekście zrozumiałe stają się losy samorządu pracowniczego po 1989 roku, do którego powstania Jacek Kuroń tak się przyczynił. Odegrał on bowiem ogromną rolę w czasie I Krajowego Zjazdu Delegatów

NSZZ „Solidarność” we wrześniu 1981 roku. Wtedy to w Sejmie zawarto kompromis, bo żadne inne rozwiązanie nie było wówczas możliwe i istniała groźba odrzucenia przez zjazd projektu, który zarysował się między naszymi negocjatorami a Sejmem. Być może druga strona liczyła, że to my, czyli delegaci zjazdu, odrzucimy wynegocjowany projekt i rozwiążemy ręce władzom PRL. Jacek Kuroń wystawił wówczas na szwank swój autorytet, ale podczas zjazdu udało się wymusić zgodę na kompromis w sprawie samorządu pracowniczego, który miał się z czasem okazać najtrwalszą ze zdobyczy pierwszej „Solidarność”. Dotrwał bowiem aż do roku 1989. Należy też podkreślić, że Leszek Balcerowicz był jednym z czołowych mózgów tzw. sieci wiodących komisji zakładowych, czyli jednym z twórców tego kompromisu samorządowego.

To zresztą jeden z największych paradoksów najnowszej historii: Balcerowicz i jego ekipa z „Solidarność” później zrobili wszystko, aby te resztki pierwszej „Solidarność” zniszczyć. Z powodzeniem. Gen. Wojciech Jaruzelski i jego ludzie nigdy na dobre nie próbowali podważyć istnienia samorządu pracowniczego. Istniały przyczyny takiej sytuacji, bo cokolwiek by mówić o konieczności i nieuchronności, to reforma realizowana przez ekipę Leszka Balcerowicza była wymierzona w interesy załóg wielkich zakładów pracy. Natomiast rady pracownicze, podobnie jak związki zawodowe i do pewnego stopnia dyrekcje publicznych zakładów pracy, starały się osłonić interesy osób, które tam były zatrudnione. Stanowiły więc przeszkodę na drodze tej transformacji gwałtownej, rewolucyjnej, jaką wówczas przyjęto, z odrzuceniem ostrożniejszej strategii stopniowych zmian. Należy przypomnieć, że socjalizm budował dużo, ale marnie. Zbudował potencjał przemysłowy ilościowo znaczny, ale o niskiej jakości i efektywności. Był to potencjał niekonkurencyjny, co nie przeszkadzało w tym, że żyły z niego miliony ludzi i to na ogół lepiej, niż żyłyby na wsi przedwojennej. Dodatkowo „popiwek” uderzał bezpośrednio w interesy środowisk pracowniczych, bo bardzo obniżał płace realne, ale chcąc zwalczać inflację, trzeba było odebrać pieniądze ludziom oraz przedsiębiorstwom i obciąć wydatki budżetu...

Od początku naczelnym celem postsolidarnościowego rządu była jak najszybsza zmiana ustroju gospodarczego. W realizującej ten zamiar ekipie Balcerowicza nazywano związki zawodowe, rady pracownicze i dyrekcje „trójkątem bermudzkim”, a więc uważano je za swych przeciwników, czemu trudno się dziwić, bo to były instytucje, które stawiały opór i utrudniały ekspresową przebudowę.

Jacek Kuroń był wtedy ministrem pracy i polityki socjalnej. Zachodzące zmiany musiały go boleć. Jednak uważał, że tak trzeba postąpić, bo nie ma innej drogi. Do tego poglądu przekonał go Jeffrey Sachs (który potem zmienił zdanie). Warto mieć przed oczami ten dylemat, bo jest on ważny także w dzisiejszej Polsce: Jacek Kuroń nie bronił tej czy innej strategii gospodarczej, lecz wartości. Nie chodziło o wierność czy o inne patetyczne słowa, tylko o stosunek do grup społecznych, z którymi zawsze się solidaryzował. Te środowiska społeczne zostały najbardziej poszkodowane przez transformację. Straciliśmy 5 milionów miejsc pracy. Był to trwały ubytek, który destabilizował polską demokrację i wytworzył w społeczeństwie groźne toksyny.

Pierwsza „Solidarność” była ruchem masowym i została zmiażdżona w stanie wojennym, co niosło za sobą także głębokie skutki psychiczne. Człowiek, który daje się złamać przemocy i strachowi, nie wychodzi z tego doświadczenia bez zmian. Po tego typu dramatycznych wydarzeniach staje się inny, nie ma już wiary w siebie. Po 13 grudnia 1981 roku przez takie doświadczenie przeszły całe środowiska. One nie miały już wiary w siebie, ale pamiętały o 16 miesiącach wspólnej, podmiotowej wolności. Tej pamięci nie mógł zniszczyć stan wojenny.

Na tej pamięci wyrósł mit „Solidarności”, który przesądził o naszym zwycięstwie w wyborach 1989 roku, a następnie pod osłoną tego mitu zrealizowano plan Balcerowicza. Mit tworzył zaufanie wobec tych, którzy byli jego prawowitymi depozytariuszami. Ale to zaufanie, może nawet zawierzenie własnego losu „naszemu rządowi”, dla dużej części polskiego społeczeństwa skończyło się źle. Tu jest źródło syndromu zawiedzionego zaufania, który trapi demokratyczną Polskę i daje siłę formacjom populistycznym.

Elżbieta Cizewska

Rewolucje, zdrada i Jacek Kuroń

Chciałabym zwrócić uwagę na ważne aspekty dorobku Jacka Kuronia, które wydają się dzisiaj zapomniane – i dzieje się tak chyba nieprzypadkowo, bo nie do końca sobie z nimi poradziliśmy.

Na początek pytanie o rewolucję. Przede wszystkim – o jaką rewolucję chodzi: czy o rewolucję z *Listu otwartego do Partii*¹ Karola Modzelewskiego i Jacka Kuronia? Czy chodzi o rewolucję z 1981, czy z 1989 roku? Odwołujemy się do swoistego mitu, a jednocześnie – w pewien sposób – próbujemy też mit stworzyć, nazywając w ten sposób wydarzenia roku 1989. Tymczasem w okresie pierwszej „Solidarności” samo słowo „rewolucja” było sformułowaniem kłopotliwym. Kiedy próbowano nazwać to, co się wtedy działo, wielu komentatorów miało poczucie, że „rewolucja” nie jest najlepszym słowem. Ryszard Kapuściński w słynnym reportażu *Notatki z Wybrzeża*² opisał spotkanie w 1980 roku stoczniovców z przybyłymi z Hiszpanii trockistami, chcącymi zapoznać się z polską rewolucją. Robotnicy odpowiedzieli im: tu się nie robi żadnej rewolucji – i nie wpuszcili ich do stoczni. Myślę, że gdyby pod bramą stoczni pojawił się młody Jacek Kuroń, autor *Listu otwartego...*, to może by go też tam nie wpuszczono... Czy jednak „Solidarność” mogłaby się wydarzyć bez Jacka Kuronia? Czy wydaje się to w ogóle do pomyślenia?

¹ Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, *List otwarty do Partii*, Paryż 1966.

² Ryszard Kapuściński, *Notatki z Wybrzeża*, „Kultura”, 14 września 1980.

Myślę, że nie. Inna kwestia to pytanie o wierność i zdradę po 1989 roku. Wierność komu i czemu? Zdrada kogo i czego? I temu okresowi chciałabym poświęcić uwagę. Temu, na ile byliśmy wierni myśli Jacka Kuronia, a na ile ją porzuciliśmy, gdzie „zdradziliśmy”?

Kiedy mowa o dorobku Jacka Kuronia, chciałabym zwrócić uwagę na trzy rzeczy. Pierwsza sprawa to uczestnictwo w demokracji. „Starszy” Jacek Kuroń odszedł od pomysłów demokracji bezpośredniej, samorządu robotniczego czy pracowniczego (przynajmniej w kształcie zarysowanym w *Liście otwartym...*), ale mimo wszystko zawsze był zwolennikiem demokracji opartej na szerokim uczestnictwie. Wydaje mi się, że po 1989 roku nie stworzyliśmy tak inkluzywnej demokracji, która dopuszczałaby różne osoby i odmienne światopoglądy. Polityka stała się domeną raczej techniki niż ludzi. Tymczasem „Solidarność” dawała poczucie osobistego wpływu prawie każdemu, mówiła wszystkim: „jesteście ważni, przyjdźcie, bądźcie, zróbcie, jesteście potrzebni”. Po 1989 roku okazało się, że nie wszyscy są ważni, a przynajmniej nie tak samo. Poczucie bycia obywatelem – paradoksalnie – stało się przyczyną rozczarowania polityką po roku 1989: w Polsce w 1989 roku było za dużo obywateli, a za mało ludzi zainteresowanych tylko prywatnością, tylko własnymi sprawami. Jestem osobą o raczej konserwatywnych poglądach i nie określiłabym siebie jako człowieka lewicy. Pozwolę sobie jednak wspomnieć o książce Davida Osta *Kłęska „Solidarność”*³. Jak pisze Ost, robotnicy po 1989 roku sami o sobie myśleli jako o „obywatelach”. To powszechne myślenie o sobie jako obywatelach było wielkim sukcesem „Solidarność” i przemian początku lat 80. Ten ruch był wielkim „obywatelnieniem”, lekcją godności i postaw demokratycznych. Tymczasem, paradoksalnie, po 1989 roku część naszego społeczeństwa nie poczuła się – i myślę, że do tej pory się nie czuje – pełnoprawnymi obywatelami. W jakiś sposób wykluczaliśmy z życia publicznego wielu z nich, zabrakło nam pomysłu, jak ich włączyć, również tych nieprzygotowanych do pełnienia

³ David Ost, *Kłęska „Solidarność”*. *Gniew i polityka w postkomunistycznej Europie*, przeł. Hanna Jankowska, Warszawa 2007.

funkcji publicznych. Nieufność do polityki, partii politycznych i poparcie ruchów populistycznych, zarówno skrajnie lewicowych, jak i prawicowych, są tego jakąś konsekwencją.

Druga sprawa, o jakiej chciałabym wspomnieć, to charakteryzująca Jacka Kuronia umiejętność spotykania się i rozmowy z tymi, którzy byli od niego bardzo daleko, a z którymi znajdował płaszczyznę porozumienia, wiele od nich przyjmował i sporo się uczył. Sięgnęłam po pisma Kuronia, szczególnie po fragmenty *Wiary i winy*⁴, gdzie opisywał swoje spotkanie z chrześcijaństwem. Myślę, że dopiero po 1989 roku uświadomiliśmy sobie, jak wiele było nieporozumień w tym spotkaniu. Ale mimo wszystko to było niezwykle, bo zbliżało ludzi, którzy wydawali się sobie dalecy. Dzisiaj bardzo brakuje takich pełnych szacunku spotkań i przekonania, że z każdego z nich można wyciągnąć coś dobrego.

Ostatnia sprawa jest trochę związana właśnie ze spotkaniem z chrześcijaństwem albo po prostu z szerszym niż materialistyczny światopoglądem: wydaje się, że po 1989 roku pozwoliliśmy, aby „rewolucja” – tak umownie nazywam wielką przemianę – utraciła swój wymiar duchowy i zmysł etyczny: przestaliśmy się zastanawiać nad własnym działaniem, wpadliśmy w samozadowolenie. Owo przeświadczenie, że nasz porządek prawny, polityczny, gospodarczy ma mieć oparcie w etyce, że polityka to nie tyle sprawa techniki, ile etyki, to jest coś, co należy przywrócić. Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiła na mnie lektura eseju *Siła bezsilnych* Václava Havla z końca lat 70.⁵ Havel pisał głównie o kondycji społeczeństwa naszej części Europy, ale uznawał, że kondycja mieszkańców Zachodu jest podobna. Potraktowałam ten esej bardzo poważnie, to nie były dla mnie słowa z dziedziny estetyki, nie czułam tam patosu, ale coś, co naprawdę głęboko mnie poruszyło. Havel mówił tam o różnych rzeczach, używając wielkich słów, które dzisiaj nie są często przywoływane (może i lepiej, przez szacunek dla tych słów). Havel stwierdził, że warunkiem życia w prawdzie – warunkiem powołania wolnego

⁴ Jacek Kuroń, *Wiara i wino. Do i od komunizmu*, Warszawa 1990.

⁵ Václav Havel, *Siła bezsilnych*, w: tegoż, *Eseje polityczne*, przeł. Paweł Heartman [Piotr Godlewski], Warszawa 1984.

i sprawiedliwego ustroju – jest dostrzeżenie zła. Zadawał też pytanie, dlaczego żyjemy w takim, jak to określał, systemie posttotalitarnym, i odpowiadał, że żyjemy tak, ponieważ jesteśmy zdolni tak żyć, bo tkwi w nas wszystkich potencjał kłamstwa. Dla mnie ważne było, że Havel postugiwał się pierwszą osobą liczby mnogiej: mówił „my”, czyli uznawał, że on też byłby do tego zdolny. Wydaje mi się, że takiej odwagi i takiego zmysłu etycznego brakuje po 1989 roku. Brakuje nam odwagi w dokonywaniu rachunku sumienia.

Juliusz Gardawski

Jacek Kuroń

a samorządność pracownicza

Problem „wierności i zdrady” w odniesieniu do działalności Jacka Kuronia podejmuję z wahaniem: czy można bowiem mówić o „zdradzie” w przypadku jego wątpliwości odnośnie samorządu pracowniczego w dramatycznym czasie przelotu ustrojowego?¹ Mimo zbyt ostrego sformułowania, problem ten jednak otwiera frapujący wątek działalności Jacka Kuronia – najpierw zdecydowane poparcie samorządu pracowniczego jako instytucji humanizującej stosunki przemysłowe w autorytarnym socjalizmie i wbudowanej w wizję Samorządnej Rzeczypospolitej, potem krótkookresowa zgoda na rezygnację z samorządu pracowniczego w imię tworzenia nowoczesnej gospodarki rynkowej w kraju bez kapitalistów i kapitału, a następnie ponowne opowiedzenie się za partnerstwem społecznym i upodmiotowieniem pracowników.

Zacznijmy zatem od punktu wyjścia – bez Jacka Kuronia, bez jego myśli i bez jego działania w imię upodmiotowienia pracy nie mogłoby dojść, w moim przekonaniu, do uchwalenia we wrześniu 1981 roku ustawy o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego i ustawy o przedsiębiorstwach państwowych. Te dwie ustawy budowały specyficzny ustrój,

¹ Nieco krótsza wersja tego tekstu ukazała się w książce *Jacek Kuroń. Przewodnik „Krytyki Politycznej”*, Wydawnictwo „Krytyki Politycznej”, Warszawa 2014 – Juliusz Gardawski, *Wierność i zdrada*.

zasadniczo odmienny od PRL-owskiego monocentryzmu. Przyjęte wówczas rozwiązania można pod pewnymi względami przyrównać do jugosłowiańskiego ustroju gospodarczego – z tym że w odróżnieniu od rozwiązań jugosłowiańskich odrzucano rolę partii komunistycznej w kontrolowaniu samorządów. Ustawy z 1981 roku można określić jako trzecią w Polsce powojennej odstonę dążeń do upodmiotowienia pracy – pierwsza miała miejsce bezpośrednio po wojnie, gdy spontanicznie powoływane, a potem prawnie legitymizowane samorządy pracownicze przejmowały kontrolę nad fabrykami pozbawionymi właścicielami; druga nastąpiła w latach 1956–1957, gdy ruch samorządów robotniczych stał się zacznym „socjalizmem z ludzką twarzą”. Obydwie wcześniejsze próby tworzenia partycypacji pracowników w zarządzaniu nie doprowadziły do zbudowania trwałej instytucji, jednak ostatniej odstonie towarzyszyły działania licznej grupy socjologów, a także ekonomistów o orientacji socjaldemokratycznej; można nawet mówić, wykorzystując określenie Tadeusza Szawiela, o ukształtowaniu się „etosowej grupy” samorządowej, składającej się z badaczy, a jednocześnie zwolenników samorządu pracowniczego (Ludwik Bar, Leszek Gilejko, Szymon Jakubowicz, Maria Jarosz, Tadeusz Kowalik, Witold Morawski, Witold Nieciński, że wymienię najwybitniejszych). Trzecia odstona samorządności pracowniczej nastąpiła jednak nie dzięki zaangażowaniu ekonomistów i socjologów, lecz dzięki zainspirowanemu przez Jacka Kuronia ruchowi społecznemu, zakorzenionemu w „Solidarności”. To Jacek Kuroń rzucił pod koniec 1980 roku myśl, aby „Solidarność” wzięta, w pewnym przynajmniej zakresie, odpowiedzialność za gospodarkę. Nie była to wówczas idea powszechnie akceptowana – tradycyjna funkcja związków raczej nie zakłada współodpowiedzialności za zarządzanie. Jacek Kuroń umiał nadać społeczną dynamikę idei partycypacji pracowniczej, która została podjęta m.in. przez działaczy Sieci Organizacji Zakładowych NSZZ „Solidarność”, skupiającej komisje zakładowe z tzw. wiodących zakładów pracy ze wszystkich województw. Kuroń nie należał sam do działaczy sieci, lecz wcześniejsze zaszczepienie przez niego idei samorządu pracowniczego wpłynęło na to, że idea ta mogła być podjęta przez dużą grupę profesjonalistów działających przy tej strukturze.

Rozwiązania przyjęte w 1981 roku w wyniku wielomiesięcznych debat i sporów – mimo pewnych niespójności – nie tylko pozwalały na upodmiotowienie pracy, lecz także stwarzały możliwość racjonalizowania gospodarki PRL, osłabiały sztywność systemu nakazowo-rozdzielczego, w dużym stopniu rozmiękczały monocentryzm, dawały szansę zarówno na samorządność, jak i na samodzielność oraz samofinansowanie podmiotów gospodarczych. Wielka Kuroniowska wizja Samorządnej Rzeczypospolitej nie mogła być wówczas wprowadzona w życie, mimo że podjęto ją w sieci, natomiast samorząd pracowniczy udało się wprowadzić. Rodził on poczucie sprawstwa, partycypacji w decyzjach zapadających na poziomie przedsiębiorstw – można powiedzieć, że dzięki demokracji przemysłowej kształtował załążki społeczeństwa obywatelskiego.

Losy samorządu pracowniczego w latach 80. nie były proste; okazało się, że instytucja ta uzyskała pełne możliwości działania zaledwie w części przedsiębiorstw, lecz po pierwsze, były to przedsiębiorstwa największe, po drugie zaś, podjęli w nich działalność członkowie podziemnych komisji zakładowych „Solidarności”. Były to jedyne formy oficjalnej działalności, które w owym czasie zyskały akceptację „Solidarności”.

Otworzyła się więc szansa na budowę instytucji, o której można było powiedzieć: jest „nasza”, przełamuje ten stan więzi społecznej w Polsce, którą Stefan Nowak określał jako federację grup rodzinnych i towarzyskich, zjednoczonych wprawdzie w narodowej wspólnotie, lecz pozbawionych więzi z całą instytucjonalną tkanką społeczeństwa, z przedsiębiorstwami, w jakich się pracowało, z oficjalnymi organizacjami społeczno-politycznymi, do których się należało, z oficjalnymi politycznymi i społecznymi reprezentacjami zbiorowości lokalnych. Oto „Solidarność”, która rodziła się jako ruch ogólnopolski, globalny, zaczęła tworzyć instytucję wiążącą pracowników z zakładami pracy, dającą realny wpływ na sprawy własnych warsztatów pracy. Samorząd należał do instytucji, o których Mirosława Marody mówiła swego czasu, że były wynikiem wystawienia przez „Solidarność” rachunku autorytarnemu socjalizmowi za oczekiwania, jakie wzbudził, a jakich nie spełnił. Aby jednak ten rachunek wystawić, trzeba było go najpierw

skryształizować; musiał się on pojawić jako program realistyczny – i to jest fundamentalna zasługa Kuroniowych inspiracji.

Spółeczny ruch samorządu pracowniczego, przerwany w grudniu 1981 roku, dostał jednak przyzwolenie na powrót do życia już w 1983 roku. Rozpoczął się wówczas specyficzny okres autorytarnego socjalizmu, w którym ówczesna władza zgodziła się na samorząd pracowniczy, mimo że aktywnie działali w nim członkowie podziemnej „Solidarności”. Było to zapewne związane z obawami przed głuchą społeczną niechęcią i apatią, wycofaniem świata pracy. Mój już nieżyjący nauczyciel, profesor Leszek Gilejko, organizował w Instytucie Badania Klasy Robotniczej i w SGPiS (obecnie SGH) seminaria samorządowe, na które przyjeżdżali przedstawiciele załóg pracowniczych – niemal bez wyjątku byli to zakładowi liderzy podziemnej „Solidarności”. W 1989 roku okazało się jednak, że trzon intelektualnej etosowej grupy samorządowej jest nieprzygotowany na zmianę systemu, nie ma całościowej wizji nowoczesnej gospodarki rynkowej, wewnątrz której znalazłoby się legitymizowane ekonomicznie miejsce dla partycypacji pracowniczej. Odpowiednie idee pojawiły się, lecz wiele lat później, gdy Polska już weszła na tory liberalnej gospodarki rynkowej typu anglosaskiego.

Grupa moich kolegów z SGPiS przez całe lata 80. uczestniczyła w seminarium kierowanym przez Leszka Balcerowicza. Opracowali oni spójny program gospodarki rynkowej, odpowiadający modelowi liberalnemu, i, jak się potem okazało, dający się szybko wprowadzić do praktyki gospodarczo-społecznej. Do tego programu zgłaszano różnorodne zastrzeżenia, artykułowali je zwłaszcza Tadeusz Kowalik i Ryszard Bugaj (dodam, że ich argumenty były mi bliskie), tym niemniej w 1989 roku model liberalny był już opracowany, pojawił się na stole jako realna propozycja tworzenia w Polsce ładu rynkowego. Dorobek zespołu Leszka Balcerowicza można było szybko operacjonalizować w postaci 10 fundamentalnych ustaw, zgodnych z zaleceniami Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego, czyli z tzw. *consensusem* waszyngtońskim (deregulacja rynków, w tym rynku pracy, prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych, ułatwienie

zagranicznych inwestycji, ochrona praw własności, konsolidacja finansów publicznych, racjonalizacja wydatków publicznych, liberalizacja handlu itd.).

Rzecz nie ograniczała się jednak do konieczności przyjęcia tych rozwiązań jako warunków redukcji gigantycznego długu wobec banków zagranicznych. Przyjęty kierunek modernizacji był ważnym składnikiem ówczesnej ekonomii normatywnej, został uznany za odpowiadający interesom społeczeństwa wydobywającego się z posocjalistycznej zapaści i godny kontynuacji. Jacek Kuroń należał do tych osób o najwyższym autorytecie, które zdecydowanie poparty ten program. Był urzeczony prostotą technokratycznych sylogizmów ekonomistów, którzy wychodząc od racjonalnie skonstruowanych aksjomatów, budowali klarowny model niemal dedukcyjno-formalny. Wynikało z niego, mówiąc w uproszczeniu, że wszelkie rozwiązania ograniczające działanie rynku są tzw. trzecią drogą, która – zgodnie z powiedzeniem Václava Klause – wiedzie do Trzeciego Świata.

Niestety, ze strony zwolenników samorządności pracowniczej i upodmiotowienia pracy brakowało całościowej kontrpropozycji, horyzont zwolenników samorządu w zasadzie nie wykraczał wówczas poza reformowanie państwowego socjalizmu (sam zamysł samorządności miał przecież mocny rys socjalistyczny). Czy idea samorządu pracowniczego musiała być niezgodna z gospodarką rynkową? Wiele wskazuje, że nie musiała być, jednak wymagałaby dobrego przygotowania zarówno teoretycznego, jak i legislacyjnego, a więc – jak sądzę – pracy znacznie większej niż ta wykonana przez zespół młodych ekonomistów z SGPiS w latach 80. Podjęcie takiej pracy zakładałoby jednak mentalne przekroczenie ram gospodarki socjalistycznej i wbudowanie instytucji samorządu w jakąś współczesną wersję koordynowanej gospodarki rynkowej, zachowującej zdolność konkurowania z liberalną gospodarką rynkową. Nie było więc konkurencyjnej, całościowej oferty „partycypacyjnej”, która respektowałaby przynajmniej niektóre zasady *consensusu* waszyngtońskiego, a trzeba pamiętać, że bez spełnienia kilku kluczowych oczekiwań światowych rynków finansowych nie uzyskalibyśmy redukcji gigantycznego długu. Istniała wprawdzie wspomniana grupa zwolenników samorządu pracowniczego, do której

sam się zaliczałem, ale ówczesne propozycje tego grona były cząstkowe i miały, jak uważam, niedostateczne przełożenie na warunki *consensusu* waszyngtońskiego.

Jako badacz samorządu pracowniczego chcę podkreślić, że przyjęcie liberalnego modelu gospodarki było w części uzasadnione nastrojami robotników, rozczarowanych pod koniec lat 80. samorządem załogi. Początkowo uważali oni, że samorząd da im autentyczny wpływ na funkcjonowanie przedsiębiorstw. Sytuacja okazała się jednak bardziej skomplikowana – ograniczenia gospodarki nakazowo-rozdzielczej, których nie udało się przezwyciężyć, rzutowały na zarządzanie przedsiębiorstwami i zawężyły możliwości ich działania, ponadto wymagały od osób kierujących samorządami dużej wiedzy ekonomicznej. Przewodniczącymi prezydiów samorządów byli z reguły młodzi inżynierowie i technicy, którzy gubili się w zawiłościach ówczesnych mechanizmów gospodarczych.

W sporze, jaki toczył się w 1989 roku w Komisji Krajowej „Solidarności”, Jacek Kuroń wybrał nurt liberalny, wolnorynkowy, i nie wsparł nurtu samorządów pracowniczych czy prób przeniesienia do Polski amerykańskiego projektu ESOP. Kuroń należał wówczas do tych, którzy uznawali, że „trzecia droga prowadzi prosto do Trzeciego Świata”, i zgadzali się, że instytucja samorządu pracowniczego, która odgrywałaby rolę *quasi*-rad nadzorczych, lecz bez odpowiedzialności materialnej, byłaby dysfunkcyjna w gospodarce rynkowej. Skądinąd samorząd załogi, działający zgodnie z ustawami z września 1981 roku, byłby rzeczywiście w małym stopniu funkcjonalny z punktu widzenia warunków rynkowych; samorządność i partycypacja wymagały innych rozwiązań, zwłaszcza ze względu na niedostateczne respektowanie praw własności.

Jacek Kuroń był osobą o olbrzymim autorytecie – jeżeli głosił pogląd w ważnej społecznie kwestii, to jego zdanie miało wysoką wiarygodność. Pogodzenie się Kuronia z liberalną krytyką samorządności pracowniczego, wyłączenie go niejako z wizji Samorządnej Rzeczypospolitej, wzmacniało nurt przeciwników partycypacji pracowniczego, a co za tym idzie – osłabiało pozycję przedstawicieli ruchu samorządów pracowniczych. Było to bolesne

zwłaszcza dla etosowej grupy samorządowych działaczy poziomu zakładowego, związanych z podziemną „Solidarnością”, którzy przez trudne lata 80. umieli bronić partycypacji.

Trzeba jednak pamiętać, że sam Jacek Kuroń był wybitnym etykiem, człowiekiem o otwartym, chciałoby się powiedzieć, ewangelicznym stosunku do bliźnich, niczym ks. Jan Zieja czy Stanisław Vincenz, nie był jednak ekonomistą. Podkreślam te cechy Kuronia, bo tylko osoba tego pokroju może w tak otwarty sposób odrzucić swoje zauroczenie prostym sylogizmem technokratycznego myślenia w kategoriach racjonalno-ekonomicznych.

Przede wszystkim bezpośrednio po objęciu stanowiska ministra pracy to on właśnie wymusił, o ile dobrze wiem, hojne ostony dla tracących pracę. Co prawda naraził się pracodawcom, gdyż zostali oni uchwyceni w kleszcze z jednej strony podatku od ponadnormatywnych wynagrodzeń, narzucenych przedsiębiorstwom państwowym, z drugiej – konieczności wysokich odpraw dla zwalnianych, niemniej jednak nie uległ projektowi radykalnej racjonalizacji gospodarki.

Po kilkunastu miesiącach Jacek Kuroń potrafił przyznać, że się pomylił i że należało zachować partycypację oraz zbudować mechanizmy negocjacji między światem pracy a rodzącym się systemem kapitalistycznym. Było to w czasie, gdy większość bliskich mu ludzi trwale porzuciła koncepcję partycypacji pracowniczej, wyszydzając tych, „którzy pochylają się z troską nad losem ludu pracującego”. Otóż Kuroń już na przełomie 1990 i 1991 roku należał do tych nielicznych członków elity reformatorskiej, którzy zorientowali się, jak wysoki koszt pociąga narzucenie ówczesnej klasie robotniczej roli „wielkiego niemowy”. Kuroń, mając w elicie reformatorskiej znacznie większy autorytet niż tacy bliscy mu intelektualiści jak Tadeusz Kowalik czy Ryszard Bugaj, zainicjował w 1992 roku prace nad paktem o przedsiębiorstwie państwowym w trakcie przekształcania i nad powołaniem w Polsce instytucji dialogu społecznego. Zaczął także aktywnie wspierać ludzi pracujących nad wprowadzeniem rozwiązań partycypacyjnych.

Polska jako jedyny kraj przeżywający transformację (poza Słowenią, lecz ona miała już rozbudowane formy partnerstwa społecznego) nie uruchomiła

bezpośrednio po 1989 roku dialogu społecznego. Na Węgrzech stworzono odpowiednie do niego instytucje przed załamaniem się autorytaryzmu. U nas aż do roku 1992 nie było żadnych form dialogu trójstronnego. Wtedy to właśnie Jacek Kuronia, inspirując Andrzeja Bączkowskiego, swego ucznia o olbrzymich później zasługach dla partnerstwa społecznego w Polsce, zaczął budować odpowiednią instytucję. Sądzę, że gdyby nie autorytet Kuronia, jego odwaga wycofania się z wcześniejszego poparcia modelu liberalnej gospodarki rynkowej, byłoby o wiele trudniej reaktywować dialog, tak imponujący w czasie obrad Okrągłego Stołu. W roku 1992, a potem w roku 1994 zbiegły się wysiłki Jacka Kuronia, wsparte przez działania Mariana Krzaklewskiego, dzięki którym zinstytucjonalizowano dialog społeczny, a także wzmocniono instytucje dialogu na poziomie przedsiębiorstw. Sądzę, że bez energii Jacka Kuronia trudniej byłoby przetępać niechęć głównych przedstawicieli elity reformatorskiej, którym w gruncie rzeczy brak dialogu społecznego był na rękę. Mówiło się, że należy go zbudować, debatowano, jaką formę ma przyjąć partnerstwo, widać było jednak, że jest ono odkładane *ad calendas graecas*.

Krótko mówiąc, w 1992 roku w dużym stopniu dzięki determinacji Jacka Kuronia rozpoczęto negocjacje paktu o przedsiębiorstwie państwowym w trakcie przekształcania; udało się wówczas w krótkim czasie wynegocjować takie rozwiązanie instytucjonalne, które pozwalało przeprowadzić przekształcenia własnościowe przy aprobacie załóg pracowniczych. W ostatecznych ustaleniach paktu o przedsiębiorstwie państwowym zapisano powołanie Komisji Trójstronnej. Niestety, na zorganizowanie Komisji trzeba było czekać jeszcze dwa lata. Wprawdzie zbudowana wówczas instytucja przeżywa dziś kryzys, ale sam wzorzec wartości samorządowych, partnerstwa, dialogu, a także formy porozumień trójstronnych zostały uwewnętrznione przez aktorów społecznych na tyle głęboko, że związki zawodowe i organizacje pracodawców postanowiły niedawno autonomicznie – czyli bez udziału rządu – rozpocząć debatę nad zmianą ustawy o Komisji Trójstronnej. Widząc obecną potrzebę dialogu społecznego, trzeba pamiętać o roli Jacka Kuronia we wprowadzaniu w Polsce partnerstwa społecznego.

Jerzy Hausner

Kuroń w hucie Lucchini

Fundacja im. Stefana Batorego wydała w 1994 roku broszurę zawierającą dwa teksty: Jacka Kuronia, który nazywa się *Modernizacja i godność*, oraz mój, od którego pochodzi zresztą tytuł broszury: *Strategia negocjacyjna w procesie transformacji gospodarki*¹. Jak do tego doszło, że Jacek zaproponował mi tę wspólną publikację?

Rzecz wydarzyła się za sprawą strajku w hucie Lucchini Warszawa, gdzie Jacek był bardzo aktywnym mediatorem i doprowadził w końcu do porozumienia. W pewnym momencie zadzwonił do Grzegorza Kołodki, wówczas wicepremiera i ministra finansów (byłem wtedy szefem jego zespołu doradców). Kuroń poprosił go o pomoc w sprawach dotyczących własności terenu huty – zależało od tego kontynuowanie przedsięwzięć inwestycyjnych, które pozwoliłyby utrzymać to przedsiębiorstwo. Kołodko skierował mnie do Jacka, a nasze spotkania zaowocowały tą publikacją. Jacek opisuje w niej doświadczenie, jakim był dla niego strajk w hucie Lucchini. Warto dziś przypomnieć, co nim kierowało i co on tam robił, a potem jego własnymi słowami opowiedzieć, jak komentował rzecz później.

W warszawskiej hucie strajkowano dwa miesiące – były gniew, niedeterminacja, a nawet głodówka. Robotnicy miotali obelgi na

¹ Jacek Kuroń, Jerzy Hausner, *Strategia negocjacyjna w procesie transformacji gospodarki*, Warszawa 1994.

Włocha, przygotowali dla niego symboliczny toporek wbity w pień. Byli przeświadczeni, że Luigi Lucchini chce zniszczyć hutę i pozostawić na jej miejscu tylko magazyn wyrobów włoskich. I Jacek w tej sytuacji podjął mediację. Jednak w chwili największego zaostrzenia konfliktu, przy braku kontaktu między obiema stronami, komitet strajkowy w porozumieniu z całą strajkującą załogą zdobył się na gest pojednawczy. Przekonał ich do tego właśnie Jacek Kuroń. W stanie wielkiego napięcia, wrogości i braku zaufania jakoś udało się „wykrztusić” – to słowa Jacka – „siądźmy i porozmawiajmy”. Z drugiej strony pan Lucchini skierował osobisty list do każdego pracownika, zaczynając od tego, że jako przełożony pierwszy wyciąga rękę do zgody. W konsekwencji udało się doprowadzić do współpracy ekspertów, menadżerów i pracowników, w efekcie czego zbudowano system możliwości awansu pracowników dzięki szkoleniom i wielofunkcyjności. Udało się zatem w wyniku pertraktacji ugasić strajk i uruchomić wdrażanie porozumienia. Huta warszawska na Bielanach działa do dzisiaj, choć z zupełnie innym właścicielem. I mimo że na pewno nie jest taką firmą jak kiedyś, to jednak istnieje i produkuje nowoczesne wyroby.

Jak te wydarzenia Jacek Kuroń komentował później? Po pierwsze, uważał za oczywiste, że najogólniejszą podstawą partycypacji pracowniczej jest pełny obieg informacji między zarządzającymi a zarządzanymi, że stanowi to fundament demokratyzacji transformacji w skali całego kraju (pracownicy huty nie znali sytuacji własnej firmy, nie byli włączani do procesów produkcyjno-technologicznych). Nigdy zatem nie wycofał się z idei partycypacji pracowniczej, nawet jeśli nie wspierał tej konkretnej formy samorządności pracowniczej, która wtedy została odrzucona. Po drugie, zauważył, że ów strajk odślonił słabość sił proreformatorskich w Polsce, również z powodu braku wsparcia od wysoko technicznie wykwalifikowanych pracowników. Z drugiej strony, *management*, czyli nomenklaturowa kadra przedsiębiorstw państwowych, rozumował w kategoriach interesów branżowych i nie miał siły, umiejętności ani nawet interesu w walce o rynkową efektywność przedsiębiorstwa (a także – co

działo się w hucie – nie próbował uwzględnić wiedzy i doświadczenia swoich pracowników).

Jacek podsumowywał rzecz następująco: „Biję się przede wszystkim we własne piersi, ponieważ to ja byłem pierwszym ministrem pracy. Zrozumiałem rzecz zbyt późno i próbowałem naprawić w pakcie o przedsiębiorstwie państwowym w trakcie przekształcania, niestety, nazbyt nieśmiały. Na poprawę jednak nigdy nie jest za późno, myślę więc, że przyszedł czas, aby spłacać dług, który wtedy wobec związków zawodowych zaciągnęliśmy”. Jacek w hucie Lucchini spłacił ten dług i *de facto* wykonywał przyjęte przez siebie zobowiązanie.

Tyle faktografii, teraz komentarz. Moim zdaniem głównym problemem naszego społeczeństwa, podstawową jego dysfunkcją jest ucieczka od odpowiedzialności. Nie jesteśmy bynajmniej społeczeństwem, które ucieka od wolności. Nie, jej nie damy sobie odebrać. Ale uciekamy od odpowiedzialności. A historia, o której mówię, to właśnie przykład odpowiedzialnego postępowania i odpowiedzialnej postawy. Odpowiedzialność nie polega na tym, że ktoś się przyznaje do winy, tylko mówi: na mnie ciąży jakieś zobowiązanie, które przyjąłem na siebie dobrowolnie, nikt mi tego nie nakazał. Bo nikt nie kazał Jackowi pójść do huty Lucchini i zostać mediatorem. On uważał, że tak musi. Dlaczego?

Gdy mówimy o odpowiedzialności, trzeba określić, kto jest odpowiedzialny, za co i za kogo jest odpowiedzialny, wreszcie przed kim jest odpowiedzialny. Istnieje jednak czwarty, bardzo istotny wymiar odpowiedzialności: mianowicie w jaki sposób i z kim dzielimy się odpowiedzialnością, bo w kategoriach społecznych to ostatecznie liczy się dla rozwoju. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że zachodzi tu pewna nierównowaga psychologiczna, łatwo uchylić się od odpowiedzialności i łatwo ją odrzucić. To się dokonuje natychmiast, wystarczy powiedzieć: mnie to nie interesuje – i zaniechać działań. Natomiast proces przeciwny, proces wchodzenia w odpowiedzialność, przyjmowania jej, jest złożony i trudny. Zaczyna się, po pierwsze, od dostrzeżenia, że coś jest dla mnie ważne, że to mnie dotyczy i ja tego nie mogę zlekceważyć. Po drugie,

przychodzi zaangażowanie: oto muszę podjąć jakieś działanie. I po trzecie wreszcie, rodzi się to, co najważniejsze dla odpowiedzialności, to znaczy zobowiązanie. Nie przymus, lecz zobowiązanie – tylko wtedy jest to faktycznie odpowiedzialność. Mówimy zatem o procesie przyjmowania odpowiedzialności, jej bowiem nie można narzucić, a jedynie dobrowolnie przyjąć. A tak rozumiana odpowiedzialność jest w istocie rzeczą atrybutem podmiotowości. Akcentować musimy zarówno odpowiedzialność za działanie (także jego zaniechanie), jak i za konsekwencje działania (zaniechania).

Jednakże aby móc przyjąć odpowiedzialność, muszą istnieć ku temu społeczne i instytucjonalne warunki. Trzeba odróżnić indywidualny i zbiorowy wymiar odpowiedzialności. Ten pierwszy odnosi się do tego, aby chcieć przyjąć odpowiedzialność, ten drugi, aby móc ją przyjąć.

Jacek Kuroń w swym krótkim tekście pisał o tych warunkach. Na przykład o informacji. Dzisiaj wiemy, że nie da się mówić o odpowiedzialności, jeżeli nie istnieje wiedza społeczna, to znaczy jeśli nie ma generatorów takiej wiedzy. Jacek mówi też o mediacji. Brak instytucji mediacji jako narzędzia rozwiązywania konfliktów utrudnia przyjmowanie i współdzielenie odpowiedzialności. Z tego da się także wyprowadzić znaczenie uwspólniania dobra oraz przestrzeni wspólnej, w której to uwspólnianie może nastąpić. Jacek taką przestrzeń tworzył: zaczęło się od prostego moralnego gestu, a skończyło na porozumieniu, czyli właśnie stworzeniu przestrzeni, gdzie rodzi się zrozumienie, że dobro może być wspólne. Ono nie powstaje automatycznie.

Chcę wyraźnie powiedzieć, że nie widzę żadnej winy Jacka, choć rozumiem, dlaczego wtedy sam siebie winił. To poczucie winy nie pchało go nigdy do rezygnacji z myślenia o odpowiedzialności, ale do przyjmowania jej. Postawa Jacka była przykładem Weberowskiej etyki odpowiedzialności. Dla kontrastu mogę przypomnieć na przykład wypowiedź przyjaciela Jacka Kuronia, Marka Edelmana – postaci wspaniałej, żeby nikt nie miał najmniejszej wątpliwości – ze słynnego wywiadu, którego udzielił on w roku 2003, a który dotyczył interwencji w Iraku. Tytuł wywiadu brzmiał: *Pacyfiści to*

*podnieceni kretyni*². Edelman dał tam wyraz swoim przekonaniom, bez cienia wątpliwości, i nazywał kretynami wszystkich, którzy powątpiewali w jedyną, głoszoną przez niego prawdę w kwestii tej wojny. Przeprowadzający wywiad pyta Marka Edelmana: „A nie obawia się Pan tego, że ta wojna rozleje się na cały region?”. Edelman odpowiada: „Nie. Irak jest świeckim państwem. Tam wojna religijna w stylu Chomeiniego nie chwyta. Jak oni dostaną jeść i będą mieli rząd, który nie będzie ich gnębił i nie będzie ich wsadzał do więzień, to jest nadzieja, że w ciągu 20–30 lat tam się zrobi demokracja. A jak tam się zrobi demokracja, to ona będzie promieniowała na cały region, choć to nie zrobi się jutro. Czy Pan myśli, że w Jugosławii już jutro będzie dobrze?”. Prowokacją jest wybranie tej właśnie wypowiedzi Marka Edelmana, którego pamiętamy jako człowieka współczującego i przyjmującego odpowiedzialność. Specjalnie wybrałem te słowa, ponieważ dla mnie to było zdumiewające, jak on mógł wówczas tak oceniać tę sytuację.

Bez silnych przekonań moralnych nie jesteśmy zdolni do przyjęcia współodpowiedzialności, jednakże silne przekonania moralne mogą prowadzić do nieliczenia się z konsekwencjami działań podejmowanych na ich podstawie, a w istocie rzeczy – do uchylenia się od odpowiedzialności za konsekwencje naszych przekonań i działań. Cóż warto są nasze poglądy, jeśli nie potrafimy ich wyrazić w praktycznie przyjmowanej odpowiedzialności? Czemu zatem mamy być wierni? Swoim przekonaniom i poczuciu, że po prostu posiadamy rację, wiemy, jak jest? Czy raczej powinniśmy być wierni praktycznie przyjętym zobowiązaniom wobec ludzi, jakich spotykamy na swojej drodze? A w związku z tym, czy mając przekonania, potrafimy je wyrazić nie tylko za pomocą mocnych, zdecydowanych słów, ale także w praktycznie przyjmowanej współodpowiedzialności? Sądzę, że Jacek Kuroń po prostu to potrafił.

² *Pacyfiści to podnieceni kretyni* [z Markiem Edelmanem rozmawia Piotr Najszub], „Przekrój” 2003, nr 14.

Wobec innych, wobec dyskryminacji:

w poszukiwaniu nowej polskiej tożsamości

Współczesność a zmiana spojrzenia na przeszłość Polski.
Wielkie debaty i rewizje historii. Mniejszości narodowe
i stosunek do sąsiadów, zwłaszcza na Wschodzie,
a przekształcanie polskiej tożsamości. Pytania o nowy model
polskości i „polityka historyczna”.

Andrzej Mencwel

Przeżycie Kuronia

Jacek Kuroń był przede wszystkim działaczem, ale również człowiekiem piszącym i mówiącym. Jako mówca okazywał się bardzo sugestywny, gdyż jego ekspresja była słownie i cieleśnie dynamiczna, „werbomotoryczna”, jak to dziś nazywają eksperci od komunikacji ustnej. Dlatego tak pamiętne są jego wystąpienia audytoryjne i telewizyjne. Pisząc, był bliski swoim skłonnościom mówcy i starał się w piśmie wyrażać równie sugestywnie, ale wychodziło mu to nierówno. Najlepiej w bliskich przemowie artykułach politycznych, dobrze we wspomnieniowej narracji gawędziarskiej, gorzej natomiast w pismach teoretycznych, choć tom *Działanie*¹ miał być jego *summą* i pracował nad nim przez wiele lat i w kilku wersjach.

Tak się szczęśliwie złożyło, że po latach oddalenia spotkał się przy tym tomie i mogłem brać udział w jego kształtowaniu, zarówno jako uczestnik roboczych dyskusji, jak i czytelnik maszynopisów (chyba to były jeszcze maszynopisy). Odczułem wówczas mocniej szczególne promieniowanie jego osoby i zrozumiałem lepiej pasje, które nim powodowały. Był osobowością integralną, mógł zmieniać stanowiska taktyczne czy poglądy sytuacyjne – i je zmieniał, zwłaszcza w ostatnich latach życia – ale postawa i jej ekspresje miały zawsze ten sam sens i kierunek. Wyrażały się w działaniach, w mowie

¹ Jacek Kuroń, *Działanie. Jeśli nie panujemy nad swoim życiem, ono panuje nad nami*, Wrocław 2002.

i w piśmie, w autobiografii i w teorii, zapewne nierównomiernie, ale jego wszechstronnej osobowości nie da się i nie należy dzielić. Jednak dzisiaj jej ślady możemy odnaleźć przede wszystkim w tym, co napisał.

Kiedy myślę o nim i próbuję znaleźć inne podobne osobowości w naszych dwudziestowiecznych dziejach, nie nasuwają mi się przykłady wybitnych polityków, choć Jacek Kuroń był niewątpliwie politykiem i jako taki jest identyfikowany, lecz twórców kultury, i to praktyków, będących zarazem pisarzami i teoretykami, jak Edward Abramowski, Janusz Korczak, Helena Radlińska, Aleksander Kamiński. Skojarzenia te nie są przypadkowe i mają swoje oparcie w działalności Kuronia, której znamieniem szczególnym, zwłaszcza w ostatnim okresie, stało się wychowanie, edukacja, animacja. Przygotowując się do tego tekstu, przypominając sobie pisma Kuronia, a także osobistą tonację jego mowy, usłyszałem, mogę powiedzieć, wewnętrznie jego wyraźne powinowactwo z Abramowskim i chcę je tutaj oznaczyć, chociaż wedle mojej wiedzy Abramowski nie pojawia się bezpośrednio w pismach Kuronia. Jednak pewne zwroty, złożenia słowne, *loci communes* wyraźnie autora *Idei społecznych kooperatyizmu* przypominają. Nie zapominajmy, że Jacek wzrastał i kształtował się w domu o mocnej tradycji socjalistycznej, a w tej tradycji polskiej Abramowski był zawsze jeśli nie bezpośrednio obecny, to pośrednio wyczuwalny. Ponadto istnieje coś niezależnego od bezpośrednich czy pośrednich wpływów, mianowicie odpowiedniość struktur osobowych.

Przeglądając na świeżo pisma Kuronia, zarówno biograficzne, jak i teoretyczne, zwracałem uwagę na takie *loci communes*, intensywne skupienia słowne, które ześrodkowują w sobie i wokół siebie znaczenia i cechują osobieście jego teksty. Trochę roboczo, a trochę żartobliwie nazwałem je sobie „kuroniówkami” i teraz je przywołuję: „samoorganizacja”, „samokształcenie”, „samozaradność społeczna”, „wspieranie procesów społecznych”, „programy działań społecznych”, „współdziałanie, które daje przyjaźń”. Jest ich osobliwością to, że żadne nie są bezpośrednio polityczne, lecz wszystkie są istotnie społeczne. Dawniej badano tzw. „frekwencje frazeologiczne” w dziełach pisarzy, wypisując je odręcznie na oddzielnych fiszkach, dziś

robią to odpowiednie programy komputerowe, jeśli tylko zada im się dobre pytania. Otóż częstotliwość pojawiania się w jego pismach takich *loci communes* przybliżyła nas do „struktury głębokiej” osobowości Jacka Kuronia i pozwala nam rozumieć lepiej, kim był on istotnie i kim też może być jako inspirator przyszłości. Zasadne jest bowiem zajmowanie się przeszłością, ale naprawdę ważne jest pytanie, co z niej pozostanie i co przeszłość daje nam na przyszłość.

Kilka uwag o niedawnej przeszłości, właśnie ze względu na przyszłość. Warto bowiem spojrzeć na dzieje KOR-u i „Solidarności” przez pryzmat „struktury głębokiej” postawy Jacka Kuronia. Byłem tylko szeregowym i dość krytycznym członkiem „Solidarności” i nie należałem do działaczy ani współpracowników KOR-u, więc mój pogląd jest względnie bezstronny. Co mnie zadziwia w tych istotnych tekstach Kuronia czytanych po latach jako świadectwo? Przełamanie, w punkcie startu, wszystkich stereotypów tradycyjnego polskiego *liberum conspiro*, założona jawność działania, z całym ryzykiem, jakie się wówczas ponosiło, z podawaniem pełnych nazwisk, z numerem telefonu, który przekazują sobie ludzie na ulicach. Egzekwowanie więc praw obywatelskich i propagowanie postawy obywatelskiej, które mogły być dostępne każdemu, a nie tylko wybranym i zaprzysiężonym członkom tajnej organizacji. Praca społeczna niejako „w pełnym świetle dnia”, jak pisała ongiś o działaniach kulturalnych w zaborze rosyjskim Helena Radlińska. Taki etos rozwinął się potem w „Solidarności”, która była olbrzymią organizacją masową, gdzie spotykały się różne nurty ideowe, lecz postawa zasadnicza była analogiczna.

Nasza „wielka pokojowa rewolucja” – to też jest charakterystyczny zwrot Kuronia – była czymś niebywałym w dziejach świata, co za rzadko się podkreśla. Jako jej szeregowy uczestnik postępuję się przykładem najbliższym, aby pokazać, jak była ona inspirująca. Na początku września 1980 roku, zaraz po podpisaniu porozumień sierpniowych, zebraliśmy się w naszej uniwersyteckiej katedrze, aby ją przejąć. Jej szefem, z odgórnej nominacji, był profesor sprawujący wysokie funkcje partyjne, który zresztą był raczej naszym parasolem niż komisarzem. Pomyśleliśmy jednak, że dość już tej roli

i trzeba wziąć sprawy w swoje ręce, a nasz kierownik po rozmowie telefonicznej złożył rezygnację. Zajęliśmy więc naszą katedrę samorzutnie, wybraliśmy swobodnie szefa i szczęśliwie przez następne 30 lat prowadziliśmy ją sami, wedle własnych pomysłów i planów. Dzisiaj, jak wiadomo, jest to Instytut Kultury Polskiej, znany jako ośrodek naukowy i studencki, z własnym kierunkiem studiów oraz specjalizacją (animacja kultury), którą Jacek Kuroń cenił szczególnie. To jest przykład zmian zachodzących u samych podstaw społecznych, stymulowanych przez powstanie i rozmach „Solidarności”, a które były z istoty swojej cywilne i obywatelskie. Moim zdaniem, może nie w dziejach świata, gdyż porównania z ruchami Mahatmy Gandhiego czy Martina Luthera Kinga są trudne, ale w dziejach Europy, nie było takiej milionowej organizacji społecznej, która – nawet poddana militarnej presji stanu wojennego – ograniczyła się do oporu cywilnego i obywatelskiego. Z jej strony nie padł żaden strzał.

I tu krótki ekskurs historyczny, którym wzmacniam swoje wypowiedzi interpretacyjne. Niedawno dowiedziałem się, że w czerwcu 1944 roku w warszawskim okręgu szkolnym maturę zdało więcej abiturientów niż w czerwcu 1939. Prawdopodobnie to jest rekord światowy tajnego kształcenia podczas takiej okupacji, w której za każdy zeszyt można było dać głowę. Nie wiemy, niestety, ilu tych maturzystów, a na pewno znaczna ich część, poszło potem do powstania. Nie wiemy też, ilu z nich poległo, a powinniśmy ciągle pytać samych siebie, czy nie należało ich ocalić. Mamy niezliczone upamiętnienia ofiar powstania – i słusznie, gdyż te ofiary pamiętać i czcić należy. Ale w całej Warszawie jest tylko jedna i to dość ukryta tablica pamiątkowa poświęcona pracy ówczesnych nauczycieli podziemnych. A przecież było to arcydzieło społecznej samoorganizacji, zwieńczone ponadto podziemnymi uniwersytetami i innymi wyższymi uczelniami. Warszawa jest nie tylko miastem dwóch powstań podczas drugiej wojny światowej, ale także dwóch tajnych, cywilnych uniwersytetów. To znaczy – jedynym takim miastem w dziejach świata. Do tego wielkiego cywilnego nurtu naszej przeszłości jakoś niechętnie się odwołujemy, a pamięć zbiorową zdominowała tradycja konspiracyjno-militarna. Tradycja ta stała się swego rodzaju polskim kanonem, zdominowała

także naszą współczesną historiografię, a w konsekwencji również wzory i prace wychowawcze. Budować nowoczesne społeczeństwo obywatelskie, którego poszerzanie i umacnianie jest nam nieodzowne, można właśnie na tradycji cywilnej samoorganizacji, tworzeniu pozytywnych faktów społecznych, zbiorowej samoedukacji. Trzeba nam myśleć o zmianie całego kanonu nowoczesnej polskiej historii, a co najmniej o jego wzbogaceniu tradycjami pracy społecznej, kulturalnej, edukacyjnej.

Wszystko to wymaga zmiany języka, i tutaj przykład Jacka Kuronia może być również pouczający. Kolejnym przełomowym momentem w jego życiu było odejście z rządu, którego był społeczną twarzą, i krytyczna refleksja o przemianach, których był współtwórcą. Nie jest to odrzucenie zdobyczy tych przemian ani też regres do przeszłości. Autor *Działania* rozumie, że znaleźliśmy się w nowej sytuacji historycznej, co wymaga wyrobienia innego niż zastany języka mówienia o rzeczywistości. Jego zmaganie się z własnym wyrazem w tej książce ma w dużej mierze takie źródło. Społeczne ześrodkowanie w jego pismach jest zaczątkiem takiego języka – to ziarno, z którego można wyhodować roślinę, to znaczy wysublimować język dla krytycznego, twórczego kształtowania obecnej rzeczywistości. Oczywiście o wiele łatwiej interpretować, niż sublimować, bo interpretuje się to, co już znane i wypowiedziane, a sublimować trzeba to, co ledwie zapowiedziane i dopiero rozpoznawane. Ale to jest zadanie, które stoi przed nami, zwłaszcza przed młodszym pokoleniem, licznie obecnym na tej sali. Bez utopii bowiem nie ma rzeczywistości zastępującej na ludzkie określenie i oswojenie. Utopia nie jest żadną mrzonką, jest natomiast myślą przekraczającą zastaną rzeczywistość. Jeśli tego, co zastane, nie umiemy przekroczyć, to zostajemy zredukowani do przedmiotów, a nasz język – do jałowej deskrypcji. Przed tym właśnie Jacek Kuroń bronił się wszystkimi możliwymi środkami. Nasz problem nie polega na tym, że odrzucamy dorobek III RP. Przeciwnie – przyjmujemy go w tym, co najlepsze, ale wiemy, że jest to rzeczywistość niedopełniona. Ona potrzebuje takiego społecznego wypełnienia, jakie tu wskazywałem. Państwo samo jest polityczną skorupą, i nawet jeśli najsprawniej działa, skorupą taką pozostaje. Może

stać się uciążliwą skorupą biurokratyczną, jak to na przykład jest w nauce polskiej, która nigdy nie była tak zbiurokratyzowana jak obecnie. Z pism i działań Jacka Kuronia wydobywam przesłanie, które wzywa nas do budowy społeczeństwa pełnego, to znaczy ziarnistego w każdym ogniwie, twórczego w każdym zespole.

Mirostław Czech

Jacek Kuroń i mniejszości

Chciałbym umiejscowić osobę Jacka Kuronia w szerszym kontekście sporów i dylematów, które stanęły przed Polską, i zobaczyć, czy jego wkład w myślenie o mniejszościach, przede wszystkim narodowych i etnicznych, ma trwałe zakorzenienie. Czy jego dziedzictwo trwa, czy też zostało zapoznane? Z tymi pytaniami wiąże się inne – bardziej zasadnicze – jaki patriotyzm ma być realizowany w nowej, wolnej Polsce? Jak ten model przekuć na praktyczne działania?

Znana i opisana jest działalność polityczna Jacka Kuronia jako jednego z twórców wolnej Polski. Można spotkać się ze stwierdzeniami, że wprowadził nas do III Rzeczypospolitej, podobnie jak niegdyś Józef Piłsudski zaprowadził Polaków do II RP. Natomiast mniej znana jest jego aktywność dotycząca mniejszości narodowych, w tym stosunków polsko-ukraińskich. Tymczasem te zasługi mają fundamentalne znaczenie.

Jackowi Kuroniowi były bliskie tradycje, sposób myślenia i model patriotyzmu najlepiej oddane w tekście Jana Józefa Lipskiego *Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy*¹. Czyli myślenie krytyczne wyrastające z ewangelicznego przesłania, że zanim się poszuka źdźbła w oku drugiej osoby, trzeba najpierw wyciągnąć belkę z własnego oka...

¹ Jan Józef Lipski, *Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy. Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków*, „Kultura” [Paryż] 1981, nr 10 (przedruk NOWA 1981; b.m.w.).

Jacek Kuroń był urodzony we Lwowie i znał relacje polsko-ukraińskie. Dlatego też, z racji swej biografii, zdawał sobie sprawę, że Polska Ludowa prowadziła dyskryminacyjną politykę wobec mniejszości kulturalnych i etnicznych. W 1976 roku została przyjęta doktryna, że PRL jest państwem jednolitym pod względem narodowościowym, to znaczy problem mniejszości narodowych i składu narodowościowego został przez to państwo rozwiązany. Tym samym została zrealizowana myśl, która legła u podstaw Polski Ludowej: co prawda utraciliśmy wschód, ale zyskaliśmy zachód. Dzięki temu zrządzeniu losu Polacy są wyłącznymi gospodarzami w swoim kraju. Tym samym PRL nie ma problemu mniejszości narodowych, który był tak istotną kwestią w II Rzeczypospolitej.

Jacek Kuroń nie zgadzał się z tym stanowiskiem z kilku powodów. Po pierwsze, znał losy mniejszości narodowych w Polsce. Osobistą traumą był dla niego rok 1968, ale miał także wiedzę o losach Białorusinów, Litwinów, Ukraińców, Niemców, i na te sprawy był niezmiernie wyczulony. Dlatego też, gdy tylko zostały podjęte przygotowania do obrad Okrągłego Stołu i powstał Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie, Jacek Kuroń doprowadził do powstania Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych, jednej z 15 w tymże Komitecie. Na jej czele stanął Marek Edelman. Potem powstała Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej, której Jacek Kuroń przewodniczył od 1989 do 2001 roku, z przerwą na pełnienie funkcji ministerialnych w rządach Tadeusza Mazowieckiego i Hanny Suchockiej.

Jacek Kuroń jest twórcą wizji polityki państwa polskiego wobec mniejszości narodowych oraz jej wprowadzenia w życie. Wychodził z trzech założeń.

– Nikt nie powinien być dyskryminowany w nowej Polsce, a szczególnie mniejszości narodowe i etniczne.

– Należy prowadzić tzw. pozytywną politykę afirmacyjną, czyli mniejszościom powinno się zagwarantować więcej niż innym, bo są one nieliczne, a wiele z nich żyje w rozproszeniu.

– Stosunek większości do mniejszości jest nieraz bardzo zły. Trzeba zatem pracować, aby tę sytuację zmienić.

Metodę działania Jacka Kuronia znamy jeszcze z doświadczenia z czasów KOR-u: jeżeli mamy do czynienia z jakimś konkretnym konfliktem, to jego rozwiązaniem będzie przełom w relacjach w kwestiach bardziej ogólnych. Przykładem może być sytuacja mniejszości litewskiej w Polsce. W pewnym momencie bardzo trudną kwestią wydawała się sprawa postawienia w Sejnach pomnika bp. Antanasa Baranauskasa. Konflikt wydawał się nie do rozwiązania, ale Jacek Kuroń cierpliwą pracą, między innymi współdziałając z biskupami, doprowadził do wzniesienia tego pomnika. Podobnie było na początku lat 90. w przypadku mniejszości ukraińskiej. Wtedy to mieliśmy do czynienia z głośnym sporem o byłą katedrę grekokatolicką w Przemyślu oraz o pomniki żołnierzy UPA. Kuroń zajmował się oddzielnie każdym z tych problemów i próbował go doprowadzić do pozytywnego rozwiązania. Z powodzeniem.

Jacek Kuroń uważał, że polityka afirmacyjna wobec mniejszości narodowych jest skutecznym narzędziem w relacjach dwustronnych. Tu był kontynuatorem myśli Jerzego Giedroycia i paryskiej „Kultury”. W 1977 roku, wraz z Adamem Michnikiem i Antonim Macierewiczem, napisał ważny tekst *Sprawa polska – sprawa rosyjska*². Zostało tam sformułowane zasadnicze dla późniejszej polskiej polityki założenie: jeżeli potrafimy zbudować w Polsce dobre relacje z mniejszościami narodowymi, to ten stan ułatwi nam prowadzenie polityki z państwami sąsiednimi, gdzie przecież zamieszkuje mniejszość polska, a wzajemne stosunki są naznaczone zaszczościami historycznymi.

Wreszcie istotnym elementem tej koncepcji było „nie” dla zasady wzajemności. Ta reguła wywodzi się jeszcze z okresu przedwojennego i zasadza się na założeniu: „jak wy naszym, tak my waszym”. Jacek Kuroń uważał, że to jest fatalne założenie, które może prowadzić do rozmaitych konfliktów

² Jacek Kuroń, Antoni Macierewicz, Adam Michnik, *Sprawa polska – sprawa rosyjska*, „Głos” 1977, nr 1.

i powtórzenia się sytuacji sprzed 1939 roku, w czym miał absolutną rację. Zasady, aby nie wprowadzać do polityki kryteriów wzajemności, trzymał się z żelazną konsekwencją.

Ogromną wagę przywiązywał również do spraw pamięci. Uważał, że jeżeli mamy budować relacje dwustronne na trwałych zasadach, to musi nastąpić przeoranie złej pamięci w relacjach dwustronnych. Ze wszystkimi narodami. Z Niemcami w tym przypadku było łatwiej, bo wielkie znaczenie dla tych relacji miał list biskupów polskich do niemieckich z 1965 roku. Z Litwinami czy Białorusinami było mniej sporów. Natomiast inaczej przedstawiała się sprawa z Ukraińcami.

Jacek Kuroń znał ogrom tragedii, jakie miały miejsce w latach drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu. Był też przekonany, że bez przełamania oporów złej pamięci i poczucia krzywdy całych środowisk dotkniętych tą tragedią nie uda się zbudować trwałego fundamentu dla dwustronnych relacji polsko-ukraińskich. Sam robił to na kilka sposobów. W 1995 roku doprowadził do spotkania Światowego Związku Żołnierzy AK i Związku Ukraińców w Polsce, by współorganizowały cykl konferencji historyków *Trudne pytania* poświęconych wzajemnym relacjom w pierwszej połowie XX wieku³. Odbyło się 12 takich spotkań (dopiero dzisiaj widać, jak było to ważne działanie). Kuroń spowodował, że spotkały się dwa środowiska dotknięte krzywdami i razem zastanawiały się nad przeszłością. Uważał, że tylko w ten sposób można pokonać wzajemne nieufności: dyskusja, dialog, podjęcie rozmowy i wzajemne przekonanie się.

Ogromne znaczenie miała też jego akcja w 2001 roku dotycząca cmentarza Orłąt Lwowskich. Ta kwestia przez lata blokowała rozmowy polsko-ukraińskie. Jacek Kuroń doszedł do przekonania, że trzeba podjąć jakieś wspólne działanie: najlepiej doprowadzić do spotkania i do wspólnej modlitwy hierarchów grecko- i rzymskokatolickich we Lwowie oraz grupy intelektualistów polskich i ukraińskich. To wystarczy – był przekonany – by

³ Seria 12 seminariów historyków polskich i ukraińskich, organizowanych w latach 1996–2006 przez Światowy Związek Żołnierzy AK i Związek Ukraińców w Polsce. Materiały z tych spotkań zostały wydane w XI tomach z serii *Polska–Ukraina. Trudne pytania* w latach 1998–2009.

pokazać, że możliwy jest dialog. I – można powiedzieć – dokonał się cud. Po spotkaniu 1 listopada 2001 roku we Lwowie na cmentarzu Orląt i przy monumencie strzelców siczowych modlitwy odprawiali kardynałowie Marian Jaworski, rzymskokatolicki metropolita lwowski, i Lubomyr Huzar, zwierzchnik Kościoła greckokatolickiego. Samo spotkanie było współorganizowane przez Ukraiński Uniwersytet Katolicki we Lwowie. Po tym spotkaniu opadła napięta atmosfera. W 2005 roku prezydenci Aleksander Kwaśniewski i Wiktor Juszczenko mogli uroczystie tworzyć odbudowany cmentarz Orląt. Co roku odbywają się tam modlitwy organizowane przez środowiska lwowskie, a 1 listopada 2013 roku na te uroczystości przyszedł łaciński metropolita abp Mieczysław Mokrzycki, szef Konferencji Episkopatu Ukrainy Kościoła Rzymskokatolickiego, który ma, delikatnie rzecz biorąc, wstrzeźliwy stosunek do Ukraińców.

Ostatni przykład stanowi sprawa Wołynia. W filozofię działania Jacka Kuronia był wpisany szacunek dla wrażliwości drugiej osoby. Przy okazji obchodów 60. rocznicy rzezi na Wołyniu ukazała się w „Gazecie Wyborczej” rozmowa Jacka Kuronia z Pawłem Smoleńskim⁴. Padło w niej stwierdzenie, że nie wolno nikogo zmuszać do proszenia na kolanach, bo to się nigdy dobrze nie kończy. To była istota jego myślenia: nie można nikogo do niczego przymuszać, on musi sam dojrzeć. Trzeba natomiast patrzeć na własne winy, nawet jeśli są one nieproporcjonalne do win drugiej strony. To będzie trwalszy fundament porozumienia niż wymaganie: „wy powinniście pierwsi to zrobić, musicie się mocniej uderzyć w piersi, bo wtedy my może to rozważymy”. W tym sensie postawa Jacka Kuronia była ewangeliczna, osadzona na fundamencie myślenia humanistycznego, które znajdowało wspólne odniesienia z myślą chrześcijańską. To przyniosło pozytywne efekty, czego najlepszym przykładem jest stosunek Polaków do tego, co od jesieni 2013 roku działo się na kijowskim Majdanie i na całej Ukrainie.

⁴ *Nie wolno zmuszać do pokuty* [z Jackiem Kuroniem rozmawia Paweł Smoleński], „Gazeta Wyborcza”, 31 maja 2003.

Joanna Tokarska-Bakir

Inność i polskość

Styl myślenia Jacka Kuronia wydaje mi się bliski postawie opisywanej niegdyś przez Zygmunta Baumana w *Nowoczesności i zagładzie*¹. O inności można myśleć jako o jednym z obrazów w galerii, który trzeba obejrzeć i pójść dalej – przekonywał – albo można o niej myśleć jako o oknie, przez które patrzymy. Sądzę, że Jacek Kuroń podobnie traktował inność – nie jako obraz na ścianie, tylko jako widok przez okno, którego zauważenie zmienia wszystko.

Lata 80. i 90. ubiegłego stulecia to czas mody na inność w kulturze. Nawet tak aktywny dziś w debacie o *gender* abp Marek Jędraszewski napisał książkę *Wobec Innego*², przy czym „Inny“ pisany był zawsze z wielkiej litery. Emmanuel Lévinasa i jego filozofię odmieniano przez wszystkie przypadki i osoby. To były ciekawe czasy. Dziś myślę, że to ówczesne zainteresowanie innością było rodzajem protestu przeciwko komunizmowi, który kojarzył się z przymusową swojskością. Te czasy bezpowrotnie minęły.

Od początku lat 2000. mamy do czynienia z rewolucją konserwatywną, w której swojskość jest wartością wynoszoną ponad wszelką inność. Jej trzema elementami były: wprowadzenie religii do szkół, zwrot majątków kościelnych

¹ Zygmunt Bauman, *Nowoczesność i zagłada*, przeł. Franciszek Jaszuński, Warszawa 1991.

² Marek Jędraszewski, *Wobec Innego. Relacje międzypodmiotowe w filozofii Emmanuela Lévinasa*, Poznań 1990.

oraz stworzenie Instytutu Pamięci Narodowej, po krótkim okresie prezesury prof. Kieresa coraz ostrzej szermującego narodową historią Polski. Zdaje sobie sprawę, że to generalizacja, lecz trzeba przeprowadzić taki rekonesans: Polska jest dziś krajem znormalizowanej dyskryminacji inności. Jest krajem, gdzie za normatywne uznaje się to, co statystycznie przeważające, na przykład fasadowy katolicyzm, fasadową heteroseksualność lub fasadową rodzinę. Mówię o „fasadowości”, ponieważ z badań młodego pokolenia socjologów, takich jak Tomasz Szlendak, wynika, że duża część Polaków reprezentuje zupełnie inne style życia, których nie można pogodzić z katolicyzmem. Jednak deklaracje tożsamości katolickiej są silne i głośne.

W polskiej debacie publicznej z trudem przebijają się głosy tłumaczące miejsce i prawa mniejszości w społeczeństwie. Przecież, jak myśli wielu, demokracja polega na rządach większości. W rezultacie to pod adresem mniejszości wysuwane są żądania tolerancji. Na przykład Monika Olejnik domaga się jej od poseł Anny Grodzkiej, którą poseł Stefan Niesiołowski poinformował o swoim zdecydowanie negatywnym stosunku do małżeństw homoseksualnych. Postulat tolerancji wysuwany pod adresem mniejszości powtarza warszawski profesor socjologii³, który odpowiada czarnoskórej Polce skarżącej się na stereotypizację związaną ze znanym wierszykiem Juliana Tuwima: brońmy poetę przed poprawnością polityczną! To jest zupełne odwrócenie, ta osoba domaga się obrony, a w odpowiedzi styszy: brońmy Tuwima przed agresją czarnej Polki! Jest dysproporcją i deformacją upominanie się o tolerancję od osoby, która jest dyskryminowana. Jeśli przyjmiemy założenie, że polska debata publiczna jest zdefiniowana przez kryptokonserwatyzm, to wtedy upomina się ona o tolerancję dla dominującego hegemonicznego dyskursu konserwatywnego. Jest to klasyczny przypadek przemiany demokracji w dyktaturę większości, przed którą ostrzegał John Stuart Mill.

Drugą kwestią jest polskość jako kategoria obywatelska. A raczej jej brak, bo ten sposób definiowania polskości jest u nas bardzo rzadki. W Niemczech

³ Antoni Sutek, *Bambo, nasz koleżka*, „Gazeta Wyborcza”, 25 października 2013 (polemika z rozmową Anety Augustyn z Margaret Ohia, *Uwiera mnie Murzynek Bambo*, „Gazeta Wyborcza”, 18 października 2013).

niemieckość jako kategoria obywatelska, nieograniczona do żadnych korelatów etniczno-narodowych, umocniła się po „sporze historyków”, czyli w latach 80. i 90. XX wieku. W Polsce odpowiednikami „sporu historyków” są zapewne debaty wokół książek Jana Tomasz Grossa, ale one nie przekładają się na zmianę języka politycznego. Nie pojawia się, jak dotąd, kategoria, którą zapożyczam od niemieckich kolegów: „żydowski” i „nieżydowski Niemiec”⁴. Próbowałam ją przenosić do polskich warunków, mówiąc o „żydowskich” i „nieżydowskich Polakach”, ale to budzi protest moich kolegów, zarówno etnicznych Polaków, jak i Polaków-Żydów. U nas tożsamość jest jednolita, a „fanaberie” są tępiące nawet przez GUS: w formule spisu powszechnego nie można mieć podwójnej tożsamości. W Polsce kategoria wspólnoty zdefiniowana jest wyłącznie narodowo. Potrzeba pilnego namysłu nad tą sprawą.

Poważnym ograniczeniem polskiej debaty publicznej jest wreszcie słabość pola naukowego i dziennikarskiego. Chodzi o sposób, w jaki traktuje się kategorię „ideologii”. W mediach głównego nurtu czasem pojawiają się naukowcy. Muszą jednak spełnić warunek: zaakceptować ograniczenia narzucane przez dziennikarzy, którzy (co szczegółowo opisuje Pierre Bourdieu w książce o panowaniu telewizji⁵) chcą sprawiać wrażenie, że bronią swoich widzów czy słuchaczy przed nadmiarem komplikacji. Tak stają się arbitrami w sprawach, o których nie wiedzą zgoła nic. Można odnieść wrażenie, że dziennikarze uzgodnili, iż wypowiedzi dzielą się z grubsza na ideologiczne i nieideologiczne. Co więcej, Polska okazuje się bastionem ideologicznego użytku ze słowa „ideologia”, które zakłada, że właśnie taki podział jest możliwy. Tymczasem czytelnicy prac Karla Mannheima, Bourdieu czy Louisa Althussera wiedzą, że istnieją dwa znaczenia słowa „ideologia”: jedno wąskie, opisane wyżej, i drugie zakładające, że każda wypowiedź, nie tylko wypowiedź naszych przeciwników, odwołuje się do jakiegoś zaplecza ideologicznego.

⁴ Katrin Steffen, *Jüdische Polonität, Ethnizität und Nation im Spiegel der polnischsprachigen jüdischen Presse 1918–1939*, Göttingen 2004.

⁵ Pierre Bourdieu, *O telewizji. Panowanie dziennikarstwa*, przeł. Karolina Sztandar-Sztanderska, Anna Ziółkowska, Warszawa 2009.

To właśnie z obawy o tę domniemaną ideologiczność w Polsce wciąż nie przebiło się problematyzowanie nierówności w dostępie do równości. Aby opisać te różnice, trzeba by posłużyć się kategoriami takimi jak rasa, klasa i *gender*, a one, jak wiadomo, piętnowane są jako ideologiczne. Nikt nie zwraca uwagi, jak bardzo ideologiczne jest założenie, że wszyscy mają równe szanse na skorzystanie z praw konstytucyjnych, a także – czego założenie to nie pozwala zobaczyć i zmienić. Uniwersalizowanie dostępu do równości to fundament wszelkich ideologii konserwatywnych, niemniej w Polsce tylko wypowiedzi konserwatywne uchodzą za neutralne. Nawet krytyka braku dostępu do równości odbywa się u nas w tonie konserwatywnej melancholii (jak ostatnio zrobił to Marcin Król⁶) i nikt nie widzi potężnej ideologicznej ramy tego sposobu mówienia. Jest to ideologia niewidzialna, ponieważ dominująca, umówiliśmy się jej nie widzieć.

Pozostaje jeszcze problem polityki historycznej. Jeśli zgodzimy się z Benedictem Andersonem, że naród jest wyobrażoną wspólnotą polityczną, i jeśli przeanalizowalibyśmy polską politykę historyczną, to zobaczylibyśmy, jakie obrazy kształtują wyobraźnię współczesnych Polaków. Są to w ogromnej mierze obrazy przemocy, walki, zbrodni, kary, zdrad, powstań, wiktylizacji i obrony. One kształtują narodowy dyskurs tożsamości i strukturyzują współczesną wyobraźnię. Nie są to obrazy codziennej pracy, rzetelności, dotrzymywania zobowiązań, podnoszenia standardów, słuchania i artykułowania różnicy, lecz obrazy walki i przemocy. Byłoby dziwne, gdyby one nie kształtowały naszego życia codziennego. Od paru lat na jednej z warszawskich kamienic widnieje napis: „Warszawa znów powstanie”. Tego napisu się nie zamalowuje, chociaż chyba nikt nie wie, co to hasło miałyby oznaczać.

Można postawić pytanie: dlaczego w kraju od tylu lat rozrywaniem przez politykę historyczną, gdzie panuje mania muzeów historycznych i przeznacz

⁶ *Byliśmy głupi* [z Marcinem Królem rozmawia Grzegorz Sroczyński], „Gazeta Wyborcza”, 7 lutego 2014.

się tak wielkie środki na zapośredniczony przez państwo kontakt z przeszłością, tak bardzo zablokowana jest pamięć historyczna?

Co mam na myśli? Ostatnio analizowałam okrzyki kibiców oraz napisy profanujące cmentarze⁷. Z tego badania wynikało, że nadawcy tych komunikatów identyfikują się ze sprawcami w znaczeniu Hilbergowskiej triady: sprawca – ofiara – świadek. Znamy napisy: „Śmierć garbatym nosom”, „Zrobimy z wami, co Niemcy zrobili z Żydami”, „*Juden auf den gas*”, „Waszym domem Auschwitz jest”, „Żydzki won z polskich stron”, a na cmentarzach: „Jude raus”, „Jude won”, swastyka niekiedy zestawiana ze znakiem Polski Walczącej, wyraźnie postrzeganej jako ta, która walczyła z Żydami, oraz napisy: „Mydło z Żyda”, „Żydy do pieca”, „*Kristallnacht*”, „*Sieg Heil*”, gwiazda Dawida na szubienicy itd. To jest identyfikacja ze sprawcą, nie z ofiarami. Jak to się dzieje, że tyle lat po wojnie, przy tak ogromnych nakładach na politykę historyczną, tego rodzaju identyfikacja występuje i umacnia się?

Moim zdaniem bierze się to stąd, że polityka historyczna, zamiast być przepracowywaniem traum przeszłości, jest ich kompulsywnym powtarzaniem. Udaremnia ono żałobę i nie pozwala, by **przeszłość odeszła**. Polska polityka historyczna, jej muzealne przybudówki i rytuały budują pancerny sarkofag tam, gdzie potrzebne byłyby środki ubogie: prawda i mądra, rozwijająca wrażliwość edukacja.

Polityka historyczna, wraz z jej muzeami i rocznicami, jest jak wymyślony przez Andrzeja Stasiuka pancerny pociąg wiozący do ojczyzny zwłoki wszystkich Polaków, którzy kiedykolwiek zmarli poza krajem⁸. W gruncie rzeczy reprezentuje ona pragnienie przewyciężenia nieodbytej żałoby, ominięcia jej, bo jest zbyt bolesna, by ją do siebie dopuścić.

⁷ Joanna Tokarska-Bakir, *Prospero i Kurz w lustrze pamięci. Przeniesieniowe pozycje sprawcy, ofiary i świadka w polskim dyskursie publicznym drugiej dekady XXI wieku*, „Politeja” (Kraków, w druku). Zob. także: Wojciech Wilczyk, *Święta wojna (2009–2014)*, Kraków–Łódź 2014.

⁸ Andrzej Stasiuk, *Z drogi: wykopywanie*, „Dwutygodnik” 2014, nr 149, <http://www.dwutygodnik.com/artukul/3979-z-drogi-wykopywanie.html>. Obraz nawiązuje nieświadomie do manii sprowadzania ciał poległych do Niemiec, o którym to zjawisku Sander L. Gilman pisze, że „reprezentuje ono pragnienie przewyciężenia żałoby, której nie było” – Sander L. Gilman, *Reemerging Jewish Cultur in Germany. Life and Literature Since 1989*, New York 1994, s. 11.

Andrzej Nowak

Pamięć i pamięci

Pozwolę sobie zacząć od przypomnienia wypowiedzi Edwarda Abramowskiego. Niewątpliwie ta właśnie postać powinna zostać przywołana wśród najważniejszych duchowych antenatów Jacka Kuronia. Twórca polskiego solidaryzmu i zarazem swoistej wersji anarchizmu podejmował w swoich prowadzonych przed pierwszą wojną światową rozważaniach problem tożsamości, który nas tutaj również interesuje.

Dla Abramowskiego, 100 lat temu, był to problem zagrożonej „starej” tożsamości polskiej. Opublikował na ten temat interesujący tekst *Pomniejszyciele Ojczyzny*¹, będący pełną pasji obroną polskiej pamięci kulturowej, którą – jego zdaniem – miała zniszczyć nowa wizja: Polski małej, zredukowanej w imię modernizacji do etnograficznego kadłubka, Polski uznanej przede wszystkim za krzywdzicielkę innych narodowości (w tym przypadku: Litwinów, Białorusinów, Ukraińców). Abramowski stwierdzał retorycznie, że dla zaakceptowania takiej wizji, o którą upominali się wówczas z pretensjami pod adresem Polski przedstawiciele nacjonalistycznych kół owych narodowości, „trzeba by było utworzyć nową kulturę i nową duszę. Nie miałyby ona ani historii, ani przeszłości. Czy z takim okaleczeniem duchowym naród [polski] mógłby żyć?”.

¹ Edward Abramowski, *Pomniejszyciele Ojczyzny*, „Kurier Warszawski”, 25–26 marca 1914.

Walcząc o utraconą pamięć swojej tożsamości, tożsamość jakby przykrytą płaszczem Rzeczypospolitej, polskiej w swej dominującej kulturze, litewscy autorzy, podobnie jak ukraińscy czy białoruscy, uderzali w tożsamość utrwaloną, zakorzenioną już od wieków w dużej części elit polskich. Polskość z zakwestionowanym w niej miejscem Mickiewicza, Słowackiego, Kościuszki, Moniuszki, a także z wymazanym z jej tradycji Wilnem, Lwowem, Grodnem – taka polskość istotnie oznaczała utworzenie dla niej „nowej duszy i nowej kultury”. Oznaczała także konieczność budowania nowej pamięci, będącej fundamentem nowej tożsamości, a może przede wszystkim – wymazania starej pamięci, zapomnienia tego, czym była polskość na przykład dla Abramowskiego i dla tysięcy, dziesiątków tysięcy takich rodzin jak jego. To musiało oznaczać budowanie – przynajmniej na wschód od Bugu – panteonu odkrywających swoją pamięć Litwinów, Białorusinów, Ukraińców – na grobie polskiej pamięci Rzeczypospolitej. Czy ktoś może rozstrzygnąć, że któraś z tych pamięci była „świadomością fałszywą”, a któraś nie? Litewska czy ukraińska pamięć krzywd – „słuszna”, polska pamięć wspaniałej Rzeczypospolitej i polskiego wkładu w jej wielokulturowe dziedzictwo – „fałszywa”? Zaakceptowanie takiej perspektywy przez Polaków, zauważał Abramowski, oznaczało obowiązek budowania nowej pamięci: takiej mianowicie, w której w historii Polski szukaliby oni nie Polaków, ale obcych. Żeby swoich przodków i siebie samych ostatecznie zobaczyli jako obcych. O tym właśnie pisał z bólem Abramowski.

Jego słowa doskonale wyrażają dramat, jaki opisuje analiza fenomenu przeżywanego społecznie zapomnienia, analiza dokonana równoległe przez dwóch znakomitych współczesnych teoretyków pamięci: Franka Ankersmita² i Paula Connertona³. Obaj wyróżniają ten szczególnie bolesny rodzaj zapomnienia: kiedy zapominamy, kim byliśmy, przestajemy się z tym identyfikować, by potwierdzić swoją nową tożsamość; kiedy tracimy nieodwołanie siebie samych, by stać się kimś nowym.

² Frank Ankersmit, *The Sublime Dissociation of the Past: or How to Be(come) What One Is No Longer*, „History and Theory”, Oct. 2001, s. 295–323.

³ Paul Connerton, *Seven types of forgetting*, „Memory Studies” 2008, nr 1, s. 59–71.

Stale stawiamy sobie pytanie o możliwości i konieczności kolejnych przekształceń tożsamości. Tymczasem w naturze ludzkiej istnieje, głęboko ulokowana, chęć obrony tożsamości zastanej. Te dwa instynkty będą się zawsze ścierały – z jednej strony: chęć zmiany, otwarcia na przyszłość, na wielość możliwości, na utopię, której pięknie broni w wielu swoich pismach m.in. Andrzej Mencwel – a z drugiej: chęć obrony tego, kim jestem, pragnienie pozostania tym, kim jestem.

Polska kształtowała przez kilkaset lat poprzez ucieranie określone elementy naszej tożsamości. Sięgnę teraz do pierwszego polskiego pisarza i historyka – mistrza Wincentego, nazwanego po wiekach Kadłubkiem. Pisał on już 800 lat temu: *identitas mater est societatis*, czyli „tożsamość jest matką wspólnoty/społeczeństwa”. W tym krótkim zdaniu została zawarta jakaś głęboka mądrość, a zarazem dylemat: tożsamość jest matką stowarzyszenia – jeśli podważamy tożsamość, jeśli ją dekonstruujemy, to coś się dzieje ze wspólnotą. Czy jednak ta tożsamość, którą konstruuje dla Polaków Wincenty Kadłubek, musi być bezkrytyczna i ślepa? Przywołajmy drugi cytat z *Kroniki polskiej* mistrza Wincentego: „Obawiam się, ażebyśmy więcej, niż to jest słuszne, nie starali się podobać sami sobie, boję się, byśmy nazbyt sobie nie potakiwali, i żeby w chwili, gdy się głupio do siebie uśmiechamy, jeszcze głupsza przyczyna niepodobania się sobie nawzajem nam nie urągała. Albowiem przymilnością wykarmimy głupotę, a mówieniem na przekór roztropność. Ganiący jednak niech będzie przyjazny i mądry, to błędy z miłością poprawi, to łając, przypomni, niech pochopnie nie obszczekuje jak bezwstydną zjadliwość, która poszukuje sęka w trzcinie i dziury w całym. Niech raczej pamięta zarówno o swoim, jak i o naszym człowieczeństwie, i o tym, że w ludzkim rozeznaniu nie ma nic doskonałego”⁴.

Ostatnie fragmenty przytoczonego zdania doskonale oddają – w moim przekonaniu – postawę Jacka Kuronia: nigdy nie dostrzegałem w jego słowach przeświadczenia, że wie on z absolutną pewnością, jak jest, inni

⁴ *Mistrza Wincentego Kronika polska*, przeł. Kazimierz Abgarowicz i Brygida Kürbis, wstęp i oprac. Brygida Kürbis, Warszawa 1974.

zaś tego nie wiedzą. Zdawał sobie sprawę z niedoskonałości swojej pozycji poznawczej jako człowieka. A ponadto pamiętał zarówno o swoim, jak i o swojego partnera człowieczeństwie – to wydaje mi się uderzającą cechą, podkreślaną przez każdego, kto Jacka Kuronia wspomina.

W tym kontekście warto zobaczyć dzisiejsze spory o polską tożsamość. Jacek Kuroń tak mówił o tym, kiedy był przewodniczącym Komisji Mniejszości Narodowych i Grup Etnicznych w Sejmie. Cytuję: „Nieważna jest rzeczywista historia, tylko historia obecna w ludzkiej świadomości. W Polsce żadne poczucie winy wobec Ukraińców nie istniało, istniało i istnieje natomiast bardzo głębokie przekonanie, że Polacy są męczennikami świata. Jako społeczeństwo nie dojrzeliliśmy jeszcze do dokonania rachunku sumienia, bo ciąży na nas kompleks ofiary. Co więcej, jest to honorowy tytuł, nie pozwala on na żadne ustępstwa, na przykład na uznanie, że strona polska bywała także krzywdzicielem. Ze względu na kompleks ofiary po stronie polskiej jawi się, że to ona jest zawsze stroną pokrzywdzoną”⁵.

Myślę, że to jest klarowny wykład pozycji Jacka Kuronia. W tym kierunku szedł. Historia krytyczna czy raczej publicystyka krytyczna (bo historia krytyczna ma mniejsze znaczenie, kto czyta książki historyków – niewielka grupka ludzi), zwłaszcza powielana przez wielkie media elektroniczne, podchwyciła w ostatnich 20 latach ten ton. Czy wygrała? Na pewno nie. Wywołała kontrnurt historii apologetycznej, ten odruch obronny – „moja tożsamość jest zagrożona, zabierają mi ją, a ja nie chcę jej zmieniać”. I tu powstaje problem. Ten właśnie, który zasygnalizowałem na wstępie, przywołując może nieoczekiwany cytat z Abramowskiego. Nie twierdzę, że rację ma jedna czy druga strona owego sporu. Nie umiem też łatwo znaleźć rozwiązania tego napięcia. Rzeczywistego, bo przeżywanego przez konkretnych ludzi. Od dobrej woli pójścia o krok dalej w rozwiązywaniu tego dylematu, historia krytyczna przeszła dalej, niebezpiecznie – śmiem twierdzić – daleko: sięgnęła po rolę terapeuty. Jeśli ktoś uważa, że może

⁵ *Trudna droga do pojednania – rozmowa „Dialogu” z Jackiem Kuroniem na temat stosunków polsko-ukraińskich*, www.dialogonline.org/artikel_pl.php?artikel=26 (dostęp: 27 marca 2013).

leczyć innych ze złej pamięci, to bardzo szczególnie ustawia relacje między sobą a tymi, ku którym się zwraca. Wydaje mi się, że Jacek Kuroń nigdy nie występował w roli terapeuty i nie traktował drugiego jak pacjenta. Przyjmowaniu postawy terapeuty towarzyszy zapewne nierzadko dobra wola – usunięcia czegoś, co można z własnej perspektywy rozpoznać jako chorobę. Ale ryzyko pozostaje poważne.

Oto kolejna ilustracja tego problemu, kolejny cytat – fragment artykułu Jerzego Jedlickiego: „Jeśli celem, jaki mamy przed oczyma, jest bezlitosna prawda dziejowa i pogodzenie Polaków katolików z plamami własnej historii narodowej i wyznaniowej, to zadania tego nie da się wykonać w znieczuleniu [...]. «Aby pewne rzeczy wypowiedzieć – pisze Joanna Tokarska-Bakir – trzeba przewyciężyć własny i cudzy odruch cofnięcia się przed bólem»”⁶.

Jeszcze raz podkreślę – można tu zobaczyć dobrą wolę, chęć usunięcia problemu, jakiegoś społecznego „wrzodu”, ale pojawia się to ryzykowne stwierdzenie, że należy przewyciężyć „odrch cofnięcia się przed bólem” – bólem zadawanym innemu. I wtedy przychodzi mi na myśl motto, przyjmowane coraz powszechniej jako swego rodzaju oczywisty układ odniesienia dla współczesnej wrażliwości (przed wiekami inaczej na to patrzono, ale dzisiaj ten właśnie sposób dominuje). To jest cytat z powieści pisarza południowoafrykańskiego J.M. Coetzeego z powieści *Czekając na barbarzyńców*: „Tylko ból jest prawdą, wszystko inne budzi wątpliwości”.

Ostatecznie w zderzeniu z dylematami i z różnymi moralnymi sporami miernikiem jest ból, jaki zadajemy drugiemu. I tu się pojawia dylemat: czy możemy zadawać ból w imię uniknięcia problemów, które my uznajemy za większe? Jak zmierzyć te bóle, które zderzają się w sporach o tożsamość?

Na koniec chcę przedstawić dwie perspektywy rozstrzygania tego problemu. Miałem okazję zapoznać się z nimi podczas konferencji *Memory and Theory in Eastern Europe*, jaka odbyła się w lipcu 2011 roku w Cambridge.

⁶ Jerzy Jedlicki, *Bezradność*, „Gazeta Wyborcza”, 27 czerwca 2009, cyt. za: *Przeciw antysemityzmowi 1936–2009*, wybór, wstęp i opracowanie Adam Michnik, Kraków 2010, t. 3, s. 1024.

Pierwszą reprezentowała Aleida Assmann, „kaptanka” pamięci europejskiej, która dość stanowczo domagała się utrwalenia instytucjonalnego wzoru pamięci obowiązującej w całej Europie, a jego źródłem jest przyjęta już wcześniej, przed 1989 rokiem, w Niemczech i zachodniej Europie perspektywa: doświadczenie Holocaustu jako ustalone jednoznacznie za swego rodzaju wzorzec pamięci dla innych wrażliwości. Po włączeniu krajów Europy Wschodniej do UE ten wzorzec zderzył się, stwierdza Assmann, z doświadczeniem, z pamięcią GULagu. Rozwiązania, jakie proponuje Assmann dla tego zderzenia, doświadczonego po rozszerzeniu Europy o kraje znajdujące się w sferze panowania sowieckiego, to próba swoistego *Ausgleichu*; pamięć Holocaustu wszędzie obowiązuje, ale we wschodniej Europie, raczej nie zachodniej, może obowiązywać obok niej także pamięć GULagu. Abstrahuję od treści ideowych związanych z rodzajami pamięci, które proponuje Aleida Assmann, a które Unia Europejska *de facto* wspiera i próbuje instytucjonalizować. Zwracam jedynie uwagę na sam sposób rozwiązania: jakaś terytorializacja pamięci ma być obowiązująca na danym obszarze, na szerszym inna, zaś pozostałe pamięci powinny być albo pomijane milczeniem, albo nawet zwalczane jako szkodliwe.

Z odmiennym głosem wystąpił Natan Sznajder z Uniwersytetu w Jerozolimie. Ten wybitny badacz pamięci przedstawił perspektywę pamięci kosmopolitycznej, łączącej jednak kosmopolityzm z tożsamością wspólnotową, w tym przypadku żydowską. Zwrócił on uwagę, że – po pierwsze – historia i granice już nie muszą być we współczesnym świecie jedynymi formami symbolicznej integracji. I to jest bardzo ważne stwierdzenie. Tymczasem to, co proponuje Aleida Assmann – terytorializacja pamięci obowiązującej (i terapia mająca usuwać stopniowo inne, nieuznane instytucjonalnie formy pamięci) – służy utrwaleniu granic, już nie narodowych, ale inaczej zakreślonych: w tym przypadku granicę wyznacza oddziaływanie instytucji UE. Drugą cechą, jaką Sznajder dostrzegł także w spojrzeniu wymienionej Aleidy Assmann, był klasyczny podział na „my” i „oni”, „my” i „inni”. „My” rozumiemy właściwość tej pamięci, którą proponujemy, a „oni” jej jeszcze nie rozumieli, jeszcze do niej nie dojrzeli. „My” mamy prawo narzucić

„dobrą”, „właściwą” pamięć owym jakoś emocjonalnie niepełnosprawnym „innym”, tym ze wschodniej Europy.

Podczas spotkania *Polityka pamięci*⁷ w Fundacji im. Stefana Batorego rozmawialiśmy z ukraińskimi historykami i politologami o problemach z rozumieniem naszej wschodnioeuropejskiej wrażliwości historycznej i jej zderzeniu z *mainstreamem* pamięci europejskiej. W tej ostatniej brak miejsca na takie „szczegóły”, jak na przykład wrażliwość na zetknięcie z rosyjskim imperializmem. A to doświadczenie nie jest związane koniecznie ani z Holocaustem, ani nawet z GULągiem, choć może być także traumatyczne oraz niezmiernie ważne dla swoistej pamięci i łączącej się z nią tożsamości. Czy trzeba z takiego nieuznanego doświadczenia – leczyć?

Na tę kwestię zwracał uwagę właśnie Sznajder: podzielone pamięci wynikają nieuchronnie z różnych doświadczeń. Jak rozwiązać ten problem? Czy narzucić pamięć o doświadczeniu, które uznajemy za najważniejsze i niosące uniwersalistyczne przesłanie, jak twierdzą Assmann i tysiące innych osób z mocnymi argumentami na rzecz takiego myślenia? Czy też jesteśmy w stanie znaleźć miejsce dla pamięci podzielonych? Jak rozwiązać dylemat między uniwersalizmem, tak potrzebnym ludzkiej myśli, i pluralizmem ludzkich doświadczeń?

Natan Sznajder opowiada się jednoznacznie za obroną pluralizmu ludzkich doświadczeń i ludzkich pamięci. Warto bowiem przy okazji zauważyć, że nie ma czegoś takiego jak „polska pamięć narodowa”. Widzimy, jak w obrębie tego, co ktoś może nazwać pamięcią „PiS-owską” czy „prawicową”, spierają się różne pamięci: na przykład „pamięć Wołynia” (ludobójstwa ukraińskiego na Polakach tam mieszkających) i „pamięć Katynia” (ludobójstwa sowieckiego). To są bardzo ostre walki między jedną a drugą, i czy ktoś powie, że to jest jedna scentralizowana pamięć narodowa? A może ktoś chciałby zakazać jednej i drugiej? Nie, one wynikają z różnych realnych, przeraźliwie realnych doświadczeń (dla tych, którzy je noszą w sobie, nie

⁷ Materiały z tego spotkania zostały opublikowane w tomie *Pamięć i pytania o tożsamość. Polska. Ukraina*, red. Tomasz Horbowski, Piotr Kosiewski, Warszawa 2013.

mniej realnych i przeraźliwych od uniwersalnego doświadczenia Holocaustu) – i te doświadczenia zderzają się ze sobą.

Jak spotykać się z innymi ludźmi, żeby unikać kolizji, kiedy te różne doświadczenia szukają swego miejsca pod słońcem? Natan Sznajder proponuje formułę „aginstycznego pluralizmu”⁸. Aleksander Smolar, aktywny uczestnik polskich debat nad pamięcią historyczną, przedstawiając kilka lat temu próbę ich systematyki, wyróżnił w naszych politykach pamięci: 1. politykę „podboju”, kiedy jedna ze stron sporu o pamięć i tożsamość próbuje narzucić reszcie uczestników swoje praktyki pamięci, hierarchie i symbole; 2. politykę wewnętrzną „zimnej wojny”, kiedy każda ze stron sporu pozostaje w swoich „okopach”, wciąż z myślą o ostatecznym „podboju”; 3. politykę „pokojuwej koegzystencji” różnych pamięci; 4. politykę ograniczonego demokratycznego *consensusu* między różnymi pamięciami⁹. Sam opowiedział się zdecydowanie za tym czwartym wariantem. Droga do niego może jednak prowadzić przez „podbój” (zadawanie bólu innym w imię leczenia, przymusowa, wspierana instytucjonalnie zmiana pamięci w celu zbudowania nowej tożsamości) albo przez „pokojuwą koegzystencję”, w której może – z czasem – zacząć się rozmowa przygotowująca *consensus*. Ta druga ewentualność wydaje mi się lepsza. Czy jest realna? Proszę o dyskusję.

⁸ Teksty Natana Sznajdera oraz Aleidy Assmann zostały opublikowane w tomie materiałów ze wspomnianej tutaj konferencji w Cambridge: *Memory and Theory in Eastern Europe*, ed. by Uilleam Blacker, Alexander Etkind, and Julie Fedor, New York 2013.

⁹ Zob. Aleksander Smolar, *Władza i geografia pamięci*, w: *Pamięć jako przedmiot władzy*, red. Piotr Kosiewski, Warszawa 2008, s. 56–57.

Kinga Dunin

Dyskusja, której zabrakło

Rozważania o polskiej tożsamości niejednokrotnie prowadzą do wymieszania porządku empirycznego z porządkiem wartości. Jacy jesteśmy na co dzień, a kim chcielibyśmy być? Jacy jesteśmy „naprawdę”, choć może tego nie widać? Na pewno wcale nie jesteśmy jednomyślni w opisie zarówno realiów, jak i projektów czy „idealnych bytów”.

Zadałam sobie trud, aby pod tym kątem przeczytać program Prawa i Sprawiedliwości ogłoszony w 2014 roku¹ – zwracając uwagę przede wszystkim na kwestie związane z kulturą i tożsamością narodową. Nawet PiS dostrzegł, że dziś trudno odwoływać się do etnicznej wizji narodu polskiego. Inaczej mówiąc, nie będzie sprawdzania genów i poset John Godson pod warunkiem odpowiedniej akulturacji może zostać Polakiem. Naród według PiS-u jest grupą połączoną wspólną kulturą. Tym bardziej warto zatem przyjrzeć się, jak ma ona wyglądać, a właściwie jak „naprawdę” wygląda. Co nie jest zaskoczeniem, opiera się ona na narodowych tradycjach martyrologicznych oraz bliskim związku z polskim Kościołem katolickim, a nawet powiedziałabym, że została podporządkowana temu Kościołowi. Najgroźniejsze jednak w tym programie są proponowane środki niezbędne do umocnienia tak rozumianej narodowej tożsamości, poczynając

¹ *Program Prawa i Sprawiedliwości 2014*, Warszawa 2014. Dokument jest dostępny także w wersji elektronicznej na stronie: <http://www.pis.org.pl/dokumenty.php>.

od przedszkola: religia, wychowanie patriotyczne, szkolne wycieczki do Lwowa i Wilna, opieka nad miejscami martyrologii (każda szkoła będzie opiekować się wyznaczonym miejscem), budowa Muzeum Kresów (możemy sobie wyobrazić, jak takie muzeum by wyglądało)... Natomiast środki na finansowanie w kulturze tego, co nie pasuje do wizji promowanej przez PiS, zostaną zlikwidowane. Od dzieciństwa do śmierci zaprojektowano nie tylko kształt postulowanej kultury, ale także to, co zostanie zrobione dla osiągnięcia tego celu.

Oczywiście nie ma w tej wizji miejsca na *gender mainstreaming* czy inną „homopropagandę”. I jestem przekonana, że PiS w przypadku dojścia do władzy tę właśnie część programu, w odróżnieniu od innych, mógłby zrealizować. Chociażby dlatego, że jest to relatywnie najtańsze.

Nie o tym jednak chciałam mówić. Zainteresowała mnie reakcja *mainstreamu* na całość propozycji PiS: dominowały głosy tych, którzy liczyli pieniądze, opinie dotyczącego tego, na co nas nie stać, bo trzeba byłoby tyle a tyle miliardów. Podważano z tego powodu właściwie wszelkie konkretne propozycje. Nie podjęto natomiast dyskusji z przedstawioną w tym projekcie generalną wizją naszej tożsamości i naszej kultury. A jest to – w gruncie rzeczy – projekt narodowosocjalistyczny: wizja narodego państwa, które pilnuje prawomyślności swoich obywateli i kształtuje ich od najwcześniejszego dzieciństwa, a jednocześnie sporo miejsca poświęca kwestiom społecznym – równości i solidarności. Nie wiem, czy chcielibyśmy żyć w takim społeczeństwie. To skąd ten brak komentarzy do tej części PiS-owskiego programu? Czyżby powodem było to, iż wówczas należałoby się przyznać do dystansu wobec narodowych mitów? Nie jest wcale łatwo powiedzieć: nie chcemy budować Muzeum Kresów, a przynajmniej w kształcie przez was proponowanym. Oznajmić: nie uważamy, że dzieci powinny zajmować się miejscami martyrologii i rekonstrukcjami historycznymi, bo w ten sposób można zbudować świadomość bardziej nacjonalistyczną niż patriotyczną. Trudno jest też powiedzieć: żadnego podporządkowania się Kościołowi katolickiemu, który miałby wpływać na naszą tożsamość za pomocą środków mocnych, wychowawczych,

zapisanych w prawie, korzystając ze wsparcia finansowego obiecwanego temu Kościołowi przez Prawo i Sprawiedliwość. Czy też przyznać: nawet jeśli chciałabym, aby moje dziecko odwiedziło kiedyś Wilno, to nie z wycieczką szkolną prowadzoną przez wykształconych w PiS-owskim państwie wychowawców.

Nie chodzi mi o program PiS, tylko o pytanie: dlaczego tak słabo bronimy się przed tego rodzaju wizjami? Dlaczego nie mamy odwagi mieć własnej wizji i głośno o niej mówić? Czemu nie powiemy otwarcie, że nie zgadzamy się na ten projekt, mamy za to własny. Nie jest tak, że nigdy i nigdzie go nie prezentujemy, przeciwnie – wielu osobom dość łatwo przechodzą przez gardło gładkie zdania o otwartym, tolerancyjnym i pluralistycznym społeczeństwie. Jednak w polityce trzeba być pragmatycznym, to znaczy liczyć pieniądze. Tożsamość jest kwestią albo prywatną, albo – ta zbiorowa – odświętną. Wtedy łatwo zapomnieć o deklaracjach otwartości, a sięgnąć do wspólnych symboli narodowych, które z takim zapędem zagospodarowuje i zawłaszcza prawica. Cóż w tym złego? Przecież są to też nasze symbole. Owszem, ale jeśli chcemy nasycić je innymi znaczeniami, pokazać w innej konfiguracji, to powinniśmy o tym pamiętać na co dzień. Przykład komentarzy i reakcji liberalnych mediów na program PiS, w których pominięto kwestie kultury i tożsamości jako nieważne, nieistotne politycznie, to tylko jeden z licznych przykładów tego, jak łatwo o tym zapominamy.

Podobnie rzecz się ma z kwestią równości płci i kulturowego upodmiotowienia kobiet – może czasem pojawiać się w deklaracjach, ale ostatecznie będzie traktowana jako sprawa absolutnie drugorzędna. Dlatego też, tym bardziej, nie powiemy, że nie godzimy się na projekt narodu, w którym nie ma miejsca dla kobiet. Albo dla mniejszości seksualnych. Może Polska jest kobietą, ale Polak to mężczyzna, a w najlepszym razie człowiek. Problemy płci i narodu traktowane są jako całkowicie od siebie oderwane.

Również ludzie wywodzący się z opozycji demokratycznej miewają kłopoty z autentycznym zrozumieniem tych kwestii.

W tym miejscu pragnę więc przypomnieć ważną akcję środowisk kobiecych tuż przed wejściem Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku. Wtedy to

powstała tzw. „manifesta”, podpisana przez wiele kobiet oraz niektórych mężczyzn². Opublikowały „manifestę” „Wysokie Obcasy”, pismo dla kobiet; w poważnej, „ogólnoludzkiej” „Gazecie” nie było dla niej miejsca. Był to głos emocjonalny i liberalny (dziś już byśmy tak tego nie napisały), jasno jednak domagający się równych praw, prawa do legalnej aborcji oraz protestujący przeciwko kupczeniu tymi prawami, zapominaniu o nich w zamian za poparcie Kościoła.

Jacek Kuroń – jako jeden z nielicznych mężczyzn – podpisał się pod tym bez wahania.

² <http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,1354178.html>.

Dziedzictwo –

następne pokolenie wobec dylematów III RP

Stosunek pokolenia, które weszło w dorosłość po roku 1989, do III RP: ocena kształtu Rzeczypospolitej wznoszonej po 1989 roku i doświadczeń poprzedniego pokolenia. Ciągłość i nieciągłość przemian. Polskie wybory a doświadczenia innych.

Szymon Gutkowski

Kuroń i nowe pokolenia

Jacek Kuroń był jednym z twórców III RP. Jednak jego dziedzictwo jest znacznie bogatsze. Młode pokolenie, odkrywając myśli Jacka, znajdzie inspiracje, by mierzyć się z dylematami współczesności i swojego życia.

Mówiąc o potencjalnym stosunku młodych – z perspektywy Jacka Kurońa – do jego legendy i myśli, trzeba zacząć od próby definicji młodego – nowego pokolenia. Nie jest to oczywiście jedno pokolenie, mamy raczej do czynienia z pasmem pokoleń. Czy posiadają jakąś wspólną cechę? Czy jest nią wolność? Nawet jeśli tak, to dla każdego z nich wolność znaczy co innego. Dla najstarszych odzyskana wolność była wręcz fizycznym doświadczeniem i ogromną szansą, dla najmłodszych może być brzemieniem – skrzyżowaniem bez drogowskazów. Przyjrzyjmy się bliżej tym nowym pokoleniom.

Pierwsze to ludzie, którzy weszli w dorosłość wraz z powstaniem III RP i być może w największym stopniu skorzystali z przemian, zasilając polską przedsiębiorczość i tworząc wiele nowych lub na nowo zdefiniowanych zawodów: dziennikarzy, prawników, marketingowców. Dla nich Kuroń to jeden z Ojców Założycieli wolnej Polski, bohater podziemia, ktoś, kogo niestety coraz słabiej się pamięta, ale myśli się o nim z sentymentem.

Następne jest pokolenie dzieci w pewnym sensie osieroconych – przez dwie zupełnie różne grupy rodziców: tracących grunt pod nogami lub też bez reszty poświęcających się pracy. Reforma gospodarcza zostawiła wielu ludzi poza nawiasem, a innym stworzyła niepowtarzalne szanse. Frustracja

i poczucie wykluczenia w podobnym stopniu jak całkowite skupienie na odnajdywaniu się w nowych warunkach osłabiło tradycyjne role matki i ojca. Pokolenie to mogłoby dużo skorzystać z szansy na dialog z Jackiem Kuroń, który sam był przecież dzieckiem w momencie wielkiego przetomu (koniec wojny i powstanie PRL) i w jakimś sensie też wychowało go życie.

Trzecie pokolenie jako pierwsze skorzystało z wejścia do Unii Europejskiej, studiowało za granicą lub szukało pracy w Wielkiej Brytanii i Irlandii – to „pokolenie Erasmusa” lub, niestety, „pokolenie emigracji”.

Ostatnie to pokolenie urodzone już w wolnym, demokratycznym i rozwijającym się kraju, po roku 1989 – „pokolenie wolności” albo „pokolenie cyfrowe”. Cyfrowe dlatego, że od małego ma niemal powszechny dostęp do internetu. Młodzi z pozoru mający najwięcej szczęścia. Wychowani w przekonaniu, że świat stoi przed nimi otworem, masowo kończą studia i zderzają się z rzeczywistością braku pracy. Jednocześnie to pierwsze pokolenie, o którym się mówi, że może mieć gorzej niż ich rodzice. Teza, że Jacek Kuroń byłby ich wielkim rzecznikiem, pisałby o nich i dla nich, spotykałby się z nimi, namawiając do aktywności pomimo wszystko, do brania spraw we własne ręce, wydaje się słuszna. **Nie palcie korporacji, zakładajcie swoje** – czy Jacek Kuroń mógłby to powiedzieć? Tego nie wiemy, wiemy natomiast, że taki autorytet: człowiek z krwi i kości, który popełniał błędy, przeklinał, palił i pił, a jednocześnie człowiek o wielkim sercu, łączyący empatię wobec napotkanego człowieka z ciągle żywą i ewoluującą wizją lepszego świata, byłby dziś młodym bardzo potrzebnym. Mógłby stać się „ojcem chrzestnym” pokolenia wolności, jego ideologiem i mentorem. Jacek, który potrafił oprzeć się każdej modzie i stanąć pod prąd w obronie mniejszości, i Jacek, który nie starał się za wszelką cenę być inny, często miał odwagę mówić elitom, że większość ma rację. Rozumiał słabszych i o nich walczył, ale też, co czasem najtrudniejsze, rozumiał silniejszych. Umiał podać rękę „złym” i pokonanym, nie schlebując zwycięzcom. Zawsze konstruktywny, zawsze sięgający myślą lata w przód. Pomagał każdemu, kto tej pomocy potrzebował, i rozumiał, że nie jest w stanie pomóc wszystkim inaczej, niż tworząc nowy system oparty na demokracji i wolnym rynku. Człowiek, który poparł

reformę Balcerowicza i tłumaczył reguły w słynnych „dobranockach”, będąc jednocześnie sumieniem i krytykiem rynku. Prawdziwie bezinteresowny, co w dzisiejszym świecie wręcz niemożliwe.

Dzisiejsze problemy młodzieży byłyby mu na pewno bliskie, przy czym zdawałby sobie sprawę, że swoje dylematy młodzi Polacy dzielą z rówieśnikami z innych krajów. I nie wynikają one jedynie z warunków życia w III Rzeczypospolitej czy doświadczenia naszej transformacji. W Europie jest coraz mniej pracy, a systemy emerytalne prawdopodobnie zbankrutują albo zostaną zmarginalizowane, zanim młodzi będą mogli czerpać z nich korzyści. Współczesna Polska to wielki sukces, jednak żeby młodzi mogli z niego korzystać w przyszłości, sukces ten musi być trwały. Niestety, nikt miejsca po Jacku Kuroniu nie zappełnił, a jego życie i koncepcje są coraz słabiej znane. Domyślam się, że „pokolenie wolności” może w swojej większości w ogóle nie wiedzieć, kim był Jacek Kuroń.

Kolejna kwestia to stosunek tych wszystkich pokoleń do kształtu Rzeczypospolitej wznoszonej po 1989 roku, a szczególnie tych najmłodszych dorosłych. Jak można ten stosunek mierzyć? Zaangażowaniem? Niska frekwencja młodych w wyborach, mały udział w organizacjach społecznych, duża emigracja, brak aktywnej obrony swoich interesów choćby w przypadku OFE – to wszystko może świadczyć, że zaangażowanie młodych pokoleń w III RP jest niskie. Czy w związku z tym mówimy o pasywnej akceptacji, czy o odrzuceniu? Czy młodzi negują porządek, czy po prostu w nim nie uczestniczą? Zakładam, że to drugie.

Być może przyczyną braku zainteresowania jest przepaść między światem polityki i samym państwem a światem młodzieży. Inne tematy, inne media, inne narzędzia, inne słowa, a nawet inne ekosystemy – światy, które się mijają. Może dlatego należy zdefiniować i brać pod uwagę nowy, inny model zaangażowania? Odmienny od tego, w którym funkcjonował młody Jacek Kuroń – bo przecież zaangażowanie i odpowiedzialność za otoczenie były dla niego cechami konstytutywnymi i wartościami podstawowymi. Jestem ciekaw, co myślałby o świecie nowych technologii, Wikipedii, Facebooku i Google’u. Czy traktowałby je jako narzędzia mogące zmienić, poprawić demokrację,

dające większy wpływ zaangażowanym i kompetentnym, wzorem Wikipedii właśnie? Czy uważałby, że psują demokrację, bo psują społeczeństwo, zanurzając je w płytkich relacjach i pseudowiedzy? Czy widziałby w technologii olbrzymią szansę, czy poważne zagrożenie? Mam nadzieję, że to pierwsze. Czy mówiłby, że *eventy* na Facebooku mogą zastąpić komitety, czy – przeciwnie – że są wyłącznie namiastką i tak naprawdę oszukujemy sami siebie, udając, że to jest zaangażowanie? Myślę, że byłby wielkim orędownikiem zaangażowania cyfrowego, pod warunkiem, że nie zostanie ono w komputerze, że „kliknięcie” przerodzi się w działanie, a „chat” w spotkanie. Osobiście byłby pewnie zafascynowany Twitterem i Facebookiem. Kiedy szliśmy do samochodu oddalonego o 100 metrów, czasem trwało to pół godziny, bo Jacek Kuroń rozmawiał z każdym, kto tego potrzebował, a ludzie nie bali się do niego podejść i zagadnąć. Rozmawiał z każdym. Dzisiaj spałby po trzy godziny, bo każdemu odpisywałby na posty na Facebooku.

Myśli Jacka Kuronia – co dzisiaj jest coraz lepiej widoczne – łączą ludzi o różnych, często przeciwnych poglądach: zarówno konserwatyści, jak i liberałowie oraz ludzie lewicy odnajdują się w jego poglądach, choć czasami ich część mają mu za złe, a czasami starają się poszerzyć i zinterpretować jego poglądy wyłącznie ze swojej perspektywy.

Dlatego też ważna jest dla mnie pełna lekcja, jaką wyniosłem ze współpracy z Jackiem Kuroniem, a był on, jeśli chodzi o godność ludzką, konserwatystą. Wiedział, że nie wolno odmówić godności nikomu, nawet ubekowi, również temu, który go osobiście skrzywdził. Dziś zapewne walczyłby o godne traktowanie ks. Dariusza Oko, chociaż by się z nim fundamentalnie nie zgadzał. Nie było u Jacka Kuronia tolerancji dla nietolerancji w żadnej postaci. Był też liberałem, ponieważ uważał, że każdy człowiek wie, co jest dla niego najlepsze. Był przekonany, że ludzie obdarzeni wolnością zrozumieją, co dla nich dobre, i będą się w stanie dla tego dobrego porządku zorganizować (nawet jeśli zwycięstwo dobra nie będzie natychmiastowe). W związku z tym lepsze jest państwo, które nikomu niczego nie narzuca, w którym nie tylko obywatele są wolni, ale wolny jest też rynek, bo taki funkcjonuje efektywniej niż centralnie planowany. Rozumiał jasną i ciemną

stronę natury ludzkiej. Wiedział, że kolektywizm nie zastąpi poczucia własności, a ambicje i aspiracje jednostki mogą być wielką siłą rozwoju, jeśli mogą się ujawnić i rozwinąć. Rozumiał przecież, że mogą się przerodzić w ślepią chciwość. Moim zdaniem uważał jednak, że lepiej ujarzmić chciwość, odwołując się do poczucia przyzwoitości i solidarności, otwierając oczy na biedę i wykluczenie, a nie systemowo, na wszelki wypadek, podcinać rynkowi skrzydła. Bo najpierw trzeba tworzyć bogactwo, aby móc się nim dzielić. Wolność była dla Kuronia wartością nadrzędną, również wolność własności – był liberatem. Sam zgadzam się na metkę „liberata”, ponieważ uważam, paradoksalnie, że liberalizm w najbliższych latach może być najbardziej zagrożony. Nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie.

Wreszcie Jacek Kuroń był żarliwym socjalistą: mimo że świadomie ostołnit reformy Balcerowicza, zawsze uważał, że trzeba dbać o najstarszych i najbiedniejszych, a wszystkich, którzy zarobili trochę pieniędzy, moralnie zobowiązywał, by czuli się odpowiedzialni za tych, którzy nie mieli tych szans. Pod koniec życia miał wątpliwości, czy reformy po 1989 roku nie można było zrobić lepiej. Nie sądzę jednak, aby Jacek Kuroń wierzył w świat, w którym można odgórnie zadekretować równe szanse. Był apostołem przekonywania tych, którzy mają więcej, by dzielili się z tymi, którzy mają mniej – równe szanse rozumiał jako część normy i kultury społecznej, a nie państwową „urawniłowkę”.

Dziś odczuwam dojmujący brak kogoś takiego jak Jacek Kuroń. Byłby on pomostem między młodym pokoleniem, tym, które nie ma kontaktu z rzeczywistością polityczną, a światem polityki. Przez konsekwentne trzymanie się wyznawanych wartości, a jednocześnie pełną i bolesną świadomości niemożności uniknięcia błędów byłby bardzo atrakcyjnym bohaterem dla młodych ludzi. Ostatnim takim autorytetem był Tadeusz Mazowiecki, ale nie został niestety dobrze poznany przez młodych. Mazowiecki nie miał też takiej pasji jak Kuroń do dialogu z młodzieżą. Nie mając takiego Kuronia, nie mamy sprzęgła między teraźniejszością a przyszłością. Nieuchronne odziedziczenie Polski po pokoleniu „Solidarności” przez młodych dziś ludzi będzie za kilka lat trudniejsze.

Michał Sutowski

Kuroń: teoria i praktyka

Moja matura przypadła na kilka tygodni przed śmiercią Jacka Kuronia i nie miałem niestety okazji poznać go osobiście. W liceum jego autobiograficzna książka *Wiara i wina*¹ była dla mnie lekturą formacyjną, z pismami politycznymi zetknąłem się później. Chciałbym podjąć trzy wątki, jakie możemy odnaleźć na styku jego biografii i pisania, a które wydają mi się szczególnie istotne dla osób o lewicowych przekonaniach, do których sam się zaliczam. Postawa Jacka Kuronia, jego praktyka życiowa i teoretyzowanie mogą dać nam wiele odpowiedzi nie tylko na przypadłość III RP, ale także na istotne głębsze tendencje właściwe naszej epoce.

Pierwszy wątek to specyficzne i nieoczywiste napięcie między teorią, wizją polityczną a działaniem praktycznym. Odnoszę wrażenie, że wiele osób, także bardzo jemu życzliwych i go szanujących, lekko dezawuowało jego pisanie. Mówiło się, że Jacek Kuroń naprawdę żył i sprawdzał się w działaniu, zaś jego teoretyzowanie jest może i ciekawe, ale niezbyt spójne, eklektyczne, nieraz prowadzone pod wpływem chwili, nie należy go zatem, to znaczy Kuroniowego teoretyzowania, traktować zbyt poważnie. Moim zdaniem jednak warto, zamiast skupiać się na ewentualnych niespójnościach czy chaosie pojęciowym niektórych tekstów, na rzecz spojrzeć inaczej: Jacek Kuroń był człowiekiem, który teorii z zakresu nauk społecznych,

¹ Jacek Kuroń, *Wiara i wina. Do i od komunizmu*, Londyn 1989.

humanistycznych, psychologii, ekonomii politycznej czy filozofii używał jako poręcznych narzędzi do tego, aby oderwać się od *status quo*, od dominujących wyobrażeń o świecie, i spróbować zrozumieć rzeczywistość taką, jaka jawi się pod powierzchnią rzeczy. W moim przekonaniu stosował on podwójny manewr: z jednej strony, kolejne poznane w lekturze teorie przykładał do rzeczywistości po to, aby ją zrewidować czy skrytykować, po czym – z drugiej strony – wypróbował swoje teorie i wizje w działaniu praktycznym, a w efekcie rewidował samą teorię. Inaczej mówiąc: uprawiał to, co Leszek Kołakowski nazwałby „permanentnym rewizjonizmem”, a co autor *Sensu ideowego pojęcia lewicy* w ten właśnie sposób określił jako kryterium definicyjne lewicy. Z jednej strony, podważanie zastanej rzeczywistości, z drugiej – podważanie samych narzędzi, których się używa, i weryfikowanie ich w działalności praktycznej.

Taką postawę permanentnego krytycyzmu wobec świata jego przyjaciel Adam Michnik przedstawił w kategoriach **etycznych**: „nie ma takiego świata, z którego Jacek Kuroń mógłby być zadowolony”². To oczywiście prawda, ale ów krytycyzm Kuronia jest czymś więcej: to także postawa **poznawcza**. Stąd też właściwa jest jego myśleniu niemożność uznania świata za ostateczny, *ergo*: niemożność uznania historii za skończoną. Konsekwentnie Jacek Kuroń w żadnym momencie swego życia nie mógłby uznać na serio konceptu „końca historii”. Z tego też powodu – tak uważam – Kuroń nie uznał liberalnej demokracji w kształcie, jaki ona przybrała w wyniku transformacji ustrojowej po 1989 roku, za byt skończony i ostateczny. Traktował ją raczej jako pewien etap. Możemy się dziś spierać, czy miał rację, wchodząc do rządu Tadeusza Mazowieckiego i osłaniając swym autorytetem reformy Leszka Balcerowicza – on sam tej pewności nie miał. Natomiast możemy być pewni, że reformy te nie stanowiły dla niego horyzontu docelowego, o „wypełnieniu się Ducha Dziejów” nie wspominając.

Pod koniec życia niektórzy przyjaciele zarzucali Jackowi Kuroniowi „oderwanie od rzeczywistości”. W moim przekonaniu on się po prostu

² Adam Michnik, *Wierność. Uwagi*, w niniejszym tomie, s. 45–49.

odrywał od intelektualnego *status quo* przy użyciu rozmaitych instrumentów teoretycznych, które wtedy uznawano za radykalne, wręcz „księżycowe”. Tymczasem po kilku latach te same instrumenty teoretyczne, zwłaszcza po kryzysie ekonomicznym z 2008 roku, weszły do *mainstreamu*. Mówię przede wszystkim o diagnozie kapitalizmu jako systemu generującego nadmierne nierówności i pełnego wewnętrznych sprzeczności. Dzisiaj część tych diagnoz, w tym krytycznych wobec przebiegu transformacji, podzielają nawet dawni konserwatyści (mówił o tym Marcin Król w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”³); w latach 90. faktycznie uważano takie idee za przejaw nieomal wariactwa; mówiło się, że Jacek Kuroń za dużo czyta książek i rozmawia z szaloną młodzieżą alterglobalistyczną...

Drugi wątek dotyczy budowania środowiska i jednocześnie zdolności bycia wobec niego w kontrze – tego najtrudniejszego z nonkonformizmów. Jeśli prześledzimy biografię Jacka Kuronia od lat 60., to zauważymy, iż był człowiekiem, który z jednej strony budował środowisko, działał poprzez tworzenie go, poprzez zacieśnianie więzi, poprzez angażowanie **siebie i przyjaciół** we wspólną sprawę – a zarazem gotów był stanąć im na przekór w fundamentalnych sprawach światopoglądowych. Pozostawał marksistą jeszcze wtedy, kiedy jego przyjaciele marksizm już porzucili. Kiedy w roku 1967 Jacek Kuroń wyszedł z więzienia, to – jak wskazuje Andrzej Friszke w *Anatomii buntu*⁴ – „komandosi” już dawno rozstali się z tym myśleniem. Ten rozdźwięk, którego świadectwem jest ironiczne podejście „komandosów” do teorii marksistowskiej, ale i do rewolucyjnej tradycji, sprawiał mu wyraźny ból, o czym sam pisze w *Wierze i winie*.

Drugi moment rozdźwięku nastąpił kilka lat po transformacji i był trudniejszy, a z pewnością trwalszy. Jacek Kuroń stanął wówczas przed dylematem, z którym mierzyły się wcześniej całe pokolenia intelektualistów. W Polsce życie polityczne i publiczne uprawia się w dużej mierze na zasadach towarzyskich. Podziały mają charakter biograficzny i środowiskowy,

³ *Byliśmy głupi* [z Marcinem Królem rozmawia Grzegorz Sroczyński], „Gazeta Wyborcza”, 7 lutego 2014.

⁴ Andrzej Friszke, *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi*, Kraków 2010.

w mniejszym stopniu ideowy, co już ponad 100 lat temu do szewskiej pasji doprowadzało chociażby Stanisława Brzozowskiego. Kuroń swą charyzmą tworzył środowiska, ale starał się być również konsekwentnym intelektualistą, którego myśl nie poddaje się presji środowiska. Jeżeli uznał, że należy swój wcześniejszy wybór zakwestionować, przyznać się do błędu – czynił to bez względu na ewentualny rozdzwitek we własnym środowisku. Wymaga to zawsze ogromnej odwagi, tym większej, im ściślejsze są wykształcone przez lata więzi. Takiej postawy bardzo dziś brakuje: zdolności do buntu przeciwko środowisku, które się wychowało, stworzyło, ukształtowało. I buntu przeciwko samemu sobie. Wissarion Bieliński, wielki zaangażowany krytyk literacki dziewiętnastowiecznej Rosji, mawiał, że jeśli ktoś przez całe życie nie zmienia poglądów, to znaczy, że miłość własną stawia ponad prawdę. Tę błyskotliwą frazę trudno uczciwie zastosować w praktyce. Jacek Kuroń był jednym z nielicznych, którzy to potrafili.

Trzecia ważna kwestia, jaka wiąże się z życiem i pisaniem Jacka Kuronia, to otwartość i dialog, acz rozumiane nie tylko w sensie postawy otwarcia na inność czy zdolności rozmowy z inaczej myślącymi. Jacek Kuroń, niezależnie od swych zmiennych wyborów politycznych, miał głębokie – młodomarksowskie z ducha – przekonanie, że społeczeństwo jako pewna całość jest zorganizowane na sposób konfliktowy. Miało to dla niego rozmaite implikacje. Na wczesnym etapie swej działalności, kiedy był ortodoksyjnym i radykalnym marksistą, dążył do ostatecznego zniesienia tego konfliktu i dokonania przeskoku do królestwa wolności. Takie myślenie szybko zarzucił. I później już zaczął się zastanawiać, w jaki sposób i w jakich warunkach można ten immanentny społeczeństwu konflikt ucywilizować, zinstytucjonalizować. To znaczy: zorganizować go w sposób pozwalający różnym stronom konfliktu na realną artykulację ich wartości i interesów. Możliwe było to jedynie w stanie pewnej elementarnej równowagi, zakładającej sprawiedliwą reprezentację stron społecznych, które mogą mieć sprzeczne interesy.

Doskonale owe poszukiwania widać w jego myśleniu o partycypacji robotniczej w roku 1956, kiedy chodziło o prawdziwe upodmiotowienie

nominalnie „wiodącej”, a *de facto* niereprezentowanej klasy społecznej. Podobnie było w okresie KOR-u, a zwłaszcza w czasie karnawału „Solidarności”: chodziło wówczas o to, by ochronę praw pracowniczych zinstytucjonalizować – trzeba było zbudować struktury, by uczynić **stronę** społeczną zorganizowaną społeczną **siłą**. Zdaniem Kuronia tylko **organizowanie się** różnych sił społecznych pozwalało na to, by konflikt społeczny rozgrywał się w sposób cywilizowany – w duchu hasła, by zakładać komitety, zamiast je palić.

Podobnie rozumiem jego działania w okresie transformacji. Szukał sposobu ucywilizowania nieuniknionego konfliktu. Jego dążenie, które się zmaterializowało po części w pakcie o przedsiębiorstwie państwowym, temu właśnie miało służyć. Zmiana społeczna powinna zakładać podmiotowość wszystkich jej uczestników. Zarazem ta podmiotowość nie ma oznaczać, że jedni podporządkowują się jakiejś abstrakcyjnej wizji dobra ogólnego, którą najlepiej zdefiniuje za nich ktoś inny. W tym znaczeniu skłonność Jacka Kuronia do dialogu, jego wręcz entuzjazm dla idei dialogu, nie miały charakteru abstrakcyjnego: doskonale rozumiał on, że za różnymi społecznymi stronami dialogu muszą stać mniej więcej równa, zorganizowana siła i wspólne instytucje. Tylko wtedy ten dialog będzie realny, prawdziwy i będzie prowadził do rozwiązywania konfliktów, a może przede wszystkim będzie nadawał ludziom poczucie godności. Dzisiaj brakuje nam tej postawy w dyskusjach publicznych, ale też na przykład w relacjach świata pracy i pracodawców. To są rzeczy, wydawałoby się, przyziemne, ale one decydują o tym, czy znaczące warstwy społeczne mogą czuć się podmiotami we wspólnocie.

Piotr Laskowski

Wyparta myśl Jacka Kuronia

Myśl Jacka Kuronia zawsze poszukiwała form działania zarazem wspólnotowego i autonomicznego, form zapewniających wszystkim ludziom realne sprawstwo, moc kształtowania świata. Tak ujęty światopogląd Kuroniowski najsilniej przeciwstawia się dominującemu dziś modelowi indywidualizmu – rywalizacyjnemu, selekcyjnemu, opartemu na wizji konfliktu konkurujących ze sobą jednostkowych interesów.

Ten model stanowi ideologiczną podbudowę kapitalizmu, tworzy bowiem iluzję, wedle której wszelkie formy współpracy, czy szerzej: współistnienia, bycia razem, mogą zaistnieć tylko jako odgórnie ukształtowane przez kapitał i pracodawców lub zapośredniczone w politycznej reprezentacji oraz organizacjach tzw. trzeciego sektora. Dlatego Danuta Kuroń w tekście o nieobecności Jacka Kuronia w polskiej przestrzeni publicznej¹ słusznie postawiła mocną tezę: w dzisiejszej Polsce nie mówi się językiem Kuronia, ponieważ jest to język, którego nie sposób uzgodnić z porządkiem neoliberalnym – zarówno w planie społeczno-ekonomicznym (kapitalizmu, pracy najemnej), jak i w planie politycznym (demokracji ograniczonej do formuły parlamentarnej reprezentacji)...

¹ Danuta Kuroń, *Obecność i nieobecność Jacka Kuronia*, „Dziennik Opinii. Krytyka Polityczna”, 3 marca 2014, <http://www.krytykapolityczna.pl/artykuly/opinie/20140303/obecnosci-nieobecnosc-jacka-kuronia>.

Przyjaźń celem wspólnoty

W autobiograficznej książce *Wiara i wina*² znajduje się rozdział *Wielkie przewartościowanie – filozofia działania*, który po wielokroć powinni czytać zwłaszcza ci, którzy negują wagę myśli Kuroniowskiej, a w zamian chcieliby ucukrować obraz dobrego, poczciwego Jacka o złotym sercu, wielkiej energii i niepotrzebnych aspiracjach teoretycznych. Kuroń podejmuje tam analizę pracy, wychodząc od pism młodego Karola Marksa. Rozpoczyna od Marksowskiego pojęcia alienacji, wyobcowania pracy: „aktywność robotnika to praca najemna, a więc wyalienowana, to znaczy pod obcą komendą i dla obcego celu”. Pracownik występuje wobec pracodawcy wyłącznie jako jednostka, indywiduum, które sprzedaje swoją pracę. Organizacją pracy, określeniem jej celów, koordynacją współdziałania między pojedynczymi pracownikami zajmuje się pracodawca, a raczej kapitał – kapitał, który istnieć może tylko o tyle, o ile istnieje zysk, czyli – wedle Marksa – praca nieopłacona. W ten sposób pracownik czy pracownica są w samym procesie pracy nie u siebie, wyzyskiwani, pozbawieni wpływu i panowania nad jej warunkami. Tak oto dochodzi do oddzielenia pracy od myślenia, pracy od twórczości. Pracownik w pracy pozostaje samotny, choć musi współpracować z innymi: jego praca – i współpraca – przeciwstawiają mu się jako coś obcego, wrogiego. Mówiąc językiem Kuroniowskim – dokonuje się oddzielenie aktu tworzenia od przyjaźni, miłości. Skądinąd w PRL-u praca pozostawała podobnie wyalienowana – tam organizatorem, nadzorcą i właścicielem było państwo, dzisiaj jest nim prywatny pracodawca. Praca wyalienowana oznacza degradację pracownika, jeszcze bardziej degradujący jest brak pracy – wpisane w kapitalistyczny porządek pełne wyobcowanie, skazujące na samotność i zbędność.

Podobnie w planie politycznym – gdzie występujemy jako jednostki, odrębni wyborcy, powołujący w indywidualnie odbywanym akcie głosowania reprezentację – niemożliwe staje się zrealizowanie celu, który już

² Jacek Kuroń, *Wiara i wina. Do i od komunizmu*, Londyn 1989.

Arystoteles, a myśl Kuronia jest tu zadziwiająco zbieżna, ustanowił jako nadrzędny cel wszelkiej politycznej wspólnoty: przyjaźni.

Marksizm stanowi w myśli Kuronia punkt wyjścia i przedmiot zmagania: koncepcja pracy wyobcowanej, „ta niestychnie trafna diagnoza, odkrycie najważniejszego być może schorzenia naszej całej epoki, wpędziła jej autora w pułapkę”. Ową pułapką stał się dla marksizmu ekonomistyczny determinizm, prowadzący do przekonania, że „wyalienowana jest cała aktywność człowieka”. Celem Kuronia jest odkrycie, wydobywanie tej przestrzeni ludzkiej aktywności, która pozostaje autonomiczna, prawdziwie twórcza, niewyobcowana, a zarazem obronienie jej przed sprywatyzowaniem, zepchnięciem w indywidualizm. Kuroń, uważny czytelnik *O roli jednostki w historii* Georgija Plechanowa, nigdy nie ulegnie pokusie myślenia w kategoriach indywidualnego ludzkiego podmiotu, pozahistorycznej esencji człowieczeństwa, stanowiącej *residuum* wolności.

Przekuć myśli w pracę

Wszystkie praktyczne pomysły Jacka Kuronia – samorząd robotniczy, ruch społeczny – są próbą pomyślenia autonomii tego, co wspólne. Wyrastają z przekonania, że pojednanie myślenia i pracy, a zatem prawdziwa twórczość, możliwe jest tylko w tym, co międzyludzkie, to znaczy w miłości, w przyjaźni. Gdy praca jest ciężarem, gdy zamiast tworzeniem staje się niewolą, gdy pracodawca może nam ją odebrać, skazując na otchłań zбайдności – wówczas myślenie, całkowicie oderwane od warunków pracy, ulega prywatyzacji – możemy myśleć jedynie w czasie wolnym, o ile mamy na to jeszcze siłę. Taki stan rzeczy niszczy nas, zabija. Zmiana możliwa jest tylko poprzez ruch społeczny, którego „uczestnicy przewyciężają w swoim życiu w jakimś stopniu przeciwieństwa między społecznym a prywatnym i w związku z tym mogą przewyciężać, też oczywiście w pewnym stopniu, przeciwieństwo między tworzeniem i współpracą a miłością; między myśleniem a wykonawstwem; między myśleniem i pracą a decyzją itd. Każdy uczestnik ruchu może przewyciężyć te przeciwieństwa w sobie, a wraz z całym ruchem mogą przewyciężać je we współpracy społecznej”.

Od samorządów robotniczych po koncepcję ruchu społecznego stawką Kuronia jest uzyskanie przez ludzi kontroli nad warunkami własnej pracy, możliwość przekuwania myśli w pracę. III Rzeczpospolita nie tylko nie zrealizowała tego celu, lecz brutalnie uniemożliwiła nawet samo myślenie o nim. Wizja oporowego ruchu społecznego została przechwycona i zdeformowana przez koncepcję organizacji pozarządowych, w których granty, projekty i programy pozwalają być może przynieść ulgę osobom najbardziej pokrzywdzonym, ale całkowicie wpisują się w logikę kapitalizmu. Właśnie dlatego Kuroniowski język tak bardzo odstaje od dzisiejszej rzeczywistości – jest to bowiem, jak wyraźnie wskazuje Kuroń w pierwszych akapitach *Wiary i winy*, język buntu podejmowanego w imię całkowicie innego świata.

To nie koniec historii

We współczesnej Polsce myślenie – sprywatyzowane i oddzielone od pracy – zostało poddane bardzo silnej ideologicznej presji. Ideologia, jak wiemy, jest spójnym zespołem przekonań na temat świata, uniemożliwiającym rozpoznanie realnej kondycji i tym samym zapewniającym reprodukcję istniejących form życia społecznego, gospodarczego i politycznego. Dzisiaj panujący system gospodarczy i obowiązujące w nim stosunki pracy są jedynymi możliwymi do pomyślenia. Zabawne, że nasi obecni ideologowie, dumni uczniowie i czytelnicy Czesława Miłosza, którzy powtarzali jak mantrę jego frazę o ukąszeniu heglowskim, sami ostatecznie owego ukąszenia doznali. Wystarczy ich posłuchać, by dostrzec, że u podstaw ich myślenia leży przekonanie (któremu dał wyraz Francis Fukuyama, oni sami zaś nie w pełni są go świadomi), że w 1989 roku w wolnym już państwie polskim skończyła się historia. Demokracja liberalna oraz gospodarka wolnorynkowa mają stanowić zwieńczenie wielowiekowych dążeń narodu polskiego, cel i domknięcie jego dziejów. Odtąd możemy już tylko dokonywać drobnych korekt i opracowywać przypisy. Mamy do czynienia z językiem bezwzględnej afirmacji państwa w jego obecnym kształcie, państwa narodu polskiego – bo to naród walczył o wolność i naród tę wolność wywalczył.

Niedawno prowadziłem ze studentami zajęcia o Marksie. Usłyszałem od nich, że dotąd nazwisko Marks słyszeli jedynie w zbitce ze Stalinem. Nawet tego związku nikt im nie tłumaczył, nie mówiąc już o jakimkolwiek przedstawieniu propozycji Marksa. Dostawali tylko hasło, na które mieli reagować obrzydzeniem. Dopiero teraz dowiadawali się, jak pracuje myśl Marksa, jakie są jej rozpoznania i stawki. I ze zdziwieniem zauważyli, że oto po raz pierwszy dostali narzędzia pozwalające im opowiedzieć własne doświadczenia. Że dzięki tym narzędziom mogą zrozumieć swoje położenie, podczas gdy przez 12 lat edukacji szkolnej wpajano im język, który miał się nijak do warunków ich życia. Oficjalny język szkoły, mediów i polityki utrwala prywatyzację myślenia, a nawet więcej – myślenie uniemożliwia. Co ciekawe, mało kto go przyjmuje – nikt nie wierzy w to, co się mówi w szkole, bo pustka tego języka jest oczywista. Problem w tym, że nie ma dostępu do języka, którym ludzie mogliby wyrazić swoją kondycję.

W 1980 roku Marcel Łoziński nakręcił przejmujący film *Próba mikrofonu*. Bohater, prowadzący radiowęzeł w fabryce kosmetyków „Pollena”, pyta pracownice, czy czują się gospodyniami w swoim zakładzie pracy. Dzisiaj nie sposób postawić takiego pytania. Nikt, w żadnym miejscu pracy nie zapyta pracowników czy pracownic, czy czują się tam gospodarzami. Paradoksalnie takie pytanie można było zadać w PRL-u. Dzisiaj byłoby ono tylko śmieszne.

Michał Łuczewski

Dzieje duszy

Jacek Kuroń zostawił po sobie to, co polski inteligent ma do zaofiarowania najcenniejszego: próbę świadectwa¹. Nikt tak jak on nie potrafił opisać swoich zmagania duchowych z wiekiem XX i XXI. W szkicach autobiograficznych dał przykład niezwyklej szczerości, a nawet bezwzględności wobec samego siebie. Rzetelnie opisał przejście „do i od komunizmu”, a także „do i od kapitalizmu”. Jego historia należy do tych nielicznych małych historii, które kształtują historię wielką – naszą historię. Patrząc na dzieje jego duszy, widzimy dzieje naszych dusz.

Tylko taki Kuroń mnie interesuje.

Kuroń, który porzuca swoje maski – intelektualisty, wychowawcy, aktywisty, twórcy ruchu społecznego (lub jak wolał mówić: „społecznego ruchu”), polityka, króla życia, uwodziciela – i odkrywa (również przed samym sobą) twarz zatroskanego swym losem człowieka.

Taką twarz widział jego przyjaciel, ks. Józef Tischner, który równo 20 lat temu, na sześćdziesiątkę, ofiarował mu wyjątkowy tekst – erudycyjną analizę *Fausta* Goethego, okraszoną odwołaniami do Hegla, Nietzschego i Kierkegarda². Trudno jednak było interpretować ją inaczej niż jako frontalną

¹ Tekst został napisany w ramach programu „The Lost Treasure of Solidarity” realizowanego przez Fetzer Institute i Centrum Myśli Jana Pawła II.

² Józef Tischner, *Mefistofeles i Faust – sztuka pułapki*, w: *Książka dla Jacka*, Warszawa 1995, s. 200–209.

krytykę Jubilata. Tischner miał najwyraźniej skłonność do przeprowadzania ataków na swych przyjaciół w ofiarowywanych im *Festschriftach*. Podczas gdy inni wykorzystywali te uroczyste okazje do „podnoszenia zastróg”, Tischner wyzyskiwał je do obnażania słabości. Dlatego na sześćdziesięciolecie Leszka Kołakowskiego wykazywał nie tyle (jak by wypadało) głębię jego myśli religijnej, ile tkwiący u jej podstawy błąd³. Nie sposób było się jednak obrazić na „walecznego Józefa”⁴ za tego typu szarżę. Za każdym razem bowiem wszyscy rozumieli, że kierowała nim dobra wola. Było jasne, że w każdym z jego krytycznych esejów chodziło mu o to samo, co ujął krótko i zwięźle, odpowiadając na utyskiwania Jerzego Illga: „Ty się, kurwa, troszcz o zbawienie swojej duszy!”⁵.

Jeśli ks. Józef Tischner krytykował Kuronia, to nie aby go potępić, ale po to, żeby go ocalić. „Do człowieka słabego – pisał – zło przychodzi pod postacią straszdyła, do człowieka mocnego – pod postacią pokusy. Faust jest uosobieniem siły i choć jego rozum doznał porażki, to on sam nie czuje się przegrany. [...] Aby silny uległ pokusie, zło musi zastawić pułapkę. [...] Ludzie słabi budują sobie kryjówki, aby odgrodzić się od innych ludzi, którzy są ich zagrożeniem. Diabeł buduje pułapki, aby chwycić w nie zuchwalców, czyli tych, którzy są mocni i wierzą w swą moc”⁶.

Jacek Kuroń był zuchwalcem, wierzył w swoją moc i musiał odnaleźć się w obrazie człowieka mocnego. W każdym towarzystwie był na pierwszym miejscu, to on odbierał wszystkie telefony i wygrywał wszystkie zakłady, zawsze miał najwięcej do powiedzenia, najdalej widział i najbardziej ryzykował. Dostawał doktoraty *honoris causa*, szefowie największych światowych koncernów wspierali jego działania, a Miss Świata chciała wybudować dom

³ Józef Tischner, *Kołakowski i Kartezjusz*, w: *Obecność. Leszkowi Kołakowskiemu w 60. rocznicę urodzin*, Londyn 1987, s. 83–90. Zob. też Józef Tischner, *Polski kształt dialogu*, Kraków 2001, s. 212.

⁴ Leszek Kołakowski, *Oda do Józefa. Księdzu Józefowi Tischnerowi na sześćdziesiąte urodziny*, w: tegoż, *Wśród znajomych. O różnych ludziach – mądrych, zacnych, interesujących i o tym, jak czasy swoje urabiali*, Kraków 2004, s. 123.

⁵ Jerzy Illg, *Górska nawałnica. Wspomnienie o Józefie Tischnerze*, <http://tischner.pl/aktualnosc/47/1/gorska-nawalnica-wspomnienie-jerzego-illga#1>.

⁶ Józef Tischner, *Mefistofeles...*, s. 200.

pomocy społecznej jego imienia. Na starych zdjęciach wyglądał lepiej niż sam Che.

Czy Kuroń widział pułapki, jakie przed nim stały? Ludzi mocnych nie można zastraszyć, można ich tylko uwieść. Posyła się im piękne kobiety („Dla Fausta pułapką jest Małgorzata”), podsuwa alkohol („Odurzony trunkiem mężczyzna w każdej babie widzi Helenę”) i daje władzę („Polityka jest «ziemią pułapek»”). Człowiek mocny, który ulega pokusie, staje się aktywistą. Najważniejsze dla niego okazuje się działanie („Na początku jest Czyn”). Tischner odczytywał *Fausta* jako dramat polityczny o tym, jak „zdobyć władzę nad aktywistami”: „Jeśli pułapka będzie dobra, aktywista sam w nią wpadnie i jeszcze będzie wdzięczny. Co więcej, nie będzie miał wyjścia. Aby się wymknąć z pułapki, musiałby przestać być aktywistą. Musiałby się wyrzec siebie. Wtedy jednak inni aktywiści przypomną mu, że «jego Czyny idą za nim». I nie spoczną, dopóki nie zobaczą go w piekle. I o jeszcze jednym należy pamiętać: o całym rodowodzie aktywisty. Aktywista był kiedyś intelektualistą, ale mu się znudziło. Tak więc, w jego przypadku, «na początku była nuda». Powiedział Kierkegaard: «nuda jest początkiem wszelkiego zła»⁷.

Jak Kuroń zareagował na te słowa? Czy odnalazł się w obrazie aktywisty? Zakładnika własnego środowiska? Znudzonego intelektualisty? Mężczyzny na manowcach? Kuroń potrafił przyjąć prawdę o sobie, zwłaszcza gdy była bolesna. Gdy jeden z jego znajomych po wydarzeniach marcowych dostarczył Służbie Bezpieczeństwa opis środowiska „komandosów”, inni potępiali „donos”, ale on z właściwym sobie poczuciem humoru uznał go za „wielki esej”: „jest w nim wielkość, taka jak w *Biesach*”⁸. Jeśli Kuroń wykazał się wspaniałomyślnością w stosunku do „oświadczenia”, które mogło służyć do rozpracowania jego przyjaciół, to tym bardziej musiał wykazać się wspaniałomyślnością, gdy jeden z jego przyjaciół rozpracował jego.

⁷ Tamże, s. 209.

⁸ Jacek Kuroń, *Wiara i wino. Do i od komunizmu*, Warszawa 1990, s. 299.

Zresztą obraz mocnego człowieka rozpiętego między Bogiem a szatanem, między zbawieniem a potępieniem nie był wcale odległy od tego, co o sobie myślał Kuroń. W eseju *Sita bezsilnych* Václava Havla, który Kuroń przy wielu okazjach komentował, mógł odnaleźć wizję komunizmu jako pokojowej koegzystencji Fausta i Mefistofelesa. Gdy „gwiazdny czas” „Solidarności” powoli się kończył, sam zaczął nieświadomie odwoływać się do Fausta, mówiąc każdej chwili spędzonej z Gajką: „trwaj”⁹. Liczył wtedy, że Mefistofeles (choćby miejscowy, samogonny, w leninowskiej kurtce) zaraz odbierze od Boga swój zakład. Każda jego autobiograficzna książka była swoistym rachunkiem sumienia z pokusy władzy (jako wychowawcy, jako polityka), z własnego wstydu, z „zauroczeń, zbliżeń, fascynacji, miłości”¹⁰.

Największą siłą Kuronia było to, że dostrzegał własną słabość. To nadało jego życiu pęd. To sprawiało, że stawał się człowiekiem duchowym. Kim jest człowiek duchowy? To człowiek, który nieustannie „naraża się na to, co negatywne”. Widzi zło, które należy odkupić. Zło jest stałą naszego bytu, dlatego odkupienie nigdy się nie kończy. Oznacza to, że człowiek musi być zdolny do przemiany, *metanoi*, musi umieć się nieustannie ze zła podnosić. „On tylko jest w drodze. A to właśnie jest najważniejsze: człowiek duchowy to ten, który w taki właśnie sposób znajduje się w drodze”. W ostatecznym rachunku nawrócenie zakłada męczeństwo. Ten, kto jest „zdolny do ofiary, zdolny zobaczyć jej sens i znaczenie [...] nie może się bać”. Jego świadectwo jest tak silne, że ujawnia słabość i zmusza do przemiany innych. „Nigdzie nie spotyka on rzeczywiście takiej silnej osobowości, która potrafiłaby [przy nim] zachować tożsamość”¹¹. Ludzie w konfrontacji z nim muszą nabrać ducha.

Najpiękniejsza książka Jacka Kuronia, *Wiara i wina*, pokazuje, jak w śródku komunizmu powstawał człowiek duchowy. Książki pisane po roku 1989 przedstawiają, jak człowiek duchowy upadał i podnosił się.

⁹ Tamże, s. 234.

¹⁰ Jacek Kuroń, *Spoko! Czyli kwadratura koła*, Warszawa 1992, s. 229.

¹¹ Jan Patočka, *Człowiek duchowy a intelektualista*, przeł. Elżbieta Szczepeńska, w: tegoż, *Eseje heretyckie z filozofii dziejów*, Warszawa 1998, s. 216, 229.

W duchowej przemianie Kuronia najważniejszym doświadczeniem był pobyt we Wronkach. Jako inicjator protestów przeciw zdjęciu *Dziadów* Kazimierza Dejmka w 1968 roku trafił do więzienia, aby następnie przejść religijną drogę Konrada. Kiedy w pierwszej scenie *Dziadów* Jankowski bluźni („Póki Nowosilcow pija / Jezus Maryja / Nie uwierzę, że nam sprzyja / Jezus Maryja”), Konrad wybucha: „Słuchaj, ty! – tych mnie imion przy kielichach wara. / Dawno nie wiem, gdzie moja podziła się wiara, / Nie mieszam się do wszystkich świętych z litanji. / Lecz nie dozwolę bluźnić imienia Maryi”. Kuroń zachował się tak samo: „[T]e straszne bluźnierstwa, jakie wykrzykiwał Jaś Orzechowski, ranity moje serce. Skoczyłem na niego, powiedziałem, żeby zamilkł natychmiast. [...] Pytali mnie, czy jestem wierzący. Mówiłem, że nie. – No to czemu się oburzasz? Wtedy znalazłem taką formułę, w której oczywiście było coś, mianowicie tłumaczyłem, że zareagowałem jak na atak na *sacrum*, ponieważ jest to święte dla ludzi, których kocham, i on, atakując Boga, zaatakował ich”. Tego typu doświadczenie pozwoliło Kuroniowi zrozumieć, że „człowiek bez *sacrum*, bez czegoś, co przekracza jego życie i co jest najgłębiej zakorzenione w kulturze, co właśnie jest kulturą ludzką, staje się zwierzęciem. To był dla mnie wielki wstrząs”¹².

Dla Kuronia nawrócenie rozpoczęło się od tego, że cała jego dotychczasowa wiedza go zawiodła. Komunistyczna gnoza (w wydaniu partyjnym i rewizjonistycznym) przestała mu wystarczać. Zrozumiał, że skok w komunizm doprowadził go do zła, a nowa wiara – do winy¹³. Jego nawrócenie rozpoczęło się od **doświadczenia zła**. Zła, które nie jest czymś abstrakcyjnym, czymś, co czynią inni, ale „złem, które czynię”.

Krok drugi to zrozumienie, że zło może zostać przezwyciężone, że istnieje jakieś większe dobro, które daje nam nadzieję. Dla Kuronia były to ideały społeczeństwa zhumanizowanego, społeczeństwa, które jest prawdziwie ludzkie, gdzie panują miłość, prawda, twórczość, a ludzie są dla siebie prawdziwymi braćmi. Kiedy wizja rzeczywistego zła zostaje skonfrontowana

¹² Jacek Kuroń, *Wiara...*, s. 338–339.

¹³ Tamże, s. 371.

z wizją idealnego dobra, dzieje zaczynają się jawić jako **apokaliptyczne zmaganie**. Nie można pozostać obojętnym, każda nasza decyzja stawia nas w przestrzeni moralnej – po stronie społeczeństwa zdehumanizowanego albo po stronie społeczeństwa ludzkiego.

Taka wzniosła, utopijna wizja daje nam nadzieję. Kuroń odkrył jednak, że nadzieja może szybko zawieść, a utopia może ulec siłom zła, jeśli nie jest wsparta na czymś trwałym. Inaczej nie znajdziemy wyjścia z sytuacji bez wyjścia. W ten sposób – i to jest krok trzeci – dochodził do Boga. Spotkanie z Jego świadkami, takimi jak ks. Jan Zieja, kard. Karol Wojtyła czy kard. Stefan Wyszyński, wzbogaciło Kuronia o „transcendentne Prawo Moralne. Nadało to nowy głębszy sens naszej tradycyjnej lewicowej wierze w wolność człowieka w sprawiedliwym łańdże społecznym – jako wartości nadrzędnej”¹⁴. W ten sposób odnalazł on niewzruszoną legitymizację dla własnych działań: prawo, które nie jest z tego świata.

Kiedy nadzieja jest wsparta na tak silnych podstawach, można poświęcić jej życie. Kuroń nieustannie odwoływał się do „dawania świadectwa prawdzie”¹⁵. Zgodnie z przestaniem Ewangelii świadek to *martyr* – świadek krwi, **męczennik**. Kiedy Chrystus mówi, że „ja się na to narodziłem, na to przyszedłem na świat, żeby dać świadectwo prawdzie” (J 18, 37), ma na myśli to, że Królestwo Boże narodzi się z Jego ofiary. Kuroń doskonale rozumiał, jakie są konsekwencje drogi, którą wybrał. W swoich wyborach powoływał się na Eleazara, który wolał wybrać śmierć niż zgorszenie¹⁶. Ten sam motyw odnajdywał w znanym, „ciekawym, ale trudnym” eseju Havla o życiu w prawdzie¹⁷, a także w swym ulubionym wierszu, *Przestaniu Pana Cogito*: „ocalałeś nie po to aby żyć / masz mało czasu trzeba dać świadectwo”.

Dawanie świadectwa wprowadza prawdę do zniewolonego świata, do stosunków społecznych, ekonomicznych i politycznych. Dla ludzi, którzy

¹⁴ Tamże, s. 351–352.

¹⁵ Jacek Kuroń, *Żeby dać świadectwo prawdzie*, w: tegoż, *Polityka i odpowiedzialność*, s. 205–208.

¹⁶ Jacek Kuroń, *Wiara...*, s. 345.

¹⁷ Jacek Kuroń, *Gwiezdny czas*, Londyn 1991, s. 90.

tego doświadczają, oznacza to najgłębsze wyzwolenie, rozproszenie zła i ciemności. „Kiedy Kuroń mówił do mnie, wyjaśniał i opowiadał – wspominała Anka Kowalska – od czasu, gdy huczał mi nad uchem jak wielki trzmiel, rozluźniał się spinający mnie lęk, rzedyły nieczytelne ciemności, doświadczenia, jakie mogły mnie czekać, dawały się skonkretyzować, a nabierając określonych kształtów, traciły demoniczność”¹⁸. Człowiek duchowy dla swoich bliźnich zwycięża „moce” i „zwierzchności”.

Przemiana, jaką opisał Jacek Kuroń w *Wierze i winie*, jest przejściem od pewności gnozy, która wyrzuca zło poza nas, odrzuca historię i Boga, który jest z nami, do niepewności wiary, która przekonuje świat o naszych winach, tworzy historię i ofiarowuje nam Boga jako Ojca i Brata. To było przejście od pogaństwa do chrześcijaństwa. Dlatego Kuroń nazywał siebie chrześcijaninem. Kuroń był chrześcijaninem bez Boga, aby poszukiwać Go w wolności.

Rok 1989 stanowił dla Kuronia największą pokusę. Mimo że w latach 80. zapewniał, że władza i urzędy są mu „absolutnie obce z usposobienia”¹⁹, po upadku komunizmu objął najwyższe funkcje w państwie, marzył nawet o premierowaniu i prezydenturze. To w 1995 roku przeczytałem pierwszy dokument Kuronia (a może tylko kogoś z jego sztabowców): ulotkę wyborczą, która w lekarskiej poetyce na wszelkie choroby państwa proponowała „kurońpirynę”, znacznie bardziej skuteczną niż „gronkowiec waleczny” czy „kwas newski”.

W wirze politycznej walki Kuroń tracił ducha. Wszystko to, co odkrył w komunizmie – doświadczenie zła, apokaliptyczny horyzont, transcendentne Prawo Moralne – wydało mu się nie przystawać do nowych czasów. Po Okrągłym Stole, który zainaugurował polską nowoczesność, nastąpiło zatarcie granicy między dobrem a złem, między prześladowcami a ofiarami; wizja ostatecznego zmagania dobra i zła została zastąpiona przez wizję końca historii i tysiącletniej III RP, a Bóg i Jego Kościół mieli nie tyle prowadzić

¹⁸ Cyt. za: Adam Michnik, *Ojciec Rzeczypospolitej rogatych dusz*, „Gazeta Wyborcza”, 2 marca 2014

¹⁹ Jacek Kuroń, *Żeby dać świadectwo...*, s. 208.

do powszechnego zbawienia, ile służyć demokratycznemu, liberalnemu państwu. Tylko taka konstatacja może wytłumaczyć to, że wbrew swym dotychczasowym fundamentalnym przekonaniom Kuroń poczuł naraz „solidarność upokorzonych” z Wojciechem Jaruzelskim²⁰, że zaczął „żyrować” neoliberalne reformy Balcerowicza, a wreszcie uznał, że w demokratycznej rzeczywistości społecznej „z natury rzeczy wymiar transcendentny nie może być widoczny”²¹.

Tę radykalną przemianę bardzo dobrze widać w podejściu Kuronia do świadczenia prawdzie, to znaczy do męczeństwa. Naraz po 1989 roku stało się ono abstrakcyjną kategorią, czymś z zamierzchłej przeszłości. Ale wtedy nastąpiło najbardziej radykalne odejście od istoty chrześcijaństwa. „Zaprawdę istnieje coś – pisał Kierkegaard – co jest bardziej przeciwne chrześcijaństwu i istocie chrystianizmu niż wszelkie herezje, wszelki rozłam, bardziej przeciwne od wszelkich herezji i rozłamów razem wziętych, a tym czymś jest zabawa w chrześcijaństwo. Zabawa w chrześcijaństwo polega na tym – zupełnie, ale to zupełnie jak zabawa dzieci w żołnierzy – że usuwa niebezpieczeństwa (z chrześcijańskiego punktu widzenia «świadek» i «niebezpieczeństwo» odpowiadają sobie), a na ich miejsce ustanawia się władzę (po to mianowicie, by dla innych być niebezpiecznym)”²².

Kiedy bezsilni stają się silni, ich przeciwnicy muszą zacząć się bać. Władza sprawia, że nie chcemy być już dłużej męczennikami, ale za to pragniemy uczynić męczenników z naszych wrogów. Bardzo silnie doświadczył tego Kuroń podczas obalenia rządu Olszewskiego. Na ostatnich kartach *Spoko!* zderzył ze sobą dwa zdumiewające obrazy. W nocy 3 czerwca 1992 roku razem ze swoimi współpracownikami śpiewał harcercskie pieśni: „W tym momencie poczułem obecność transcendencji. Tak, Bóg naprawdę jest tuż, kiedy jesteście tak blisko, moi mądrzy, pracowici przyjaciele”²³. Następnej

²⁰ Jacek Kuroń, *Nadzieja i rozczarowanie. Pisma polityczne 1989–2004*, Warszawa 2010, s. 152.

²¹ Jacek Kuroń, Jacek Żakowski, *Siedmiolatka, czyli kto ukradł Polskę*, Wrocław 1997, s. 171.

²² Søren Kierkegaard, *Co to znaczy być świadkiem prawdy*, w: Karol Toeplitz, *Kierkegaard*, Warszawa 1980, s. 289–290.

²³ Jacek Kuroń, *Spoko!...*, s. 243.

nocy, już po dymisji Jana Olszewskiego, wciąż dyszał „**żądzą mordu**. Po raz pierwszy – pisał – **przegrywam ze swoją nienawiścią**. [...] My zwyczajni, pokorni, pracowici ludzie. Będziemy żyć w tym kraju, który jest nasz. Pracować, rodzić i wychowywać dzieci. **Tamci** zaś, jak **piana na wodzie, przeminą i ślad po nich nie zostanie**”²⁴. „Bóg mądrych przyjaciół” połączył się tutaj z nienawiścią i pragnieniem „zniknięcia” przeciwników politycznych. Kuroń, który nazwał zwolenników lustracji ludźmi „chorymi z nienawiści”, sam po raz pierwszy w życiu poczuł, że trawi go ta sama choroba, że „przegrał ze swoją nienawiścią”. W *Filozofii dramatu* ks. Józef Tischner pisał, że oprócz strachu i pokusy zło wnika w naszą duszę właśnie poprzez nienawiść. Ta ostatnia strategia jest znacznie bardziej niebezpieczna, bo nie pozwala nam się od zła zdystansować. Zło przestaje być bowiem poza nami (w straszyle albo w kusicielu), a staje się częścią nas. W takiej sytuacji przemiana o własnych siłach staje się niemożliwa.

Wielkość Jacka Kuronia polegała na tym, że nawet po końcu historii potrafił wrócić do swoich dawnych fundamentalnych intuicji. Choć wciąż był mocny, ponownie odkrył swoją słabość. Zobaczył „zło, które czynił”, zło rynku, który wcale nie miał ludzkiej twarzy, i zaczął myśleć o świecie w obliczu końca. W książce *Działanie*, nad którą pracował całe życie, bo jednak nie chciał być intelektualistą, któremu się znudziło, pojawia się bardzo silna świadomość apokaliptyczna: „Od tysięcy lat wielkie religie nakazują nam traktować bliźniego jako wartość samą w sobie. Skoro my, ludzie o największym dostępie do kultury, przestaniemy temu dramatycznie się przeciwstawiliśmy i przeciwstawiamy, to widocznie – tak chcemy. Mieliliśmy i mamy swoje mocne uzasadnienia, choć nie sposób nas usprawiedliwić. Doszliśmy jednak do kresu. Nie kresu historii. Ta, można powiedzieć, może się dopiero rozpocząć. Doszliśmy do momentu, w którym zaczynamy się staczać w dół”²⁵.

Wszyscy staczamy się w dół. Kuroń dzisiaj już wie na pewno, czy istnieje jakiś punkt oparcia.

²⁴ Tamże, s. 252 (podkr. Mł).

²⁵ Jacek Kuroń, *Działanie. Jeśli nie panujemy nad swoim życiem, ono panuje nad nami*, Wrocław 2002, s. 23.

Dominika Kozłowska

Między konserwatyzmem a rewolucją

Podczas dyskusji zatytułowanej *Ukraina. Rewolucja i co dalej?*, którą miesięcznik „Znak” zorganizował wiosną 2014 roku, Andrij Lubka, poeta ukraiński i aktywista z Majdanu, wspominał obalenie pomników Lenina, które miało miejsce na przełomie 2013 i 2014 roku. W wirze Euromajdanu, po pierwszych (i największych) marszach, kijowski Lenin został obalony 8 grudnia 2013 roku, a później, na początku nowego roku, przeszła fala w mniejszych miejscowościach: „Trzeba było to zrobić właśnie wtedy – mówił Lubka – bo jak opadną emocje i nastanie spokój, w takiej sytuacji nikt nie będzie miał odwagi wykonać takiego gestu”. To ciekawa uwaga, a jednocześnie pragmatyczna definicja rewolucji; choć, jak sądzę, sam Lubka nie miał ambicji, aby ją formułować. Sztuką jest umiejętność rozróżniania, kiedy pojawia się miejsce na postawę konserwatywną, kiedy zaś na rewolucyjną. „Rewolucja nie mieści się w racjonalnych formułkach politologów, gdyż jest zbiorowym stanem ducha wielkich mas ludzkich. Ten stan ducha nie bierze się znikąd” – pisał Karol Modzelewski w *Zajeżdźmy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca*¹.

„Pokojowa rewolucja”, „transformacja”, „reformy” – mimo iż związek między tymi pojęciami jest nieostry, opisane przy pomocy tych terminów

¹ Karol Modzelewski, *Zajeżdźmy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca*, Warszawa 2013.

przemiany polityczne, społeczne i gospodarcze, które dokonywały się w Polsce na przełomie lat 80. i 90., są dla mnie ogromnym i wciąż nie dość wykorzystanym kapitałem społecznym. Dobrze, że w ostatnich latach z inicjatywy prezydenta RP Bronisława Komorowskiego ten kapitał społecznego zaangażowania, którego kulminacją były wybory 4 czerwca 1989 roku, znów zyskuje moc pozytywnego mitu założycielskiego demokratycznej wspólnoty. Niezależnie od różnych postaw, jakie reprezentowali członkowie pierwszej i drugiej „Solidarności”, niezależnie od późniejszych podziałów w tym obozie, wybory 4 czerwca są świętem polskiej demokracji i obywatelskiej dojrzałości.

Postawiono dwa pytania: o stosunek pokolenia, które wchodziło w dorosłość po 1989 roku, do III RP i do doświadczeń poprzedniego pokolenia. Jeżeli dorosłość mierzyć czasem matury, to wchodziłam w nią w późnych latach 90. Ten punkt wyznacza dla mnie horyzont czasowy, z perspektywy którego oceniam to, co należy do przeszłości, i to, co tworzyło moją własną terażniejszość i przyszłość.

Jestem związana ze środowiskiem, które ma znacznie dłuższą historię aniżeli moja dorosłość. Studiowałam filozofię na uczelni, gdzie dziekanem był ks. prof. Józef Tischner. Od początku związałam się ze środowiskiem jego uczniów i przyjaciół oraz ze „Znakiem”, w którym obecnie pracuję. Z tej perspektywy – „Ruchu Znak” – uczyłam się patrzenia na przeszłość: dziedzictwo PRL-u, czas ustrojowego przełomu i wyznaczania przyszłych celów. Kiedy zdawałam maturę, podstawowe zręby prawne i instytucjonalne III RP były już określone. Najważniejsze decyzje strategiczne zapadły bowiem między rokiem 1989 a 1997. Mimo istniejących już wtedy społecznych podziałów, mimo iż w latach 1989–1997 mieliśmy rządy i postsolidarnościowe, i postkomunistyczne (używam tego określenia ze świadomością, że dziś ma ono znaczenie historyczne), to jednak udało się zbudować konieczny *consensus* dotyczący strategicznych dla przyszłości Polski decyzji: kierunku integracji politycznej i gospodarczej oraz ram ustrojowych. Wniosek o członkostwo w Unii Europejskiej Polska złożyła już w 1994 roku, wkrótce po przełomie ustrojowym przystąpiła do programu „Partnerstwo dla pokoju”, a w 1997

roku otrzymała zaproszenie do przystąpienia do NATO. Ten *consensus* stał się jednym z dwóch filarów pozwalających na stabilizację demokracji w Polsce. O jego wadze mogliśmy się przekonać, śledząc wydarzenia na Ukrainie, która w ostatnich dwóch dekadach przeszła zupełnie inną niż my drogę.

W rocznicowym 2014 roku z ust wielu ekspertów i polityków padało stwierdzenie, że spośród wszystkich dotychczasowych rządów najbardziej rewolucyjny był rząd Tadeusza Mazowieckiego, mimo iż sam Mazowiecki z pewnością nie uznawał się za rewolucjonistę. A jednak taki był wymóg czasu i Mazowiecki jako odpowiedzialny polityk oraz mąż stanu podjął się zadania przeprowadzenia Polski przez pierwszy etap transformacji. Mimo iż reformy podejmowane przez jego rząd, szczególnie „plan Balcerowicza”, były krytykowane i z prawa, i z lewa, kolejne ekipy, w tym nawet rząd SLD sprawujący władzę w latach 1993–1997, kontynuowały kurs wolnorynkowy. Założenia ekonomii społecznej leżące u podstaw planu naprawy finansów publicznych autorstwa Jerzego Hausnera przyjmowały podstawowe dogmaty gospodarki wolnorynkowej. Zresztą, co wielokrotnie podkreślał Tadeusz Mazowiecki, konstytucyjny zapis mówiący o społecznej gospodarce rynkowej nigdy nie był pustym hasłem. Cel polityk gospodarczej i społecznej stanowiło szukanie równowagi pomiędzy koniecznymi reformami wolnorynkowymi a tworzeniem warunków dla rozwoju przedsiębiorstw społecznych, które w swej działalności stawiają na łączenie celów społecznych i ekonomicznych. Dlatego ogromnie żałuję, że wciąż czekamy na dobrą ustawę o przedsiębiorczości społecznej, która stałaby się konkretnym wypełnieniem konstytucyjnego zapisu.

Niezależnie jednak od sukcesów, za które uważam wejście do strefy NATO oraz Unii Europejskiej i coraz lepszy rozwój społeczeństwa obywatelskiego, transformacja wciąż nie dość głęboko przeniknęła pewne pola. Wspomnę jedynie o dwóch ważnych dla mnie obszarach.

Kiedy mówimy o rewolucji „Solidarności”, mamy na myśli wymiary: polityczny – przejście od komunizmu do demokracji, i gospodarczy – przejście od socjalizmu do wolnego rynku. Jednak rewolucja polega także na widocznej zmianie społecznej. Zazwyczaj wyobrażamy sobie, że w wyniku

rewolucji dokonuje się zamiana miejsc w hierarchii społecznej: ci, którzy byli na dole, znajdują się na górze, ci, którzy byli na górze, lądują na dole. Pomijając już fakt, iż nic takiego w Polsce nie miało miejsca, sens pokojowej rewolucji leży, moim zdaniem, gdzie indziej. Była ona ruchem dążącym do upodmiotowienia, a zatem odzyskania poczucia godności i sprawstwa przez te warstwy społeczne, które komunistyczny reżim chciał pozbawić poczucia wpływu na rzeczywistość. Ruch „Solidarności” dość często opisywany jest przez pryzmat właśnie tego doświadczenia. Musimy jednak pamiętać, że te procesy nie objęły w równym stopniu wszystkich warstw i wymiarów życia społecznego. Solidarnościowa legenda głosi, że w czasie sierpniowych strajków na murze Stoczni Gdańskiej ktoś wymalował napis: „Kobiety, nie przeszkadzajcie nam, my walczymy o Polskę”. Anegdota ta utrwała męski i patriarchalny obraz naszego społeczeństwa, z którego – w mojej ocenie – pierwsza i druga „Solidarność” się wyłamywała. Mimo iż sama Stocznia była „męskim” zakładem pracy, kobiety odegrały ważną rolę w samym ruchu. Niedawno ukazało się nowe, poszerzone wydanie głośnej książki Shany Penn *Podziemie kobiet*², której autorka przeprowadziła wywiady z kobietami redagującymi podziemny „Tygodnik Mazowsze”. Ostatnia dekada obudziła zainteresowanie badaczek i badaczy historią kobiet „Solidarności”. Jak to możliwe, że wcześniej ich działalności poświęcono tak mało uwagi? Dlaczego kobiety, które w okresie pierwszej „Solidarności” stanowiły połowę z 10 mln członków, miały tak słaby udział we władzach związku? Dlaczego po 1989 roku ich rola została przemilczana? Dlaczego w pierwszych latach III RP miały tak słabą reprezentację polityczną?

Drugim, równie ważnym obszarem domagającym się upodmiotowienia jest społeczność osób wierzących. Kościół katolicki w Polsce wciąż zachował silną, hierarchiczną i męską strukturę. Aktywność laikatu, która pół wieku temu została rozpoznana i opisana przez soborowych reformatorów jako podstawowa forma społecznej działalności Kościoła, w Polsce wciąż bywa ograniczana do ruchu „kótek różańcowych” i prac usługowych na rzecz

² Shana Penn, *Podziemie kobiet*, przeł. Hanna Jankowska, Warszawa 2003.

parafii. Tymczasem to my wszyscy, ludzie wierzący, bez względu na pozycję zajmowaną w kościelnej hierarchii, musimy wziąć odpowiedzialność za kształt polskiego katolicyzmu.

Problem z upodmiotowieniem świeckich w Kościele jest w moim odczuciu znakiem szerszego problemu, związanego z nie dość dojrzałą tkanką społeczeństwa obywatelskiego. Barbara Skarga w ważnym eseju *O obywatelstwie*³ pisała: „W tej rzeczywistości [...] zapanował kryzys wyobraźni. Wszystkie ideologie dawno już przebrzmiały i dziś nowych na ogół się boimy, a gdy się pojawiają w jakiejś szczątkowej formie, odrzucamy je ze zrozumiałą nieufnością, doświadczenie nas bowiem nauczyło, że przynoszą tylko klęski. [...] Żyjemy zatem bez celu. Nie wiemy sami, czego chcemy, zamykamy się w kwestiach dotyczących najbliższego podwórka, bez szerszej perspektywy, w życiu powszednim, które, jak wyraził się Charles Taylor, detronizuje wyższe rodzaje aktywności, a przede wszystkim życie obywatelskie, przesuując «środek ciężkości dobra do sfery życia codziennego, produkcji dóbr i rodziny». [...] Istnieją jednak oznaki, że ten stan obojętności nie ma akceptacji, że gdzieś w głębi kietkuje zgoła inne myślenie”. To „inne myślenie” opiera się, z jednej strony, na świadomości swoich praw, ale też – z drugiej – na gotowości do podjęcia odpowiedzialności za innych i za kształt życia publicznego. To jednak wymaga przełamania poczucia bierności i braku sprawstwa. Bogdan de Barbaro, pytany o czynniki decydujące o stabilności jednostki, powiedział, że zalicza do nich poczucie sprawstwa i sieć relacji. Wierzę, że jako społeczeństwo stajemy się coraz bardziej głodni tych właśnie wartości.

Okres transformacji, podczas którego załamaniu uległ wcześniejszy porządek polityczny, prawny, ekonomiczny i społeczny, zrodził potrzebę „silnych” odpowiedzi na pytanie o polską tożsamość. Silna tożsamość jest, jak sądzę, potrzebą charakterystyczną dla młodości, niepewnej jeszcze swych podstaw. Polska demokracja i III RP kończą w 2014 roku 25 lat. Marek

³ Barbara Skarga, *O obywatelstwie*, „Gazeta Wyborcza”, 22 października 2005 [wykład wygłoszony z okazji inauguracji roku akademickiego 2005/2006 w Uniwersytecie Białostockim].

Beylin w ankiecie dotyczącej teraźniejszości i przyszłości demokracji w Polsce, rozpisanej przez „Znak” we wrześniu 2011 roku⁴, pisał, że Polska „jest dziś do demokracji przykuta łańcuchem”. Z mojej perspektywy, pokolenia obdarzonego łaską późnego urodzenia w schyłkowej fazie komunizmu i wchodzącego w dorosłość w chwili, gdy ramy ustrojowe III RP zostały już określone, stabilność państwa i jego struktur jest wielkim sukcesem dotychczasowej polityki. Ostatnie lata to okres wielkich wyzwań, najpierw związanych z katastrofą smoleńską, następnie z kryzysem gospodarczym. Żaden z tych kryzysów nie naruszył stabilności naszego państwa, co przyjmuję jako nową jakość w historii Polski ostatnich dekad i ogromny kapitał, pozwalający nam z optymizmem patrzeć w przyszłość.

⁴ Marek Beylin, wypowiedź w ankiecie *Koniec polskiej transformacji?*, „Znak” 2011, nr 9.

Karolina Wigura

Skradziona rzeczywistość?

Dwudziesta piąta rocznica wolnej Polski jest jednocześnie ćwierćwieczem świadomego funkcjonowania w niej pokolenia ludzi dziś trzydziestoletnich. Z całą świadomością piszę: świadomego, bowiem przełom lat 1989 i 1990, pierwsze częściowo wolne wybory do parlamentu, pierwszy wolny wybór prezydenta były wydarzeniami, które w sensie politycznym część z nas obudziły już jako małe dzieci. Rozmowy dziewczynek i chłopców z tornistrami na plecach o tym, czy rodzice głosowali na Mazowieckiego, Wałęsę czy Tymińskiego, zanurzyły nas w historii od samego początku.

Zacznijmy od truizmu: nie była to jednak nasza historia. Od początku budowało ją nie nasze pokolenie, ale wcześniejsze – pokolenie naszych rodziców. Od początku zatem uczestniczyliśmy w sporach prowadzonych nie przez nas, ale przez naszych rodziców. Długo na nie patrzyliśmy, zaczęliśmy w końcu uważać, że to nasze spory. Były to jednak spory odziedziczone.

Pierwszy z tych odziedziczonych sporów dotyczy komunistycznej przeszłości i sposobów jej rozliczenia. Drugi – metody przejścia od reżimu komunistycznego do demokratycznego i oceny kompromisu, który ukształtował to przejście, a także diagnozy rzeczywistości, jaka po nim nastąpiła. Trzeci – podjętych po 1989 roku reform gospodarczych i ich następstw, trafności wyboru systemu ekonomicznego, wrażliwości na ofiary transformacji.

„Ostatnie ćwierćwiecze to okres [...] najgorszy w całych naszych dziejach. Najgorszy nie dla wszystkich Polaków, ale właśnie dla Polski” – mówił

historyk Andrzej Nowak w wywiadzie dla jednego z prawicowych tygodników¹. Jednocześnie Bronisław Komorowski wzywał obywateli, by 25. rocznicę wyborów czerwcowych uczynili okazją do wspomnienia o „tryumfie solidarności i odwagi nad zwątpieniem i politycznym osamotnieniem”².

Jeśli czegoś w tych sporach głównego nurtu debaty brakuje, szczególnie w 25. rocznicę odzyskania wolności, to języka dojrzałego i nowoczesnego, pozwalającego opisać zmianę systemową z jej plusami i minusami, z refleksją nad przyszłością polskiej inteligencji. Kraj, który odziedziczyliśmy, cierpi przede wszystkim na brak rozsądnych diagnoz otaczającej nas rzeczywistości. Lewica i prawica być może nigdy jeszcze nie były tak blisko siebie jak w chwili, gdy dokonują podsumowań III RP. Słyszymy ciągle albo o „wykluczonych ze zgnitego kompromisu Okrągłego Stołu” (to na prawicy), albo o „ofiarach neoliberalnej transformacji ustrojowej” (to na lewicy). Po obu stronach politycznej barykady, o ironio, dominuje ciąg dalszy dawnej dyskusji „bić się czy nie bić” na temat przegranych powstań, osobliwa postinsurekcyjna retoryka „kolejnej przegranej walki”, która jest na tyle silnie zakorzeniona kulturowo, iż zwykle nie potrzebuje żadnych twardych danych – ani socjologicznych, ani ekonomicznych, ani w sumie żadnych innych, które psułyby przedustawną logikę wyводу. Snuciu opowieści towarzyszy pragnienie „potrząśnięcia rzeczywistością”, połączone zwykle z poszukiwaniem podmiotów moralnej winy, związanej z momentem założycielskim III RP, czyli przelotem lat 1989/1990.

Centrum sceny politycznej, na którym mogłaby oprzeć się młoda liberalna demokracja, wydaje się na tle tych gorących sporów wyjątkowo słabe. Doprawdy niewielu centrowych polityków i publicznych intelektualistów jest w stanie wyjść poza okolicznościowe laurki i naiwną idealizację przeszłości – stąd polskie centrum jest amorficzne, właściwie nie buduje swojego języka, który nawiązywałby dialog między pokoleniami. Oczywiście są osoby, które się na tym tle wyróżniają, należą one jednak do absolutnej rzadkości.

¹ *Słabe ćwierćwiecze III RP* [Andrzej Nowak w rozmowie z Jackiem i Michałem Karnowskimi], „W Sieci”, 26 maja 2014.

² *Apel Prezydenta RP*, <http://www.prezydent.pl/swieto-wolnosci/apel-prezydenta-rp/>.

Trzy kroki do tyłu od tej *Polenstreit* i zaczyna być widoczne, że doprawdy ci, którzy twierdzili kiedyś, że istnieją dwie Polski, mieli wiele racji. Tylko że te dwie Polski nie obejmują, jak chętnie wskazywali znawcy sondaży, wielkich grup społecznych w całych regionach. To nie „Polska wschodnia” kontra „Polska zachodnia”. Ani nawet „zabór pruski” *versus* „zabór rosyjski” (gdzie się podziewa trzeci zabór?). Sama dyskutująca elita jest głęboko podzielona na tych ortodoksyjnie „konserwatywnych” i tych ortodoksyjnie „postępowych” – a każda z grup zazdrośnie broni swojej tożsamości, opartej na głębokiej niechęci do tych drugich. Jedni nie są ciekawi drugich. Po obu stronach w pewnym sensie dominuje postawa niechętna jakimkolwiek zmianom. Niuanse w analizie wydają się zbędne. Wszelkie wątpliwości rozstrzygane są na rzecz podtrzymania czarno-białego schematu.

Po jednej stronie zatem mamy „tolerancjonistów” i „pożeraczy Kościoła”, po drugiej – „ciemnogród”, „katolickich talibów” i „nowych faszystów”. Dyskusje znakomicie im się udają, ponieważ debatuje wyłącznie we własnych gronach, a zatem zajmują się głównie przekonywaniem siebie nawzajem, że mają rację. I im radykalniej określimy drugą stronę, tym lepiej.

A o czym prowadzi się dyskusje? O tym, co pozostało jeszcze w sferze publicznej po usunięciu z niej całej polityki dotyczącej zwykłej trzydziestoletniej Kowalskiej i zwykłego trzydziestoletniego Kowalskiego. O (zgubnym) wpływie Kościoła katolickiego na rzeczywistość społeczno-polityczną, o (cynicznej) działalności dżenderystów, o (nieulegających wątpliwości) zamachu w Smoleńsku i faszowanych wyborach, o (niechybnie podnoszącej głowę) nacjonalistycznej hydrze, o (bliżej nieokreślonym) prekariacie i (koniecznym) zatrudnieniu wszystkich młodych na etatach przez państwo.

W tym wszystkim pomija się realne i palące problemy, jakie interesują trzydziestoletnią Kowalską i trzydziestoletniego Kowalskiego. A jest ich przecież wiele: do jakiej szkoły będzie chodziło moje dziecko? Co zrobić, by publiczna edukacja nie była – jak za naszych czasów – szkółką potulnego siedzenia w ławkach, rodem z XIX stulecia? Jak dać młodym poczucie sprawczości, aby nie przyjmowali jako prawdziwy tego absurdalnego powyższego podziatu, nie zgadzali się na potulność, ale bili się z rzeczywistością,

zmieniali ją, nie przystawali na brak perspektyw, zmuszali siebie nawzajem i starszych od siebie do wzięcia odpowiedzialności za wspólną rzeczywistość? Jak sprawić, aby nauczyciele nie czuli się poniżeni wysokością swoich pensji? Jak zmienić polski uniwersytet, aby nie był marną kopią systemu bolońskiego, tylko pełnokrwistą, środkowowschodnią szkołą myślenia? Jak przekształcić służbę zdrowia, by wyprawa do niej nie była poniżeniem i frustracją dla pacjentów, a udręką złych warunków pracy dla lekarzy, pielęgniarek, położnych?

Wymienione i inne problemy to są te, o których rozwiązaniu w gruncie rzeczy nie rozmawiamy, ponieważ pozwoliliśmy sobie narzucić zupełnie inną rozmowę. Tę wymianę zdań jednak odziedziczyliśmy – i ona nie musi pozostawać nasza. Im prędzej wyleczymy się z debaty o abstrakcjach, a zaczniemy swoją o konkretnych zmartwieniach Polaków z krwi i kości, im szybciej zaczniemy rozmawiać i skłonimy naszych polemistów, by dyskutowali o tym, co nas wspólnie martwi czy boli, tym większe szanse, że nie zmarnujemy dorobku ostatnich 25 lat.

Geopolityczna koniunktura nie jest dana raz na zawsze – zdumiewa, iż w ogóle trzeba o tym przypominać. Polska potrzebuje realistycznej wizji rozwoju w zglobalizowanym świecie na najbliższe dekady. Przecież nawet szmer usypiająco wartkiego strumienia unijnych pieniędzy ucichnie już niebawem. W 2020 roku.

To tylko sześć lat.

Komentarze

Andrzej Wielowieyski

Zdrada?

Bez Jacka Kuronia nie byłoby „Solidarności”, jaką znamy. Jego wizja, strategia i taktyka sprawiły, że wąziutką i niebezpieczną ścieżką niezależnych działań udało się dotrzeć do celu.

Oczywiście dziś, po latach, różnie można oceniać przemiany po 1989 roku. Pada nawet słowo „zdrada”. Pamiętam, jak podczas Okrągłego Stołu negocjowałem indeksację, która miała zabezpieczyć sytuację ludzi pracy podczas bolesnych transformacji. Kilka miesięcy potem musieliśmy od tego mechanizmu odstąpić z uwagi na galopującą inflację.

I krótki komentarz do powstania ustawy o samorządzie pracowniczym w Sejmie w 1981 roku. Nie będę wchodził w to, co się wtedy działo w partii, jednak prace nad tą ustawą w Sejmie to był wielki wyjątek od ówczesnych reguł. Uczestniczyli w nich także nasi przedstawiciele: Jacek Kłysz i Mieczysław Gil. Pamiętam też spotkanie prezydium KKP NSZZ „Solidarność”. Lech Wałęsa wahał się, a wniosek został przegłosowany trzema głosami do dwóch, przy naszym, Jacka Kuronia i moim, dużym wysiłku przekonywania. Nie wierzyliśmy w dobre intencje rządu i możliwości zabezpieczenia przedsiębiorstw przed władzą centralną, ale uważaliśmy, że warto zaryzykować. Uważam zresztą, że ustawa samorządowa, oddająca powoływanie dyrektorów radom pracowniczym (z wyjątkiem największych zakładów), była dla decydentów kremlofskich dużo groźniejszym wyzwaniem niż postanie do ludzi pracy Europy Wschodniej uchwalone przez pierwszy Zjazd „Solidarności”.

W 1989 roku uważaliśmy, zarówno my, ekonomiści, jak i Jacek Kuroń, że przemiany muszą być wprowadzane konsekwentnie, ale jednak ostrożnie. Nie zakładaliśmy żadnego gwałtu i pośpiechu. Tymczasem 1 sierpnia tego roku Mieczysław Rakowski z Kazimierzem Olesiakiem uwolnili ceny żywności. Inflacja poszybowała w górę – ponad 400% rocznie. Znaleźliśmy się w zupełnie innej sytuacji. Powstał kolosalny deficyt budżetowy. W tej sytuacji trzeba było likwidować przedsiębiorstwa – kilkaset deficytowych przedsiębiorstw kosztowało budżet masę pieniędzy, których po prostu nie było. W naszych zespołach solidarnościowych wyliczyliśmy, że ukryte bezrobocie w Polsce wynosi od półtora do dwóch milionów ludzi. To musiało się ujawnić. To nie były stracone miejsca pracy, ale nieistniejące albo fikcyjne.

A co udało się zrobić dzięki Jackowi Kuroniowi jako ministrowi? Wysiętek ministerstwa i cała postawa tego rządu, w którym odgrywał tak istotną rolę, polegały na zmniejszaniu kosztów społecznych reform. Przypominam, że walka z inflacją trwała osiem lat. Nie dokonaliśmy cięcia, które by od razu zdusiło inflację, czego być może oczekiwał od nas Jeffrey Sachs. Przez trzy, cztery lata transformacji nie rosło też bezrobocie albo rosło w niewielkim stopniu – w wyniku likwidowania beznadziejnych przedsiębiorstw, których już nie można było zreformować. One musiały paść, ale przeciętne zatrudnienie w przedsiębiorstwach na ogół utrzymywało się na dotychczasowym poziomie, ponieważ załogi skutecznie, i co najmniej ze wsparciem czy zrozumieniem rządu, broniły pracowników. Tak było do 1993–1994 roku. Potem zatrudnienie zaczęło wyraźnie spadać, zaś wskaźnik bezrobocia ostro rosnąć. Działo się tak, ponieważ rosła wydajność w samych przedsiębiorstwach. Dlatego uważam, że trzeba bronić pamięci Jacka Kuronia przez zarzutem zdrady czy odejścia przez niego od podstawowych założeń i ideałów obrony ludzi, zwłaszcza tych słabszych, biedniejszych. W pierwszych latach III RP udawało się dość skutecznie tych ludzi bronić.

Henryk Wujec

Rzeczpospolita samorządna

Samorząd pracowniczy to jedna z najciekawszych kwestii w dziejach „Solidarności”, począwszy od 1981 roku, po czas przemian po 4 czerwca 1989 roku. Jednak wcześniej chciałbym nawiązać do słów Karola Modzelewskiego o skutkach stanu wojennego. Także uważam, że „Solidarność” lat 1980–1981 była czymś innym niż „Solidarność” czasów stanu wojennego i później.

Przyjęty na zjeździe program „Rzeczpospolita samorządna” był sumą tego, co chciała zrobić „Solidarność”. Był to program utopijny, ale nie do końca. To w nim zapisano powstawanie rad pracowniczych, co udało się wprowadzić w życie już w 1981 roku, wbrew oficjalnej ideologii partii, ale za zgodą partyjnych postów w Sejmie. Przyjęcie obu ustaw: o przedsiębiorstwie państwowym i o samorządzie pracowniczym było prawdziwym cudem i zapewne gdyby nie doszło do wprowadzenia stanu wojennego, postępowałby proces uspołeczniania Polski. Kolejnym postulatem „Solidarności” były planowane wybory do samorządu terytorialnego. Miały się odbyć wiosną 1982 roku. Być może był to jeden z powodów „13 grudnia”: partia była „wyprowadzana” z zakładów przez samorządy pracownicze, a wraz z wyborami do samorządów terytorialnych straciłaby także władzę w terenie.

Nie można mówić, że gen. Wojciech Jaruzelski po wprowadzeniu stanu wojennego zachował rady pracownicze. One zostały na początku zlikwidowane, a dopiero z czasem pozwolono działać tym z rad, które podporządkowały się władzy. Oczywiście mimo to samorządy pracownicze były jednym

ze sposobów życia „Solidarności” w stanie wojennym, często odgrywały rolę kryptokomisji zakładowych. Na ogół też byli w nich świetni ludzie, którzy potrafili zorganizować zarówno zakład pracy, jak i „Solidarność”. Jeśli można żałować czegoś po likwidacji tych rad, to ludzi. W wyniku procesu solidarnościowego została wykształcona wspaniała kadra, elita pracowników zakładów pracy: robotników, inżynierów, pracowników administracji zarówno w komisjach zakładowych, jak i w samorządach pracowniczych. Ta grupa mogła być podstawą reform po roku 1989, ale w procesie reform w dużym stopniu z tych ludzi zrezygnowano. Tym odrzuceniem należy tłumaczyć frustrację wielu działaczy i ich wsparcie dla tworzącej się prawicy. Oni nie znaleźli sposobu realizacji swego zaangażowania w ramach, które wykreślał model przemian przyjęty po 1989 roku.

Leszek Balcerowicz był w „Solidarności” jednym z ekspertów „sieci zakładów pracy”, która w latach 1980–1981 realizowała projekt rad pracowniczych. Leszek miał wówczas inny „plan Balcerowicza”, oparty na samorządach pracowniczych w zakładach pracy, które były w tym czasie wprowadzane przez „Solidarność”. Po 1989 roku ludzie z samorządów organizowali się i chcieli, by ich rola została w reformach uwzględniona. Trochę im pomagałem w stanie wojennym i po 1989 roku. Pamiętam spotkania z udziałem pracowników, Balcerowicza i Stefana Kawalca. Kawalec wskazywał na poważny problem – widać to było dobrze na wykresach – efektywność zakładu pracy rośnie po wprowadzeniu samorządu (odróżniają się od zakładów, gdzie ich brak). Efektywność rośnie, ale potem – jak się okazuje – opada, bo więcej pieniędzy idzie na płace niż na inwestycje. W tej sytuacji zakład pracy się nie rozwija i przestaje być konkurencyjny. Dlatego wybrano inną opcję, bez samorządu pracowniczego.

W istocie samorzady pracownicze nie zaistniały w przemianach po 1989 roku. Moim zdaniem to wielka strata. Już nie ma do nich powrotu. Natomiast sam pomysł włączania pracowników do decydowania o miejscu pracy wraca wraz z ekonomią społeczną (zajmuje się tym Jerzy Hausner). Dzisiaj, w czasach globalnego kryzysu, jest to szczególnie ważne, bo potrzebujemy współuczestniczenia ludzi w zmianach. Zatem nie wszystko z idei Jacka Kuronia zostało stracone.

Piotr Kosiewski

Przetrwanie/przerwanie

1.

Zbliżenie na twarz Jacka Kuronia. Dłoń unosi papierosa do ust. W tle znane hasło: „Nie palcie komitetów, zakładajcie własne”.

Rysy Kuronia zostały sumarycznie nakreślone. Wystarczyło kilka kresek i trzy kolory: biel, czerń i czerwień. Powstał obraz-znak. Portret, który wygląda niczym szablon namalowany na murze czy vlepka nielegalnie umieszczona w autobusie lub tramwaju. Jego autorem jest Twożywo.

2.

W 1995 roku Robert Czajka, Mariusz Libel i Krzysztof Sidorek zakładają grupę Pinokio. Umieszczają vlepki w komunikacji miejskiej, tworzą szablony i plakaty. Trzy lata później Libel i Sidorek powołują Twożywo. Ich prace pojawiają się na murach kamienic i w Internecie. Powstają billboardy, plakaty, animacje (m.in. w latach 2003–2004 realizują cykl filmów *Kapitan Europa*, którego superbohater – gwiazdka z flagi Unii Europejskiej – ironicznie komentuje aktualną rzeczywistość). Przygotowują Radio Twożywo, czyli cykl słuchowisk wyprodukowanych dla radia Copernicus. Są obecni w przestrzeni publicznej, w mediach (stały felieton graficzny w „Przekroju”, później w „Wysokich Obcasach”, dodatku do „Gazety Wyborczej”, wreszcie w jej weekendowym wydaniu). Projektują nadruki na koszulki. Tworzą projekty okładek książek dla „Krytyki Politycznej”. Mimo podkreślanej nieufności do instytucji sztuki, ich prace pojawiają się w galeriach i muzeach.

W 2006 roku wydają *Telementarz typograficzny*, „tekst traktujący o totalnościach trwania i trwodze tszłowieka”, w którym główną rolę odgrywa litera „T”. Kolejne plansze są wizualnymi definicjami pojęć: tradycja, trzepak, tumult, tundra... W tym samym roku na ulicach polskich miast pojawia się cykl 26 plakatów będących typograficznym dialogiem z opowiadaniem Jean-Paul Sartre’a *Herostrates*. Wielka czerwona litera „Z” uderza w figurę człowieka (*Zlinczowany*). Słowa „już nie uciekniesz” zostają wpisane w okrąg utworzony z drutu kolczastego. Ręka przesuwając firankę, odsłaniając tekst: „czułem się nieustraszony”. W 2011 roku ukazuje się *Wybór obraz* – „ilustrowany wybór cytatów Emila Ciorana”. Twożywo wybiera fragmenty jego tekstów, gwałtowne, buntownicze, emocjonalne, drażniące: „dzięki niektórym przebudzeniom dostrzega się, że fundamenty istnienia są równie kruche, jak pozory, które je okrywają”, „na cmentarzu definicji” czy „teraźniejszość oddzieliła się od czasu, a czas wymiotuje chwilami, jak chory wymiotuje flaki i trzewia”. Następnie przekładają słowa na obrazy.

3.

Zajmują się nieustannym przekładem słowa na obraz. Niekontrolowaną analizą języka. Próbują odkrywać wpisane weń znaczenia, jawne i ukryte perswazje. Jak podkreślają: język nie jest neutralny, lecz zawsze „obarczony bagażem”. „Nie zajmujemy się sztuką, lecz komunikacją. Sztuka jest tylko elementem, składową naszych działań, i to wcale nie najważniejszą”¹ – zaznacza Mariusz Libel.

Można nawet odnieść wrażenie, że to właśnie słowo jest w ich pracach uprzywilejowane. Zaburzają automatyzm skojarzeń. Przetamują oczywistość znaczeń. Grają kliszami, banałami, nie boją się komunałów. Bywa, że prowokują: *Emanacje słabości* (1999), *IHS – tworzenie jest miłością* (2003), *Wyrwać się z okowów przypadku* (2010) – to tylko kilka ich prac.

¹ *Dawać małutkie narzędzia percepcyjne. Z Mariuszem Libelem rozmawia Piotr Kosiewski, w: Atlas Sztuki 49. Twożywo. Wybór obraz [dodatek do „Art & Business” 2011, nr 1].*

W muralu *Przetrwanie kultury* (2005) słowo „przetrwanie” zostaje niczym klinem przebite wielką literą „T” (skojarzenie ze słynnym plakatem El Lissitzky’ego nasuwa się niemalże automatycznie). Jeżeli ją pominiemy, otrzymujemy inne słowo: przerwanie. W jednej z cioranowskich plasz – *onK/Tologia* – słowa „onkologia” i „teologia” zostały niepokojąco ze sobą połączone. W 2009 roku na ścianie domu w Krakowie, przy ulicy Barskiej 63, artyści malują czterech młodych chłopaków dźwigających reklamówki pełne zakupów. Mural nosi tytuł: *Siataniści*.

Prace Twożywa najczęściej funkcjonują w określonym kontekście, obojętnie, czy jest to konkretny budynek czy strona gazety. W 2008 roku na ślepej ścianie opuszczonej kamienicy przy ul. Pańskiej 112 w Warszawie powstaje mural *Bezwład. Jeszcze świadomy*. Wielka kula używana do burzenia murów uderza w napis-mur składający się ze słów „jeszcze świadomy”. Na poszczególnych literach są już widoczne pęknięcia. Praca, powstała we współpracy z pobliskim Muzeum Powstania Warszawskiego, była próbą postawienia pytania o wybory dokonywane w 1944 roku i te dzisiejsze. Jej umiejscowienie – dom ocalały po powstaniu i zagrożony zniszczeniem (ostatecznie, mimo prób ocalenia, zburzony w 2013 roku) – sprawiło, że nie mniej ważne stało się pytanie o stosunek do przeszłości i o to, co z nią robimy.

Wcześniej, 8 września 2001 roku, Twożywo zawiesiło na ul. Koszykowej w Warszawie (nieopodal Ambasady Stanów Zjednoczonych) billboard. Jego połowę zajmowało przedstawienie młodego chłopaka leżącego na trawie. Na drugiej znalazł się tekst: „Kiedy wreszcie będzie wojna”. Była to praca o nudzie, o oczekiwaniu na zmianę, na wydarzenie, które odmieni życie. Tymczasem przyszedł 11 września. Billboard stał się niepokojąco jednoznaczny. Niektórzy byli nim oburzeni. Libel i Sidorek zamalowują słowo „wojna”. Kapitulują? A może przywracają swej pracy wieloznaczność?

4.

Określają siebie przez negację. Nie jesteśmy naklejkowcami, szabloniarzami, muralistami, grafikami ani dizajnerami – wyliczają w jednej z rozmów. A czym się zajmują? Tworzeniem sztuki? Mimo składanych deklaracji, chętnie

są wpisywani w obieg artystyczny, a ich prace są pokazywane przez najważniejsze instytucje artystyczne w kraju. Jednak ich aktywność to przede wszystkim – jak podkreśla Sebastian Cichocki – przejaw „obywatelskiej niezgody”, która jest wyrażana za pomocą języka sztuki i typograficznych trików.

Krytykują rzeczywistość III RP. Wprowadzają „w obieg komunikaty – pisał o ich działalności Stach Szabłowski – rozsadzające, poddające w wątpliwość albo przynajmniej obnażające dominującą narrację konsumpcjonistycznego społeczeństwa, którą tak dobrze wyraża złośliwy slogan ukuty przez Libla i Sidorka: «Baw się i pracuj»”². Ale w tę krytykę systemu wpisana jest inna, „głębsza opowieść – narracja egzystencjalnej natury, dotykająca problemów o wiele trudniejszych do rozwiązania niż praktyczne niedole życia w neo-liberalnej demokracji” – dodawał.

5.

„Jesteśmy naiwni. Nie idziemy do domu płakać, wierzymy, że można powalczyć, spróbować” – tłumaczyli Libel i Sidorek w rozmowie z Leszkiem Jażdżewskim. „Umiemy robić obrazki. Na tym się koncentrujemy. Naiwność jest potrzebna, żeby działać w niesprzyjającym środowisku. Rozum podpowiada, że nie warto działać w przestrzeni publicznej, bo to tylko jeden obrazek, że on nic nie zmieni, bo to szkoła, telewizja nas kształtują. A jednak uważamy, że to, co robimy, jest potrzebne – dajemy przykład, że można inaczej myśleć, inaczej kształtować przekaz w przestrzeni publicznej. Tymi motykami cały czas zamierzamy się na słońce”³.

6.

18 lutego 2011 roku, podczas wernisażu wystawy *WYbór obRAZ + Nihil Negativum* w łódzkim Atlasie Sztuki Twożywo ogłosiło, że kończy swą działalność.

² Stach Szabłowski [brak tytułu], w: *Atlas Sztuki 49. Twożywo. Wybór obraz* [dodatek do „Art & Business” 2011, nr 1].

³ *Z grupą Twożywo rozmawia Leszek Jażdżewski*, w: *Atlas Sztuki 49. Twożywo. Wybór obraz* [dodatek do „Art & Business” 2011, nr 1].

Od redakcji

Konferencja *Polskie dylematy* (4 marca 2014 roku) została poświęcona pamięci Jacka Kuronia. Jej organizatorzy – Fundacja im. Stefana Batorego, „Gazeta Wyborcza” i „Krytyka Polityczna” – nie chcieli ograniczać się do wspominania Jego osoby (minęło 80 lat od Jego urodzin i 10 od śmierci), lecz podjąć tematy, które były Mu bliskie. Uznali bowiem, że najlepszym uczczeniem pamięci Jacka Kuronia jest zorganizowanie dyskusji, która będzie namysłem zarówno nad przeszłością, jak i nad współczesnymi wyzwaniem.

Jak mówił Bogdan Borusewicz, otwierając obrady: „pamiętamy o Jacku Kuroniu, pamiętamy, kim był dla Polski. Dla wybicia się Polski na niepodległość i na demokrację. Pamiętamy też, że to spotkanie nie zakończy dyskusji o – jak to zostało określone w jego tytule – polskich dylematach. Zawsze o nich będziemy rozmawiać [...]. I w tej dyskusji wciąż będziemy się odwoływać do dylematów i rozstrzygnięć, jakie wskazywał Jacek Kuroń. On bowiem odcisnął swoje piętno na historii Polski, a także na życiorysach wielu osób, również tu zgromadzonych”.

Podczas tego spotkania dyskutowano o strategiach działania do 1989 roku: o roli rewizjonistów, protestach w Marcu '68, powstawaniu opozycji demokratycznej, „Solidarności” i samoorganizowaniu się społeczeństwa poza strukturami władzy. Kolejne sesje poświęcono przemianom po 1989 roku i ich ocenie, poszukiwaniu nowej tożsamości kulturowej i historycznej

w ostatnim 25-leciu oraz stosunkowi pokolenia, które weszło w dorosłość po 1989 roku, do III RP.

W książce znalazły się teksty powstałe na podstawie wystąpień wprowadzających do poszczególnych sesji (zabrakło jedynie głosu Jerzego Szackiego) oraz fragmenty dyskusji. Relacja wideo z całości konferencji jest dostępna na stronie internetowej Fundacji (<http://bit.ly/1kWxn30>).

Noty biograficzne

Elżbieta Ciżewska (ur. 1979) – socjolożka, historyczka idei, dr. Adiunkt w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Autorka *Filozofii publicznej Solidarności. Solidarność 1980–1981 z perspektywy republikańskiej tradycji politycznej* (Warszawa 2010). Publikowała m.in. w „Res Publice Nowej” „Teologii Politycznej”, „Znaku” oraz w słowackim czasopiśmie „Impuls”. Związana m.in. z Instytutem Tertio Millennio oraz Centrum Myśli Jana Pawła II.

Mirostław Czech (ur. 1962) – publicysta, komentator polityczny „Gazety Wyborczej”, członek Zarządu Fundacji Batorego. Członek władz Związku Ukraińców w Polsce. W latach 1993–2001 poseł na Sejm RP. Działacz Unii Demokratycznej, a następnie Unii Wolności, gdzie pełnił m.in. funkcję sekretarza generalnego.

Kinga Dunin (ur. 1954) – socjolożka kultury, publicystka, krytyczka literacka, dr. Wykładowczyni na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym. Od 1977 roku współpracowniczką Komitetu Obrony Robotników oraz Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Po roku 1989 współpracowała z ruchem feministycznym. Współzałożycielka Partii Zielonych. Członkini redakcji „Krytyki Politycznej”. Felietonistka „Wysokich Obcasów” (dodatku do „Gazety Wyborczej”). Ostatnio wydała *Kochaj i rób* (Warszawa 2012).

Juliusz Gardawski (ur. 1948) – socjolog, prof. dr hab. Kierownik Katedry Socjologii Ekonomicznej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Autor wielu badań i prac dotyczących robotników, instytucji pracowniczych, dialogu społecznego i związków zawodowych. Wydał m.in. *Robotnicy 1991. Świadomość ekonomiczna w czasach*

przełomu (1992), *Przyzwolenie ograniczone. Robotnicy wobec rynku i demokracji* (Warszawa 1996), *Powracająca klasa: sektor prywatny w III Rzeczypospolitej* (Warszawa 2001), *Dialog społeczny w Polsce. Teoria, historia, praktyka* (Warszawa 2009).

Dariusz Gawin (ur. 1964) – historyk idei, filozof, dr hab. Od 1993 roku pracownik Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, obecnie kierownik Zakładu Społeczeństwa Obywatelskiego IFiS PAN. Od 2005 roku zastępca dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego. Członek kolegium redakcyjnego „Teologii Politycznej”. Członek Kolegium Historyczno-Programowego Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku. Publikował m.in. w „Przeglądzie Politycznym”, „Res Publice Nowej”, „Teologii Politycznej”, „Znaku”. Ostatnio wydał m.in. *Wielki zwrot. Ewolucja lewicy i odrodzenie idei społeczeństwa obywatelskiego 1956–1976* (Kraków 2013).

Szymon Gutkowski (ur. 1970) – menedżer, doradca ds. strategii i marketingu. Prezes Stowarzyszenia Komunikacji Marketingowej SAR. Doradca społeczny prezydenta RP. Przewodniczący Stowarzyszenia Projekt: Polska. Członek Zarządu Fundacji Batorego. Współwłaściciel i dyrektor generalny DDB (d. Corporate Profiles DDB). W 1991 roku pracował w sztabie wyborczym Unii Demokratycznej Jacka Kuronia. Jeden z twórców kampanii przed referendum europejskim: Inicjatywa Obywatelska „TAK w Referendum” oraz inicjatywy Razem '89.

Jerzy Hausner (ur. w 1949) – ekonomista, prof. dr hab. Kierownik Katedry Gospodarki i Administracji Publicznej Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Członek Rady Polityki Pieniężnej. W latach 1994–1996 szef zespołu doradców wicepremiera ds. gospodarczych, w 1997 roku pełnomocnik rządu ds. reformy zabezpieczenia społecznego. W latach 1996–2001 członek Zespołu Doradców Ekonomicznych Prezydenta RP. W latach 2001–2005 poseł na Sejm RP. Od 2001 roku minister pracy i polityki społecznej, w latach 2003–2005 wicepremier oraz minister gospodarki, pracy i polityki społecznej. Ostatnio opublikował m.in. *Pętla rozwoju. O polityce gospodarczej lat 2001–2005* (Warszawa 2007), *Zarządzanie publiczne* (Warszawa 2008), *Narastające dysfunkcje, zasadnicze dylematy, konieczne działania. Raport o stanie samorządności terytorialnej w Polsce* (współautor, Kraków 2014).

Piotr Kosiewski (ur. 1967) – historyk sztuki, krytyk. Pracownik Fundacji Batorego – kieruje programem debat Fundacji Batorego. Stały współpracownik

„Tygodnika Powszechnego”. Publikował m.in. w „Arteonie”, „Dzienniku”, „Nowej Europie Wschodniej”, „Nowych Książkach”, „Odrze”, „Rzeczpospolitej”, magazynie „Szum” i „Znaku”.

Dominika Kozłowska (ur. 1978) – redaktorka naczelna miesięcznika „Znak”, filozofka, dr. Związana ze środowiskiem uczniów i przyjaciół ks. Józefa Tischnera, skupionych wokół Instytutu Myśli Józefa Tischnera. Wcześniej była redaktorką naczelną „Thinking in Values”.

Piotr Laskowski (ur. 1976) – filozof, nauczyciel, dr. Adiunkt w Zakładzie Filozofii i Bioetyki Uniwersytetu Jagiellońskiego – Collegium Medicum. Współtwórca i pierwszy dyrektor Wielokulturowego Liceum Humanistycznego w Warszawie. Wykładał na Uniwersytecie Powszechnym w Teremiskach. Zajmuje się filozofią społeczną i polityczną XIX i XX wieku. Ostatnio wydał: *Szkice z dziejów anarchizmu* (Warszawa 2007), *Maszyny wojenne. Georges Sorel i strategię radykalnej filozofii politycznej* (2011).

Michał Łuczewski (ur. 1978) – socjolog, dr. Adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Wicedyrektor Centrum Myśli Jana Pawła II w Warszawie. Członek redakcji „44/Czterdzieści i Cztery”. Publikował m.in. w „Arcanach”, „Polsce The Times”, „Res Publice Nowej”, „Wprost”. Wydał m.in. *Odwieczny naród. Polak i katolik w Żmijęcej* (Toruń 2012).

Andrzej Mencwel (ur. 1940) – historyk, krytyk literatury i kultury polskiej, antropolog kultury, eseista, publicysta, prof. dr hab. Wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1992 roku kierownik Katedry Kultury Polskiej UW, a następnie, w latach 1998–2005, dyrektor Instytutu Kultury Polskiej UW, obecnie przewodniczący rady tego instytutu. Ostatnio wydał m.in. *No! lo non sono morto... Jak czytać Legendę Młodej Polski?* (Kraków 2001), *Kaliningrad, moja miłość. Dwa pokrewne eseje podróżne* (Olsztyn 2003), *Wyobraźnia antropologiczna* (Warszawa 2006), *Rodzinna Europa po raz pierwszy* (Kraków 2009), *Nauczyciele i przyjaciele* (Warszawa 2010), *Stanisław Brzozowski. Postawa krytyczna. Wiek XX* (Warszawa 2014).

Adam Michnik (ur. 1946) – historyk, dziennikarz. Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”. Uczestnik wydarzeń Marca '68. Aresztowany i skazany. Współtwórca

Komitetu Obrony Robotników. Jeden z założycieli i wykładowca Towarzystwa Kursów Naukowych. W latach 1977–1989 redaktor i współpracownik niezależnych pism: „Biuletynu Informacyjnego”, „Zapisu” i „Krytyki”. Po wprowadzeniu stanu wojennego internowany, a następnie aresztowany. Zwolniony w 1984 roku. Członek Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu. Od 1989 do 1991 roku poseł na Sejm RP. Ostatnio wydał: *Dwie dekady wolności* (Warszawa 2009), *Wśród mądrych ludzi* (Warszawa 2009), *Przeciw antysemityzmowi 1936–2009* (wybór, wstęp i oprac., Kraków 2010), *Rozmowy w Awinionie. Przeprowadziła Jolanta Kurska (z Bernardem Kouchnerem, Warszawa 2014).*

Karol Modzelewski (ur. 1937) – historyk, mediewista, prof. dr hab. W 1964 roku z Jackiem Kuroniem ogłosił *List otwarty do Partii*. Usunięty z PZPR i skazany na karę 3,5 roku pozbawienia wolności. Uczestnik wydarzeń Marca '68. Ponownie uwięziony. Zwolniony w 1971 roku. W latach 1972–1983 pracownik Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN we Wrocławiu. Działacz „Solidarności”, członek m.in. Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Po wprowadzeniu stanu wojennego internowany, a następnie aresztowany. W latach 1992–1994 pracownik Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Od 1994 roku profesor w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Członek rzeczywisty PAN. W okresie 1989–1991 senator RP. Ostatnio wydał: *Barbarzyńska Europa* (Warszawa 2004), *Zajeżdżmy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca* (Warszawa 2013).

Andrzej Nowak (ur. 1960) – historyk, publicysta, nauczyciel akademicki, socjolog, prof. dr hab. Kierownik Pracowni Dziejów ZSRR i Europy Wschodniej Instytutu Historii PAN oraz Zakładu Historii Europy Wschodniej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Były redaktor naczelny dwumiesięcznika „Arcana”. Ostatnio opublikował m.in. *Historie politycznych tradycji. Piłsudski, Putin i inni* (Kraków 2007), *Ofiary, imperia i historycy. Studium przypadków (od XVIII do XXI wieku)* (Kraków 2009), *Od Polski do post-polityki. Intelktualna historia zapaści Rzeczpospolitej* (Kraków 2010), *Strachy i Lachy. Przemiany polskiej pamięci 1982–2012* (Kraków 2012), *Intelktualna historia III RP. Rozmowy z lat 1990–2012* (Warszawa 2013), *Putin. Źródła imperialnej agresji* (Warszawa 2014).

Janusz Reykowski (ur. 1929) – psycholog społeczny, prof. dr hab. W latach 1951–1980 pracownik Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1980 do 2002 roku dyrektor

Instytutu Psychologii PAN. Od 1996 roku przewodniczący Rady Programowej w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej. Członek korespondent PAN. Od 2003 roku prezydent Międzynarodowego Towarzystwa Psychologii Politycznej (International Society of Political Psychology). Uczestnik obrad Okrągłego Stołu – współprzewodniczący stołu politycznego ds. reform politycznych. W latach 1988–1990 członek Biura Politycznego KC PZPR. Ostatnio wydał m.in. *Konflikt i porozumienie. Psychologiczne podstawy demokracji deliberatywnej* (red., Warszawa 2007), *Lewica przy Okrągłym Stole* (red., Warszawa 2010), *Okrągły Stół. Droga do demokratycznej Polski* (red., Toruń 2010).

Aleksander Smolar (ur. 1940) – politolog, publicysta. Prezes Zarządu Fundacji Batorego. Członek Zarządu ECFR. Zastępca przewodniczącego Rady Naukowej Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. W latach 1971–1989 na emigracji politycznej. W 1974 roku współzałożyciel i redaktor naczelny kwartalnika politycznego „Aneks”. W latach 1989–1990 doradca ds. politycznych premiera Tadeusza Mazowieckiego. Od 1992 do 1993 roku doradca ds. polityki zagranicznej premier Hannu Suchockiej. Wydał m.in. *Tabu i niewinność* (Kraków 2010).

Michał Sutowski (ur. 1985) – politolog, publicysta. Członek zespołu „Krytyki Politycznej”. Tłumacz. Publikował m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Krytyce Politycznej”, „Rzeczpospolitej”. Współredaktor wyboru pism Jacka Kuronia. Ostatnio wydał: *Żyj i pozwól żyć* (rozmowa z Agatą Bielik-Robson, Warszawa 2012) oraz *Wujec. Związki przyjacielskie* (rozmowa z Ludwiką Wujec, Warszawa 2013), *Graff. Jestem stąd* (rozmowa z Agnieszką Graff, Warszawa 2014).

Joanna Tokarska-Bakir (ur. 1958) – antropolożka kultury, eseistka, prof. dr hab. Pracowniczka Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego oraz Collegium Civitas. Wydała ostatnio m.in. *Obraz osobliwy. Hermeneutyczna lektura źródeł etnograficznych* (Kraków 2000), *Rzeczy mgliste. Eseje i studia* (Sejny 2004), *Legendy o krwi. Antropologia przesądu* (Warszawa 2008), *Okrzyki pogromowe. Szkice z antropologii historycznej Polski lat 1939–1946* (Wołowiec 2012), *PL: tożsamość wyobrażona* (red., Warszawa 2013).

Andrzej Wielowieyski (ur. 1927) – polityk, działacz katolicki. Żołnierz Armii Krajowej. W latach 1971–1989 sekretarz generalny Klubu Inteligencji Katolickiej. Od

1971 do 1989 roku redaktor „Więzi”. Doradca Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w sierpniu 1980 roku. Doradca Lecha Wałęsy. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu. W latach 1989–1991 wicemarszałek Senatu RP. Od 1991 do 2001 roku poseł RP. W latach 2001–2005 senator RP. W latach 2008–2009 roku poseł do Parlamentu Europejskiego. Ostatnio wydał: *Tajemnice i niespodzianki historii* (Warszawa 2004), *Na rozdrożach dziejów. Historie prawdziwe i alternatywne* (Warszawa 2012).

Karolina Wigura (ur. 1980) – socjolożka, publicystka. Członkini redakcji Tygodnika Internetowego „Kultura Liberalna” (www.kulturaliberalna.pl) oraz Zarządu Fundacji Batorego. Adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Publikowała m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Europie” (dodatku do „Dziennika. Polska. Europa. Świat”), „Przeglądzie Politycznym”, „Tygodniku Powszechnym”, „Znaku”. Autorka książki *Wina narodów. Przebaczenie jako strategia prowadzenia polityki* (Warszawa 2011).

Henryk Wujec (ur. 1940) – polityk, doradca prezydenta RP ds. społecznych. Działacz opozycji w czasach PRL. Współpracownik Komitetu Obrony Robotników, następnie członek Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. Działacz „Solidarności”. Członek, a w latach 1988–1990 sekretarz Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu. W latach 1989–2001 poseł na Sejm RP. W latach 1999–2000 wiceminister rolnictwa. Przewodniczący Forum Polsko-Ukraińskiego.

Indeks nazwisk

- Abgarowicz Kazimierz 95
Abramowski Edward 76, 93–94, 96
Althusser Louis 89
Anderson Benedict 90
Ankersmit Frank 94
Arystoteles 121
Assmann Aleida 99–100
Augustyn Aneta 88
- Balcerowicz Leszek 46, 52–53, 62, 109,
111, 114, 132, 137, 150
Bar Ludwik 60
Baranauskas Antanas, bp 83
Barbaro de Bogdan 139
Bauman Zygmunt 87
Bączkowski Andrzej 66
Beylin Marek 139–140
Bielik-Robson Agata 161
Bieliński Wissarion Grigorjewicz 116
Blacker Uilleam 100
Bonhoeffer Dietrich 23
Borusewicz Bogdan 155
Bourdieu Pierre 89
- Brzozowski Stanisław 116, 159
Bugaj Ryszard 62, 65
- Che Guevara (właśc. Ernesto Rafael
Guevara de la Serna) 127
Chomeini Ruhollah Musawi, ajatollah 71
Chruszczow Nikita Siergiejewicz 11
Cichocki Sebastian 154
Cioran Emil 152
Ciosek Stanisław 40
Ciżewska Elżbieta 157
Coetzee John Maxwell 97
Connerton Paul 94
Czajka Robert 151
Czech Mirosław 157
- Dejmek Kazimierz 129
Dunin Kinga 157
- Edelman Marek 70–71, 82
Etkind Alexander 100
- Fedor Julie 100

- Franciszek z Asyżu, św. (właśc. Giovanni Bernardone) 15
- Friszke Andrzej 115
- Fukuyama Francis 122
- Gandhi Mahatma 78
- Gardawski Juliusz 59, 157
- Gawin Dariusz 158
- Giedroyc Jerzy 24, 83
- Gierek Edward 36
- Gieysztor Aleksander 38
- Gil Mieczystaw 147
- Gilejko Leszek 60, 62
- Gilman Sander L. 91
- Glemp Józef, kardynał, prymas Polski 48
- Gniech Klemens 32
- Goctowski Tadeusz, abp 47
- Godson John 101
- Goethe Johann Wolfgang von 125
- Gomułka Władysław 23, 36
- Gorbaczow Michaił 33
- Graff Agnieszka 161
- Grodzka Anna 88
- Gross Jan Tomasz 89
- Gutkowski Szymon 158
- Hausner Jerzy 67, 137, 150, 158
- Havel Václav, prezydent 57–58, 128, 130
- Heartman Paweł (właśc. Godlewski Piotr) 57
- Hegel Georg Wilhelm Friedrich 125
- Herbert Zbigniew 23
- Horbowski Tomasz 99
- Huzar Lubomyr, kardynał 85
- Illg Jerzy 126
- Jakubowicz Szymon 60
- Jan Paweł II (Karol Wojtyła), papież 21, 46, 130
- Jankowska Hanna 56, 138
- Jarosz Maria 60
- Jaruzelski Wojciech, gen. 14, 52, 132, 149
- Jaszuński Franciszek 87
- Jaworski Marian, kardynał 85
- Jażdżewski Leszek 154
- Jedlicki Jerzy 97
- Jędraszewski Marek, abp 87
- Juszczenko Wiktor, prezydent 85
- Kamiński Aleksander 76
- Kapuściński Ryszard 55
- Karnowski Jacek 142
- Karnowski Michał 142
- Kartezjusz (właśc. René Descartes) 126
- Kawalec Stefan 150
- Kieres Leon 88
- Kierkegaard Søren 125, 127, 132
- King Martin Luther 78
- Kiszczał Czesław, gen. 47
- Klaus Václav, prezydent 63
- Kłoczowski Jan Andrzej OP 46
- Kłys Jacek 147
- Kołakowski Leszek 10, 23–24, 46–47, 114, 126
- Kołodko Grzegorz 67
- Komorowski Bronisław, prezydent 136, 142
- Konwicki Tadeusz 21
- Korczak Janusz 76

- Kosiewski Piotr 99–100, 152, 158
 Kościuszko Tadeusz, gen. 94
 Kouchner Bernard 160
 Kowalik Tadeusz 46, 60, 62, 65
 Kowalska Anka 131
 Kozłowska Dominika 159
 Król Marcin 90, 115
 Krzaklewski Marian 66
 Kürbis Brygida 95
 Kuroń Danuta 119
 Kuroń Grażyna (Gaja, Gajka) 12, 128
 Kuroń Jacek 9–19, 21–27, 29–30, 32,
 45–49, 51–53, 55–57, 59–70, 75–85,
 87, 93, 95–97, 104, 107–111, 113–
 117, 119–122, 125–133, 147–148,
 150–151, 155, 158, 160–161
 Kurska Jolanta 160
 Kwaśniewski Aleksander, prezydent 85
- Laskowski Piotr 159
 Lenin Włodzimierz (właśc. Władimir
 Iljicz Uljanow) 135
 Lévinas Emmanuel 87
 Libel Mariusz 151–154
 Lipski Jan Józef 81
 Lissitzky El 153
 Lubka Andrij 135
 Lucchini Luigi 68
- Łoziński Marcel 123
 Łuczewski Michał 159
- Macierewicz Antoni 83
 Mannheim Karl 89
 Manteuffel Tadeusz 38
- Marks Karol 22, 120, 123
 Marody Mirosława 61
 Matlachowski Jan 37
 Mazowiecki Tadeusz 14, 46, 82, 111, 114,
 137, 141, 161
 Mencwel Andrzej 95, 159
 Michnik Adam 22–24, 29–30, 83, 97,
 114, 131, 159
 Mickiewicz Adam 94
 Mill John Stuart 88
 Miłoś Czestaw 21, 122
 Moczulski Leszek 30
 Modzelewski Karol 11, 19, 22, 27, 36–38,
 55, 135, 149, 160
 Mokrzycki Mieczysław, abp 85
 Moniuszko Stanisław 94
 Morawski Witold 60
- Najstüb Piotr 71
 Nieciński Witold 60
 Niesiołowski Stefan 88
 Nietzsche Friedrich 125
 Nowak Andrzej 142, 160
 Nowak Stefan 61
- Ohia Margaret 88
 Oko Dariusz, ks. 46, 110
 Okulicki Leopold, gen. 37
 Olejnik Monika 88
 Olesiak Kazimierz 148
 Olszewski Jan 132–133
 Orzechowski Jan (Jaś) 129
 Ost David 56
- Patočka Jan 128

- Penn Shana 138
Piłsudski Józef, marszałek 81, 160
Plechanow Gieorgij Walentynowicz 121
Pożoga Władysław, gen. 40
Putin Władimir Władimirowicz, prezydent 160
- Radlińska Helena 76–77
Rakowski Mieczysław 40, 148
Reykowski Janusz 160
Rydzik Tadeusz, ks. 46
- Sachs Jeffrey 53, 148
Sartre Jean-Paul 152
Sidorek Krzysztof 151, 153–154
Skarga Barbara 139
Słowacki Juliusz 94
Smolar Aleksander 100, 161
Smoleński Paweł 85
Sorel Georges 159
Sroczyński Grzegorz 90, 115
Stalin Józef (właśc. Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili) 123
Stasiuk Andrzej 91
Steffen Katrin 89
Suchocka Hanna 47, 82, 161
Sułek Antoni 88
Sutowski Michał 161
Szablowski Stach 154
Szacki Jerzy 25, 156
Szawiel Tadeusz 60
Szczepańska Elżbieta 128
Szlajfer Henryk 29
- Szlendak Tomasz 88
Sznaider Natan 98–100
Sztandar-Sztanderska Karolina 89
- Taylor Charles 139
Tischner Józef, ks. 46, 125–127, 133, 136, 159
Toeplitz Karol 132
Tokarska-Bakir Joanna 97, 161
Turowicz Jerzy 46
Tuwim Julian 88
Tymiński Stanisław (Stan) 141
- Urban Jerzy 40
- Vincenz Stanisław 65
- Wałęsa Lech 21, 32, 82, 141, 160, 162
Weber Max 48
Wiatr Jerzy 40
Wielowieyski Andrzej 161
Wigura Karolina 162
Wilczyk Wojciech 91
Wincenty, zw. Kadłubkiem 95
Wujec Henryk 162
Wujec Ludwika 161
Wyszyński Stefan, kard. 130
- Zieja Jan, ks. 65, 130
Ziółkowska Anna 89
- Żakowski Jacek 132

Fundacja im. Stefana Batorego wydała m.in.:

Leszek Kołakowski – myśliciel i obywatel (2010); publikacja poświęcona dziełu i działalności prof. Leszka Kołakowskiego. W tomie znalazły się teksty wygłoszone podczas sesji *Leszek Kołakowski – myśliciel i obywatel* oraz wybrane artykuły poświęcone Leszowi Kołakowskiemu autorstwa: Jerzego Jedlickiego, Tony’ego Judta, Jana Andrzeja Kłoczowskiego OP, Tadeusza Mazowieckiego, Krzysztofa Michalskiego, Abbasa Milaniego, Krzysztofa Pomiana i Jerzego Szackiego.

Pytania 20-lecia. 1989–2009 (2010); publikacja poświęcona przemianom demokratycznym w Europie Środkowo-Wschodniej po 1989 roku. János Kis, Iwan Krastew, Adam Michnik, Jacques Rupnik oraz Aleksander Smolar porównują proces transformacji w poszczególnych krajach i analizują jej następstwa, także na arenie międzynarodowej. Omawiają modele przejścia od systemu totalitarnego do demokracji oraz ich konsekwencje polityczne i społeczne, formowanie się nowej mapy politycznej, zmiany, jakim podlegały siły demokratyczne i postautorytarne, a także zanik politycznego znaczenia zarówno partii wywodzących się ze środowisk dysydenckich, jak i spadkobierców komunistów. Zajmują się również zagrożeniami okresu posttransformacyjnego i pojawieniem się na scenie politycznej postaw nacjonalistycznych i populistycznych oraz polityką zagraniczną państw tego regionu, w tym ich stosunkiem do Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych.

Przebyta droga. 1989–2009 (2010); książka dedykowana Aleksandrowi Smolarowi. Tom zbiera teksty polskich i zagranicznych politologów, socjologów, historyków, ekonomistów, polityków i publicystów poświęcone przemianom okresu 1989–2009,

jakie dokonały się w życiu politycznym, społecznym, ekonomicznym, w kulturze oraz w relacjach międzynarodowych. W tomie piszą: Anders Aslund, Klaus Bachmann, Leszek Balcerowicz, Zygmunt Bauman, Teresa Bogucka, Andrzej Brzeziecki, Marek A. Cichocki, Marek Edelman, Andrzej Friszke, Timothy Garton Ash, Dariusz Gawin, Irena Grudzińska-Gross, Bernard Guetta, Aleksander Hall, Pierre Hassner, Agnieszka Holland, Jarosław Hrycak, Jerzy Jedlicki, Julia Juryś, János Kis, Jacek Kochanowicz, Iwan Krastew, Marcin Król, Waldemar Kuczyński, Marcin Kula, Joanna Kurczewska, Mark Leonard, Janusz Lewandowski, Krzysztof Michalski, Adam Michnik, Aryeh Neier, Claus Offe, Wiktor Osiatyński, Andrzej Paczkowski, Marta Petrusiewicz, Diana Pinto, Jan Rokita, Adam Daniel Rotfeld, Jacques Rupnik, Andrzej Rychard, Sławomir Sierakowski, Piotr Smolar, Timothy Snyder, George Soros, Jerzy Szacki, Lilia Szewcowa, Paweł Śpiewak, Joanna Tokarska-Bakir, Barbara Toruńczyk, Kuba Wygnański, Adam Zagajewski, Jacek Żakowski i abp Józef Życiński. Tom został wydany we współpracy z Fundacją Zeszytów Literackich.